

MARSDEN JOHN

Gorączka

Tłumaczenie Anna Gralak

Podziękowania

Bardzo dziękuję Charlotte i Rickowi Lindsayom, Rachel Angus, Mary Edmonston („Miss Ed”), Paulowi Kennyemu, Catherine Proctor i Helen Kent.

Dla mojej siostry Louise Marsden, z wielką miłością

1

Letnie burze są najgwałtowniejsze ze wszystkich. Może dlatego, że zazwyczaj nikt się ich nie spodziewa. Ale potrafią porządnie wstrząsnąć ziemią. Zupełnie jakby niebo gromadziło tę całą energię, by potem ją uwolnić w jednej ogromnej eksplozji. Niebo drży. Deszcz nie ma w sobie nic z pieszczoty ani delikatności: leje potężnymi, ciężkimi strugami, pod którymi w minutę przemakasz do suchej nitki. Grzmoty są tak bliskie i głośne, że czujesz je wokół siebie, jakby osuwała się ziemia albo schodziła lawina. A czasami pada grad.

Przed wojną letnie burze wydawały mi się czymś fajnym. Lubiałam te dźwięki, gwałtowność i wymykającą się spod kontroli dzikość, choć wiedziałam, że burza oznacza kłopoty. Drzewa powalone albo uderzone piorunem, świeżo ostrzyżone owce niebezpiecznie zmarznięte, wezbrane strumienie.

Czasami problemy pojawiały się już podczas burzy. Pewnego dnia musiałam wyjść w ulewny deszcz, żeby przegonić stadko młodych owieczek, bo powalone drzewo spadło na ogrodzenie, uwalniając barany, które były coraz bardziej rozochoczone. Zaczęłam przeganiać owce, ale Millie, nasz pies, trochę za bardzo się rozkręciła i gdy jedna z owiec poszła w złą stronę, Millie pogoniła ją aż do strumienia. Strumień płynął z prędkością miliona

9

kilometrów na godzinę i prawie występował z koryta. Woda po obu stronach zaczynała się wylewać. Porwała i owieczkę, i Millie. Obie szaleńczo wiosłowały kończynami. Pobiegłam wzdłuż brzegu, próbując znaleźć miejsce, gdzie mogłabym wskoczyć i je wyciągnąć. Szczerze mówiąc, myślałam, że nie ma dla nich większej nadziei. Ale kilometr dalej woda zniosła je na żwir. Owca wygramoliła się na brzeg ledwie żywa. Również Millie wygramoliła się na brzeg, też

ledwie żywa. Nie wahała się ani chwili. Znowu do-skoczyła do owcy i zagoniła ją z powrotem do stada.

Biedna owca. Są chwile, kiedy bardzo mi żal tych zwierząt.

Innym razem silna burza zaskoczyła nas u Mackenziech. Po powrocie do domu zobaczyliśmy, że na szopie do strzyżenia owiec obluzował się płat blachy. Łopotał na wietrze, wydając dźwięk, który pamiętam do dziś. Jakby chciał się zamęczyć na śmierć -szaleńczy, rozpaczliwy, gwałtowny hałas. Kiedy weszłam na drabinę, zobaczyłam, jak blacha odrywa się centymetr po centymetrze: solidny, niezniszczalny metal rozdierany przez wiatr. Próba przybicia z powrotem tego oszalałego łomoczącego płata budziła strach.

Tutaj, w miejscu, które nauczyłam się nazywać domem, letnie burze mają dramatyczny przebieg. W Biblii jest napisane, że piekło to miejsce skwaru i ognia. Oficjalna nazwa naszego nowego domu to właśnie Piekło — tak opisuje się je na mapach - i rzeczywiście latem robi się w nim gorąco. Kiedy jednak dopada nas burza, Piekło zmienia się w krainę hipotermii, gdzie w ciągu pół godziny temperatura potrafi spaść o piętnaście stopni.

Oczywiście gdyby życie potoczyło się tak, jak miało się potoczyć, nie siedziałabym w małym namiocie w Piekle, patrząc, jak materiał rozdyma się i napina, jak deszcz pastwi się nad tropikiem, nie słuchałabym skrzypienia kolejnej gałęzi, która łamie się i spada, i nie próbowałabym pisać w tych warunkach dalszej części kroniki naszych losów.

10

Siedziałabym w naszym przytulnym domku w Nowej Zelandii, zjadałabym pizzę i po raz czwarty czytałabym Dumę i uprzedzenie lub Z pierwszej ręki. Albo jeszcze lepiej: byłabym z powrotem w swoim prawdziwym domu, sprawdzała koryta do pojenia zwierząt na

pastwiskach, łowiła ryby w zbiorniku albo oddzielała od stada biedne zwierzęta przeznaczone na sprzedaż.

No cóż, w najbliższym czasie nie mogę liczyć na żadną z tych rzeczy. Możliwe, że już nigdy mi się nie przytrafią. Musiałam się z tym pogodzić, ale wcale mnie to nie powstrzymało od grania w starą bezsensowną grę: w gdybanie.

Gdyby tylko nasz kraj nie został napadnięty.

Gdybyśmy nadal mogli żyć tak jak dawniej, oglądając cudze wojny w telewizji.

Gdybyśmy byli lepiej przygotowani i poświęcali więcej uwagi sprawom bezpieczeństwa.

A potem, kiedy w końcu udało nam się uciec ze strefy działań wojennych - gdybyśmy nie zgodzili się wrócić i znowu walczyć, pomagając nowozelandzkim żołnierzom w nieudanej próbie zaatakowania bazy lotniczej.

Tyle że w zasadzie nie mogliśmy odmówić powrotu - pułkownik Finley wywarł na nas ogromną presję.

A my wywarliśmy presję na siebie nawzajem.

To było następne gdybanie. Podejrzewam, że gdybyśmy nie wrócili, mielibyśmy poczucie winy. Poza tym bardzo liczyliśmy na spotkanie z rodzicami. Szkoda, że nie mieliśmy tyle szczęścia co Fi.

Przynajmniej jej udało się przez pół godziny porozmawiać z mamą i tatą.

Nadal byłam wściekła na pułkownika Finleya. Miał po nas przysłać helikopter. Obiecał nam to. Po zaginięciu nowozelandzkich żołnierzy w zasadzie nas porzucił. Kiedy się z nim skontaktowaliśmy i poprosiliśmy o śmigłowiec, nagle okazało

się, że wszyscy są zbyt zajęci. Wiedzieliśmy, że gdybyśmy byli

■ j?

dwunastoma świetnie wyszkolonymi nowozelandzkimi żołnierzami, nie byłoby z tym problemu. Ale byliśmy tylko sobą, więc problem był duży.

Najśmieszniejsze jest to, że dzięki naszej prymitywnej taktyce, bombom domowej roboty i spontanicznemu podejściu działaliśmy więcej, niż mogliby działać zawodowi żołnierze. W każdym razie tak nam się wydawało, a w Nowej Zelandii wiele osób o choczno nas o tym zapewniało. Tyle że teraz, kiedy znowu utknęliśmy tutaj, w pułapce samotnego, dzikiego Piekła, najwyraźniej z radością o nas zapomniano.

Gdyby tylko zjawił się śmigłowiec, który zabrałby nas w bezpieczne miejsce. Gdyby działał na zasadzie taksówki: wystarczy wykręcić numer. Dokąd państwo jadą? Ilu będzie pasażerów? Na jakie nazwisko? Kierowca zaraz tam będzie, nie ma problemu.

Trudno było nie poddać się goryczy. Czuliśmy się tak, jakby pułkownik Finley nas porzucił. Przez tydzień bez przerwy o tym rozmawialiśmy, aż w końcu mieliśmy tego tematu po dziurki w nosie i uzgodniliśmy, że nie będziemy go więcej poruszać. Tylko w ten sposób mogliśmy sprawić, by odmowa pułkownika przestała zatruwać nam życie.

Dołowaliśmy się mniej więcej tydzień, a potem zaczęliśmy się niecierpliwić. Najgorszy był Lee. Odkąd się dowiedział o śmierci rodziców, rwał się do działania. Mówiąc o działaniu, niekoniecznie mam na myśli zemstę, chociaż z pewnością chętnie by jej dokonał. Myślę jednak, że gdybyśmy mieli inne rzeczy na głowie, co innego do roboty, mógłby się skupić na tym, a nie na wyrównywaniu rachunków.

Lecz nic nie robiliśmy. Sklecieliśmy w Piekło to i owo - przede wszystkim kurnik - ale nie mogliśmy zbudować nic więcej, bo byłoby

to zbyt niebezpieczne. Istniało wielkie ryzyko, że zostaniemy zauważeni z powietrza albo nawet ze Szwu Krawca, który wznosił się nad nami i tworzył zachodnią ścianę naszej kryjówki.

12

Lee nie wydawał się zainteresowany czytaniem tych kilku książek, które przywieźliśmy z Nowej Zelandii, nie miał przy sobie swojej cennej muzyki i nie był w nastroju do rozmowy. Miał jedynie swoje myśli. Codziennie godzinami przesiadywał sam i nawet nie chciał mi powiedzieć, o czym myśli.

Homer i Kevin wcale nie byli lepsi. Pewnego popołudnia przez cztery godziny rzucali kamieniami w pień drzewa. Siedzieli na brzegu strumienia i próbowali wcelować, dopóki nie skończyła im się amunicja, a potem poszli pozbierać kamienie i zaczęli od nowa. Przez całe popołudnie Homer trafił sześć razy, a Kevin trzy. To całkiem nieźle, bo drzewo było oddalone o pięćdziesiąt metrów, ale uważałam, że mogli się spisać lepiej. Byłam przekonana, że ja spisałam się lepiej. Ale nie to mnie martwiło. Martwił mnie ich nastrój. Wydawali się zupełnie wypompowani, zupełnie obojętni. O mało nie zaproponowałam, żebyśmy poszli znowu zaatakować wroga, byleby tylko jakoś ich zmotywować.

Okazało się, że wcale nie musiałam tego proponować. Gdy tylko o tym pomyślałam - no, w zasadzie niespełna pół godziny później - Lee nagle się do mnie odwrócił i powiedział:

- Idę stąd. Do Wirrawee albo gdziekolwiek indziej. Może do Zatoki Szewca. A nawet do Stratton. Nie zamierzam spędzić reszty wojny, siedząc z założonymi rękami i czekając, aż ktoś nas uratuje. Chcę zniszczyć, co się tylko da.

Na chwilę przestałam oddychać. Wiedziałam, że nie zdołam go powstrzymać. W pewnym sensie wcale nie chciałam go powstrzymać. Ale w innym chciałam. Naprawdę lubiłam Lee. Może nawet go kochałam. Nie byłam pewna. Czasami zdecydowanie przypominało to miłość. Innym razem wołałam nie mieć z nim nic wspólnego. W stosunku do Lee czułam pełną gamę emocji, od dzikiej namiętności po obrzydzenie. Po uśrednieniu wychodziło chyba na to, że go lubię.

13

Ale miałam wątpliwości nie tylko co do Lee. Niczego nie byłam pewna. Może to po prostu cecha nastolatków: ogólny brak pewności. Nie byłam pewna, czy istnieje Bóg, czy istnieje życie po śmierci. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę rodziców, czy powinnam się kochać z Lee, czy od początku inwazji zachowujemy się właściwie, czy słońce wzejdzie o poranku i zajdzie wieczorem. Nie byłam pewna, czy wolę jajka na twardo, czy na miękko.

Jak więc mogłam ocenić Lee, który spokojnie i pewnie oznajmił, że zamierza dalej walczyć? Tego, że postępuje źle, byłam pewna w jeszcze mniejszym stopniu niż tego, że znowu wzejdzie słońce.

Siedzieliśmy dość daleko, na ostatnim płaskim odcinku, w miejscu, w którym szlak zaczyna się wspinać na Womnego-noo. Przez dłuższy czas milczeliśmy. Wiedziałam, jak ważne są jego słowa. Wiedziałam, że zbliża się koniec naszego krótkiego odpoczynku. Obydwoje wiedzieliśmy, że być może zbliża się koniec naszego krótkiego życia. Być może skradała się do nas śmierć. Bo oczywiście wiedziałam, że nie mogłabym puścić Lee samego.

Chyba obydwójce czuliśmy, że żadne z nas, żaden członek naszej pięcioosobowej grupy, nie puściłby Lee samego. W pewnym sensie powinnam była mieć do niego żal, że wywiera na nas tak silną presję,

że nie pozostawia mi ani reszcie żadnego wyboru. Już raz nam to zrobił i wcale mi się to nie spodobało. Nie podobało mi się, gdy ktoś na mnie naciskał, mówiąc mi, co mam robić, podejmując za mnie decyzje. Pamiętam, jak wpadłam w szal, kiedy w Nowej Zelandii Homer oznajmił, że wracamy do Australii. Jeśli tym razem było inaczej, to chyba tylko dlatego, że czułam rosnący tragizm sytuacji: wojna weszła w decydującą fazę i nasza pomoc była potrzebna jak nigdy dotąd. Zwyczajnie nie mogliśmy się obijać, urządzając sobie długie odpoczynki między akcjami.

14

Kiedy porozmawialiśmy z pozostałymi, okazało się, że sprawy są trochę bardziej skomplikowane, niż przypuszczałam. Homer i Fi zareagowali tak, jak się spodziewałam - w zasadzie tak samo jak ja. Ale Kevin... no cóż. Nie przyszło mi do głowy, że jedno z nas może się wyłamać.

Bo i dlaczego miałoby przyjść? Gdybym na to wpadła, być może musiałabym uwzględnić własne obawy. Strach, który przeszedł w panikę, kiedy pułkownik Finley oznajmił, że chce, byśmy wrócili do Australii. Lęk przejął nade mną kontrolę, gdy wrogi żołnierz szedł w moją stronę ulicami Wirrawee. Przez ten lęk z mojego gardła wyrwał się krzyk, wtedy kiedy jedyną szansą było milczenie. Wiedziałam, że tamten krzyk mógł doprowadzić do pojmania albo śmierci dwunastu nowozelandzkich partyzantów.

Dlatego nie przyszło mi do głowy, że Kevin może nie być tak odważny jak ja. Nie mogłam mieć do niego pretensji, że czasami trochę tchórzy.

To się stało, kiedy siedzieliśmy przy ognisku i jedliśmy lunch składający się głównie z ryżu, jak większość naszych posiłków w tamtych dniach. Lee zaczął dzielić się z resztą swoją wielką decyzją, ale ledwie zdążył powiedzieć pierwsze zdanie, przerwał mu Homer:

— Równie dobrze moglibyśmy stąd wyjść i coś zrobić. Siedzenie tutaj jest beznadziejne. Nawet coś małego będzie lepsze niż to.

„Niebezpieczeństwo jest jak narkotyk - pomyślałam, siedząc i patrząc na niego. - A ty jesteś uzależniony, Homer”.

- Nie mam nic przeciwko robieniu małych rzeczy - powiedziała Fi. - Mam tylko nadzieję, że zdołacie na tym poprzestać. Ale jakoś nigdy wam to nie wystarcza. Zawsze marzycie o wielkim wybuchu.

Kevin przez chwilę milczał. Potem powiedział drżącym głosem:

15

- Moim zdaniem nie powinniśmy niczego więcej robić. Finley tak nas olał... To bez sensu. Dlaczego mielibyśmy cokolwiek dla niego robić? Facet wystawił nas do wiatru.

Najwyraźniej nikt nie umiał na to odpowiedzieć. To znaczy chyba każdy by umiał, tyle że nikt nie chciał się z tym zmierzyć. Nie byliśmy wielkimi fanami kwiecistych patriotycznych przemówień.

Z jakiegoś głupiego powodu otworzyłam jednak usta. Nie miałam do tego prawa, ale to zrobiłam.

- Kevin, to nie ma nic wspólnego z pułkownikiem Finleyem. Po tym jak nie przysłał po nas śmigłowca, każde z nas z tysiąc razy powiedziało, co o nim myśli. Nie w tym rzecz. Chodzi przede wszystkim o to, że mamy możliwość jakoś pomóc i zrobić coś, czego nikt inny nie jest w stanie zrobić. Chyba nie mamy innego wyjścia.

Potem powiedziałam coś głupiego. Coś niewybaczalnego:

- Kevin, wiem, że wszyscy się boimy, ale po prostu musimy stąd wyjść i coś zrobić.

O pewnych sprawach nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy i strach był jedną z nich. No, może w nocy, kiedy leżeliśmy w swoich śpiworach i

mogliśmy być szczerzy, bo nie widzieliśmy swoich twarzy. Ale teraz było widno.

Kevin zrobił się czerwony i nawet siedząca obok mnie Fi lekko się odsunęła.

-Ja przynajmniej nie krzyczę na widok żołnierza - powiedział Kevin.

Wstał i poszedł. Siedziałam, płonąć ze wstydu i z wściekłości. Wiedziałam, dlaczego to powiedział - nawet mimo wściekłości wiedziałam, dlaczego to zrobił, ale nie byłam pewna, czy kiedykolwiek zdołam mu wybaczyć. Miałam wystarczająco duży problem z wybaczeniem samej sobie.

- To nie było zbyt mądre, Ellie - powiedział Homer.

16

- 1

- Oj, daj jej spokój - skarciła go Fi.

Lee milczał. To też mnie zabolalo. Myślałam, że się za mną wstawi, zwłaszcza przeciwko Kevinowi, za którym nie przepadał.

Właśnie dlatego leżałam w namiocie, słuchałam, jak letnia burza tłucze się po lesie, patrzyłam na targany wiatrem namiot i krzyczałam ze strachu, kiedy jakaś gałązka spadała na nylonowy tropik. Grzmoty huczały i waliły z całej siły, padał ulewny deszcz, a ja nigdy w życiu nie czułam się bardziej samotna.

i-i i ' A y

2

Napięcie w moich stosunkach z Kevinem sparaliżowało nas wszystkich. Myślałam, że po paru godzinach mu minie, jak po większości naszych kłótni, jak letnia burza. Ale Kevin nie chciał ze mną rozmawiać, a bez względu na to, jak bardzo pragnęliśmy wyjść z

Piekła, w tak chłodnej atmosferze jakoś nie byliśmy w stanie wykonać żadnego ruchu. Próbowałam przeprosić Kevina, lecz nie chciał mnie słuchać. Wtedy doszłam do wniosku, że to ja jestem poszkodowana, co oczywiście nie ułatwiło rozwiązania sprawy, bo straciłam ochotę do podejmowania następnych prób.

Trzeciego dnia do akcji wkroczył Lee, który niespodziewanie i dość agresywnie powiedział:

- Słuchajcie, parę dni temu wspomniałem Ellie, że zamierzam stąd iść, bez względu na to, czy ktoś pójdzie ze mną, czy nie. Powinienem był wyruszyć od razu, kiedy tylko to powiedziałem. Dlatego do diabła z wami wszystkimi, ja się stąd wynoszę.
- Pójdę z tobą - oznajmił od razu Homer.
- Ja też - zgłosiła się Fi.
- Ja też, jeśli mnie zechcesz - wtrąciłam.
- Jasne, że cię zechcę, do cholery - powiedział rozdrażniony Lee.

18

Nikt nie spojrzał na Kevina, który próbował zeskrobać z patelni przypalony ryż. Nie wiem, z jakiego korzystał przepisu, kiedy go smażył, ale potrawa wyszła raczej kiepsko. Kevin był czerwony, choć chyba nie z wysiłku wkładanego w szorowanie. Milczał tak długo, że w końcu daliśmy za wygraną i uznaliśmy, że w ogóle nie zamierza się odezwać. Zaczęliśmy rozmawiać o tym, co powinniśmy zabrać. Nagle przerwał nam Kevin:

- Byłoby miło, gdybyście i mnie uwzględnili w swoich planach - mruknął.

Spojrzelismy na siebie. Tym razem nie miałam zamiaru zabierać głosu. Pozostali najwyraźniej też się nie spieszyli. W końcu Fi, nasza rozjemczyni, powiedziała:

- No wiesz, nie byliśmy pewni, czy chcesz z nami iść.
- Jasne, że chcę - warknął Kevin. - Co, myśleliście, że zostanę tu sam? Nie jestem taki głupi. Widzieliście, co spotkało Chrisa.

Znowu zapadła cisza, a potem wróciliśmy do układania planu. Od czasu do czasu wtrącał się Kevin, zazwyczaj po to, by ponarzekać. Dla odmiany nie mieliśmy żadnych konkretnych zamiarów. To mi się nie podobało. Zwykle dobrze się zastanawialiśmy nad tym, co zrobić. Im dłużej trwała wojna, tym częściej działaliśmy spontanicznie. Czulałam się przez to niepewnie.

Pragnęłam tylko jednego: pójść w kierunku Holloway i poszukać mamy. Pozostali w zasadzie nie mieli nic przeciwko temu. Podobno rodzice Homera byli gdzieś niedaleko Stratton, a tam nie chcieliśmy się zapuszczać. Tamte tereny były zbyt rozwinięte, za gęsto zabudowane. Wydawały się zbyt niebezpieczne. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie są rodzice Kevina - wszystko wskazywało na to, że trafili na północ. Wiedzieliśmy jedynie, że jego mama jest na terenie wystawowym, tak jak mój tata. Nie liczyliśmy na to, że uda nam się tam dostać. Zresztą w najbliższym czasie nie zamierzaliśmy się pokazywać w Wirrawee ani w Zatoce Szewca. Trochę tam narozrabialiśmy. Gdybyśmy poszli okrężną drogą

w stronę Holloway - drogą z Wirrawee do Holloway zamiast na skrót przez góry - potem moglibyśmy ruszyć do Holloway albo do Goonardoo. Goonardoo leżało przy głównej linii kolejowej z północy na południe, więc liczyliśmy na to, że uda się tam coś zniszczyć. Oba miasta były duże.

I na tym w zasadzie kończyły się nasze plany. Przez resztę czasu po prostu zarzucaliśmy się nawzajem pomysłami. Mnóstwem zdań zaczynających się od: „Może moglibyśmy...” albo „A gdybyśmy tak...”. Zupełnie jak zabawa w gdybanie, tyle że w odniesieniu do przyszłości, a nie do przeszłości.

Fi chciała się skontaktować z pułkownikiem Finleyem i powiedzieć mu, że opuszczamy Piekło. W zasadzie nikt się nie sprzeciwiał. Na tym polegał nasz problem. Nikt nie sprzeciwiał się niczemu, z wyjątkiem Kevina, który sprzeciwiał się wszystkiemu. Mieliśmy jedynie silne poczucie, że trzeba jak najszybciej wyjść i zrobić coś pożytecznego.

Nie wiem jak inni, ale ja zaczęłam tłumić strach przed niebezpieczeństwem i śmiercią. Widok śmierci tak wielu ludzi, w tym niektórych moich przyjaciół, sprawił, że nabrałam dziwnego podejścia do własnego życia. Stopniowo przesuwalam się w stronę innego trybu myślenia, który nie uwzględniał częstego marzenia o przyszłości. Może to samo stało się z resztą z nas i dlatego nie zaprzataliśmy sobie głowy układaniem planu.

Chyba nabrałam przekonania, że nie przeżyję wojny. W czasie pokoju ludzie często rzucają frazesami w stylu „Żyj dniem dzisiejszym”. Całkiem jak w sporcie: „Rozgrywaj jeden mecz naraz”. Podświadomie zaczęliśmy działać właśnie w ten sposób. Przed wojną nigdy tak nie żyłam. Taki pomysł wcale do mnie nie przemawiał. Nie sprawdziłby się w rolnictwie. „Żyj tak, jakbyś miała umrzeć jutro, ale uprawiaj

ziemię, jakbyś miała żyć wiecznie". Zawsze sadziło się i budowało z myślą o przyszłości. Nie było sensu wznosić ogrodzenia, które padnie za parę

20

lat. Pod narożny słup wykopaliśmy dół głęboki na metr, ale tacie to nie wystarczyło.

- Lepiej pokopać stopę głębiej. Tak dla pewności.
- Chciałeś powiedzieć: trzydzieści centymetrów - droczyłam się z nim.

Nigdy nie zrezygnowaliśmy z posadzenia dębu tylko dlatego, że osiągnąłby dojrzałość dopiero za pięćdziesiąt lat. „Nie dożyję chwili, w której zrobi się z niego naprawdę dorodne drzewo” - mawiał tata. A potem i tak go sadził. Oburzał się, kiedy szkółki drzew reklamowały swoje rośliny jako „szybkorosnące” i obiecywały „ekspresowy wzrost”. Uważał to za niewłaściwe podejście do życia.

Teraz musiałam się zmierzyć z myślą, że ja też nie dożyję chwili, w której tamte dęby zmieniają się w duże drzewa. Wiodłam życie, które dawniej było nam obce, przed którym przestrzegano mnie od kołyski i które odradzała mi każda komórka w moim ciele. Trudno było jednak trzymać się rodzicielskich nauk w obliczu śmierci Robyn, Corrie i Chrisa. Ich śmierć, śmierć wszystkich innych ludzi, którą widziałam albo o której słyszałam, oraz zaginięcie dwunastu nowozelandzkich żołnierzy powoli, stopniowo mnie zmieniały. Drażły mnie jak strumień rów. Jak zanok-cica owce. Jak rak.«j

Dlatego opuściłam Piekło razem z pozostałymi, przygnębiona, zastanawiając się, czy kiedykolwiek je jeszcze zobaczę. I bez żadnego planu. Gdyby udało mi się odnaleźć mamę, byłabym szczęśliwa. O niczym więcej nie myślałam. Nie wiedziałam, czy czegoś więcej dożyję. Ale jednocześnie byłam pewna, że musimy walczyć dalej. Już

dawno minęliśmy etap, na którym siedzieliśmy i dyskutowaliśmy o moralnej słuszości walki i zabijania. Przeszliśmy tak długą drogę, że nie było odwrotu. Musieliśmy dotrzeć do końca, bez względu na to, jaki mógł się okazać. Musieliśmy wierzyć, że wszystko się ułoży. Niektóre z naszych dawnych rozmów o walce wydawały mi się teraz naiwne.

21

Wspinaliśmy się coraz wyżej. Burza przeszła tu z impetem. W trzech miejscach szlak poprzecinały zwalone drzewa. Prowadziłam ze sobą małą grę, wyobrażając sobie, że te drzewa to Ro-byń, Corrie i Chris i że jeśli znajdziemy następne, to będzie znaczyło, że któreś z nas także zginie. ✓

Wychodząc z Piekła, nie napotkaliśmy już więcej powalonych drzew, ale po drodze na Wombegonoo minęliśmy dwa. Przełaząc nad ich połamanymi gałęziami i pogniecionymi liśćmi - drzewa rosły bardzo blisko siebie - nie mogłam przestać się zastanawiać, czy przypadkiem czegoś nie symbolizują. Symbolizowały coś czy może po prostu przejmowałam się głupotami? Na lekcjach angielskiego często zajmowaliśmy się symbolami. Utrudnialiśmy pracę pani Jenkins. „Oj, proszę pani - jęczeliśmy. - Niech nam pani nie wmawia, że autor miał to na myśli! Założę się, że gdyby tu teraz był, powiedziałby: »Nie mam pojęcia, o czym pani mówi, ja po prostu napisałem sobie opowiadanie«".

W Zabić drozda jest taki fragment, w którym Jem powstrzymuje Smyka od zabicia żuka. Pani Jenkins powiedziała, że ten żuk to symbol Toma Robinsona, ale sama nie wiem. Jak dla mnie to było trochę naciągane.

Na szczycie Wombegonoo wiał silny, rzeński wiatr. Przegonił chmury i zostawił jasne niebo. Było chłodno, ale nie zimno. Ostatnio często padał deszcz, zdarzyło się kilka burz. Pozostawiały niebo takie czyste

i bezchmurne. Zmywały kurz i pozwalały gwiazdom świecić. Ale chyba jeszcze nigdy nie widziałam tak czystego nieba jak tamtej nocy.

Szukałam symboli, więc może niebo było jednym z nich? Gwiazdy miały przeróżne kolory. Oczywiście przeważnie w odcieniach bieli, ale niektóre z domieszką błękitu, inne czerwieni, a jeszcze inne żółci albo złota. Kilka płonęło silną czerwienią. Kiedy kilka lat temu Slaterów odwiedziła przyjaciółka z Japonii, powiedziała, że mieszkańcy Tokio mają szczęście, jeśli widać ze

22

dwanaście gwiazd. Nie wiem, ile gwiazd widzieliśmy tamtego wieczoru. Miejscami niebo było tak rozjaśnione, że zmieniało się w lśniący strumień światła.

Na początku radio odbierało całkiem dobrze. Pułkownik Fin-ley wydawał się bardziej odprężony. Chyba Nowozelandczykowi szło na wojnie trochę lepiej. Nie wiem, może po prostu zjadł dokładkę deseru. Może awansował. Może ucieszył się na dźwięk naszych przyjaznych głosów. Pewnie krążył po swojej kancelarii i mówił: „Kurczę, nie mogę się doczekać, kiedy znowu odezwą się moi młodzi kumple. Tęsknię za nimi. Może poślę po nich helikopter?”.

Oczywiście musieliśmy uważać na słowa. Gdy byliśmy jeszcze w Nowej Zelandii, pułkownik Finley poradził nam, żebyśmy, korzystając z radia, zawsze zakładali, że wróg podsłuchuje. Kazał nam mówić „zwięźle i powściągliwie”. Col i Ursula powtarzali to samo. Nigdy się nie dowiedziałam, co właściwie znaczy „powściągliwie”, ale nietrudno było się domyślić.

Mówił Homer. Właśnie oznajmił pułkownikowi, że wybieramy się na terytorium wroga, ale nie po to, by poszukać „parszywej dwunastki” - bo tak ochrzciliśmy zaginionych Nowozelandczyków. W zasadzie nie liczyliśmy na to, że jeszcze kiedyś ich zobaczymy - chyba że za sprawą jakiegoś szczęśliwego zrządzenia losu. Byliśmy pewni, że jeśli

nadal żyją, nie są przetrzymywani w najbliższej okolicy. Może w Stratton, ale na pewno nie w Wirrawee ani w Holloway. W najlepszym razie byli jeńcami, oczywiście umieszczonymi w więzieniu o zastrzonym rygorze, a nie na terenie wystawowym w Wirrawee.

Najbliższe więzienie o zastrzonym rygorze było w Stratton, o czym wszyscy dobrze wiedzieliśmy, choć bardzo możliwe, że jakiś czas temu wypadło z gry. Dostało straszne baty podczas co najmniej jednego nalotu, który tam przeżyliśmy. Naloty mogły oznaczać koniec Stratton jako miejsca przetrzymywania groźnych przestępców, takich jak my albo żołnierze z Nowej Zelandii.

23

No więc powiedzieliśmy pułkownikowi, że zmierzamy w innym kierunku, by siać jak największe zniszczenie. Usłyszawszy to, nie wydawał się już taki odprężony. Typowym dla siebie oschłym i oficjalnym tonem odpowiedział:

- Cokolwiek zrobicie, wasze działania zostaną docenione. Jeśli w odpowiedzi na waszą działalność skierują tam choćby jednego żołnierza, będą mieli jednego żołnierza mniej do walki na kluczowych obszarach. Czy możemy coś dla was zrobić?

Było to ze strony pułkownika dość nielogiczne pytanie, bo siedząc w Wellington, miał mocno ograniczone możliwości. Homer skorzystał jednak z szansy:

- Byłoby miło, gdyby ktoś nas stąd zabrał.

Pułkownik Finley odpowiedział takim głosem, jakby naprawdę miał poczucie winy:

- Nie zrozumcie mnie źle. Wcale was nie porzuciliśmy. Wydostaniemy was stamtąd, ale w tej chwili to naprawdę niemożliwe. W każdym razie nie skreślajcie nas jeszcze.

Myślę, że te słowa trochę podniosły nas wszystkich na duchu. Chwilę później z połączeniem zaczęły się dziać dziwne rzeczy: usłyszeliśmy trzaski, gwizdy i odgłos przypominający warkot piły motorowej. Homer próbował się połączyć jeszcze raz, ale go powstrzymałam. Nagła utrata sygnału i dziwne hałasy w tak bezchmurną noc napędziły mi stracha. Pomyślałam, że jedna z naszych obaw może być uzasadniona: chyba ktoś próbował nas namierzyć. Zmusiłam Homera, żeby wyłączył radio. Zresztą i tak nie było sensu ciągnąć tej rozmowy. Dobrze usłyszeć przyjazny głos dorosłego człowieka - miły i pocrzepiający - ale nie mogliśmy mu nic więcej powiedzieć. On nam także.

Wkrótce potem ruszyliśmy w drogę. Spakowaliśmy się. Lee wziął radio, owijając je folią i wkładając do małej puszkki przetrwania, którą nosił przy pasku. Obserwowałam go z lekkim uśmiechem. Był taki zorganizowany, taki dokładny Czasami mnie tym

24

denerwował - może dlatego, że sama byłam zupełnie inna i dobrze o tym wiedziałam. Tym razem nie mogłam się powstrzymać od komentarza.

- Przypominasz mi dziewczynę, jesteś taki staranny - powiedziałam.

Lee wzruszył ramionami. Nie wydawał się zasmucony.

- Może pewnego dnia mi podziękujesz - odparł tylko.

Wiedziałam, że ma rację i że moje słowa były niesamowicie głupie - nawet jak na mnie - więc od razu się przymknęłam.

Szliśmy gęsiego po Szwie Krawca. Trochę przesadzam, kiedy o nim piszę. Nie przypomina ostrza żyletki, które mogłoby wyrządzić paskudną krzywdę, gdyby któryś z chłopaków upadł na nie okraciem.

Przeważnie można tamtędy iść dość swobodnie, czasami nawet obok siebie. Jednak w innych miejscach jest naprawdę wąsko i trzeba być trochę ostrożniejszym. Ale upadek nie oznaczałby lotu tysiąc metrów w dół na złamanie karku. Człowiek tylko trochę by się sturlał. Gdyby niefortunnie upadł, mógłby złamać nogę, ale to przecież może nas spotkać wszędzie.

Jest tam szlak przez lata wydeptywany butami leśnych wędrowników. Te tereny zawsze cieszyły się wśród nich popularnością. Bywały tygodnie, w ciągu których przez nasze pola przechodziło kilkanaście osób, kierując się ku Szwowi Krawca. Kiedy indziej, zwłaszcza zimą, przez parę miesięcy nie widywaliśmy nikogo.

Nie tylko ludzie wydeptali ten szlak. Szłam przodem, a za mną szedł Homer, Fi, Lee i Kevin, który - co nie było żadnym zaskoczeniem - został kawałek w tyle. Musiałam jednak zwolnić, bo zobaczyłam tłusty zadek wombata, który chybotliwie toczył się naprzód we własnym tempie. Wombaty żyją według swoich zasad. Kiedy byłam mała, przyjechała do mnie na weekend koleżanka z miasta, Annie Abrahams. Nigdy wcześniej nie była na farmie. Pierwszego wieczoru, tuż po zachodzie słońca, wracałyśmy

25

z kurnika, w którym zamknęłyśmy kury - trochę później, niż należało - i wtedy Annie zobaczyła wombata. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, podbiegła do niego i go przytuliła. Chyba myślała, że to coś w rodzaju milutkiego mięciutkiego niedźwiadka. Wombat nie wahał się ani chwili. Odwrócił się i zatopił zęby w jej nodze.

Wrzasnęła jak kakadu o zmierzchu. Próbowałam odciągnąć wombata, ale okazało się to niemożliwe. Są strasznie silne. Wołałam tatę, Annie bez przerwy się wydzierała, a wombat warczał głośniejsze niż buldożer jadący pod górkę. Przerazające. Nie wiedziałam, jak wielką krzywdę może wyrządzić Annie. Myślałam, że rozerwie jej nogę na kawałki. W końcu przybiegł tata. Też bezskutecznie próbował odciągnąć

wombata, a w końcu dał mu strasznego kopa. Wombat wypuścił nogę i obolały uciekł w mrok. Nie wiedziałam, czy bardziej przejmować się zdrowiem wombata, czy stanem nogi Annie. Ale noga nie wyglądała najgorzej. Choć widniał na niej siniak, zęby nie przecięły skóry - to chyba raczej szok i strach sprawiły, że moja koleżanka darła się jak opętana.

Do dzisiaj nie wiem, co się stało z tamtym wombatem.

Innym razem wombat został uwięziony w małej łazience w głębi szopy do strzyżenia owiec. Nie wiem, jak się tam dostał, a już tym bardziej nie mam pojęcia dlaczego. Może szukał jedzenia. Może chciał skorzystać z toalety. W każdym razie znaleziono go dopiero rano. Nie było mnie przy tym, ale słyszałam, że musiał tam spędzić strasznie dużo czasu. No i widziałam zdemolowaną łazienkę.

Niewiarygodne. Gdyby tam wejść z wielkim młotem i przez całą noc wymachiwać nim z całej siły, nie wyrządziłoby się większych szkód. To była drewniana toaleta wyłożona azbestem, z którego nie uratował się nawet kawałeczek. Na podłodze wałały się tylko fragmenty. Na ścianie pozostały małe kawałki przybite gwoździami do drewna. Tyle że większość desek była połamana i sterczały z nich drzazgi. Zupełnie jakby wombat przez całą noc nawalał w nie z główki. Bo chyba właśnie to robił.

26

Kiedy zatem zdałam sobie sprawę, że idziemy za wielkim tyłkiem wombata, zwolniłam kroku. Na szlaku było wąsko, a nie spieszyło mi się jeszcze do bójki.

- O, popatrzcie - powiedziała Fi za moimi plecami. - Wom-bat. Prawda, że śliczny?

Od razu się wystraszyłam, że czeka mnie powtórka przygody z Annie Abrahams.

- Jasne, śliczny - mruknełam. - Tylko trzymaj się od niego z daleka.

Fi przystanąła i patrzyłyśmy, jak wombat kolebie się naprzód. Zbliżaliśmy się do miejsca, w którym droga dla terenówek zaczynała prowadzić w dół, w stronę farmy, i wombat zaczął odbijać w lewo. Pomyślałam, że to dobra okazja, by pokazać Fi sztuczkę, której sama nigdy nie próbowałam, ale o której opowiadał mi tata. Nie mając pojęcia, czy się uda - i nie bardzo w to wierząc - powiedziałam do Fi:

- Wiesz, że one idą za światłem latarki?

Tak często wkręcaliśmy Fi, która padała ofiarą tak wielu kawałów, że tym razem nie chciała mi uwierzyć.

- Tak, jasne - powiedziała z powątpiewaniem.

- Mówię serio. Przysięgam.

Zdjęłam plecak i otworzyłam boczną kieszonkę, żeby wyjąć latarkę. Zostawiłam plecak na ziemi, przeszłam dziesięć kroków i zapaliłam latarkę. Znajdowaliśmy się wśród drzew, więc nie było zagrożenia ze strony wrogich żołnierzy. Skierowałam światło latarki ku ziemi tuż przed wombatem, a następnie przesunęłam je w bok. Ku mojemu zaskoczeniu wombat od razu skręcił i posłusznie poszedł za światłem. Oczywiście nie dałam po sobie poznać, że mnie to zaskoczyło. Udawałam spokój, jakbym się tego spodziewała.

Zaserwowałam wombatowi spacerek, poruszając latarką na boki. Czułam się jak choreografka. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

27

- O mój Boże - powtarzała Fi swoim cichutkim głosikiem, który czasami brzmiał tak, jakby unosił się w oddali. - To niesamowite.

Wokół nadal było mało miejsca, bo tuż za nami ciągnął się Szew Krawca, a po bokach rósł gęsty las. Poruszyłam więc latarką jeszcze

raz, skłaniając wombata, by ruszył w moją stronę. Czułam absolutną pewność siebie, totalną kontrolę. Zamierzałam powoli się cofać i patrzeć, jak wombat do mnie drepcze. Wombat nie znał jednak mojego scenariusza. Bez żadnego widocznego powodu ruszył naprzód, opuszczając płamę światła na ziemi. Może mnie zobaczył - chociaż naprawdę wątpię. Wombaty sprawiają wrażenie prawie całkiem ślepych. Oczywiście mogą udawać.

Na początku myślałam, że to żart, i zaczęłam się powoli cofać. Przyspieszyłam, kiedy wombat zwiększył tempo. Potem nagle do mnie dotarło, że mam kłopoty. Wyglądało na to, że ruchy latarki straciły wszelkie znaczenie. Wombat złamał wszystkie zasady. Przestał się trzymać zarówno ich, jak i światła. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zapomniałam o własnej godności i wpadłam w panikę. Wombat w galopie może być naprawdę przerażający. Te zwierzęta wyglądają jak wypchane poduchy na czterech małych nóżkach, ale potrafią naprawdę niezłe się rozpędzić. Więc i ja trochę przyspieszyłam. Ignorując dziki śmiech pozostałej czwórki, obróciłam się, by móc się schronić na ścianie Szwu Krawca.

I przewróciłam się o własny plecak.

Upadłam jak kłoda. Reszta sikała ze śmiechu. Muszę przyznać, że naprawdę się bałam. Myślałam, że za chwilę zostanę rozerwana przez dzikiego wombata. Jego powarkiwania brzmiały zdecydowanie nieprzyjaźnie. Poza tym wylądowałam na chorym kolanie, a to zabolowało. Przez chwilę myślałam, że wombat na mnie wskoczy i odgryzie mi głowę.

Ale nie. Odbił w bok i zniknął w zaroślach. Miał dosyć ludzi jak na jeden wieczór. Podniosłam się z wysiłkiem, bez niczyjej

28

pomocy. Wszyscy nadal pokładali się ze śmiechu. Czasami potrafią być naprawdę głupi i niedojrzali. Otrzeptałam się, założyłam plecak z

powrotem i ruszyłam przed siebie. Musieli sami zdecydować, czy iść za mną, czy nie.

Najdziwniejsze było to, że po tej przygodzie Kevin przestał się na mnie wkurzać. Częściej się śmiał, częściej rozmawiał i włączał mnie do rozmowy. Nie wiem, dlaczego uznał, że znowu jestem w porządku, ale najwyraźniej mu przeszło, więc pomyślałam, że prawie warto było zaliczyć to bliskie spotkanie z wombatem. Prawie.

Rano Kevin znowu był naburmuszony. Zatrzymaliśmy się tuż przed piątą rano i trochę odpoczęliśmy. Nie rozkładaliśmy namiotów ani tropików, ale rozwinęliśmy karimaty, żeby się zdrzemnąć. Spałam chyba z godzinę. Obudziłam się w samą porę, by usłyszeć bzyczenie pierwszej plujki dnia. Kiedy człowiek usłyszy pierwszą plujkę, wie, że noc się skończyła. Im dłużej trwa lato, tym wcześniej pojawiają się plujki i tym więcej ich jest.

Wstałam i wyjęłam kilka produktów na śniadanie. Żadnych frykasów, tylko suszone morele, owocowe roll-upy i granolę. Zatrzymaliśmy się około trzysta metrów od strumienia. Nauczyła mnie tego Ursula: nigdy nie rozbijaj obozu nad samym strumieniem, bo szum wody sprawi, że nie usłyszysz, jak ktoś się skrada.

Kiedy skończyłam bawić się jedzeniem i poprzekładałam kilka rzeczy w plecaku - zawsze starałam się idealnie poukładać rzeczy w plecaku, stało się to moim naczelnym hobby - pobudzili się pozostali. Rano żadne z nas nie było w dobrej formie. Oprócz Fi. Fi zaczynała funkcjonować zaraz po przebudzeniu. Nie tak jak terenowy diesel. Wstawała, a potem natychmiast poruszała się, myślała i mówiła z normalną prędkością. Drugi w tym rankingu był Lee, ale sporo mu brakowało do poziomu Fi. Ja i Kevin byliśmy najgorsi.

No więc chodziłam i zrzędziłam, od czasu do czasu mamrocząc coś do pozostałych, gdy każde z nas przygotowywało swoje dziwaczne zestawy śniadaniowe.

Nie zadaliśmy sobie trudu, by postawić kogoś na warcie, bo nadal byliśmy w gęstym lesie, choć dość blisko drogi z Wirra-wee do Holloway. Kiedy moi przyjaciele jedli, poszłam jednak na spacer, żeby sprawdzić, czy uda mi się zobaczyć coś ciekawego. Mimo plujek to był przyjemny ranek. Nadal wyczuwało się ten świeży chłód typowy dla początku dnia, zanim słońce wszystko osuszy i przypiecze powietrze, i nawet plujki dadzą za wygraną, postanawiając poszukać cienia. Zafundowałam sobie porządny krótki spacer i w końcu zdołałam się dobudzić, mimo że jedyną interesującą rzeczą, jaką zobaczyłam, był pstrąg bijący światowy rekord w skoku wzwyż, by pochwycić przelatującego owada. Zupełnie jak Roy Cazaly. Ryba wzbiła się metr nad wodę. No, prawie metr.

Kiedy wróciłam, trafiłam w sam środek zacieklej kłótni. Usłyszałam ją z odległości stu metrów, co bardzo mnie zmartwiło. Ostatnio nauczyliśmy się rozmawiać dość cicho. Szczerze mówiąc, krzyki były tak głośne, że z początku w ogóle nie rozpoznałam głosów. Przeszedł mnie okropny dreszcz strachu, że ktoś nas znalazł. Gdy zdałam sobie sprawę, że to tylko moi przyjaciele, z ociąganiem ruszyłam w stronę obozu. Właśnie zaliczyłam miły spacer i nie chciałam się mieszać w jakieś nieprzyjemności. Słyszałam, jak Homer wrzeszczy na Kevina:

- Jezu, Kevin, jesteś żaloszny. Nic ci się nie chce.
- Lepiej bądźcie ciszej - powiedziałam, kiedy do nich podeszłam. - Usłyszają was w Wirrawee.

Lee stał pod drzewem. Nigdy nie widziałam, żeby tak brzydko wyglądał. Splótł ręce na piersi i z paskudną pogardliwą miną wpatrywał się w Kevina. Fi siedziała nad strumieniem, trzymając swoją miseczkę w wodzie, jakby chciała ją umyć, tyle że w ogóle

nie poruszała rękami. Homer i Kevin stali naprzeciw siebie jak dwa złe psy, które spotykają się pierwszy raz. Gdyby mieli sierść na plecach, byłaby pewnie zjeżona. Jak się nad tym zastanowić, Homer ma sporo włosów na plecach...

Nie, nie powinnam z tego żartować. Sprawa była zbyt poważna.

- W czym problem? — zapytałam, kiedy nikt nie odpowiedział na moje ostrzeżenie.

- Kevina obleciał strach - stwierdził Lee. - Znowu.

Byłam trochę zdziwiona. Wyglądało na to, że chłopaki mogą zarzucać Kevinowi tchórzostwo, a ja nie.

- Nie obleciał mnie żaden cholerny strach - krzyknął Kevin. - Zrobiłem tyle samo co wy, albo i więcej. Po prostu jestem realistą. Rodzice Lee zginęli, a teraz on chce tam pobiec i zabić każdego, kogo napotka. No i dobrze, niech sobie idzie, ale mnie się nie spieszy do samobójstwa.

- Kev, nie jesteśmy tacy głupi - rozzłościł się Homer. - Prawie zawsze udawało nam się ich przechytrzyć.

- No jasne - odpowiedział Kevin. - Nasza ostatnia wyprawa do Wirrawee zakończyła się wielkim sukcesem, prawda? Nic nie zrobiliśmy, nic nie osiągnęliśmy To pieprzony cud, że w ogóle udało nam się przeżyć.

-Jeśli chcesz, możesz wracać do Piekła - powiedział Lee -ale ja nie zamierzam. Cokolwiek napotkamy na naszej drodze, damy sobie radę.

Oczywiście mam nadzieję, że znajdziemy mamę Ellie, ale poza tym liczę na to, że napotkamy jakieś cele, które będzie można zaatakować.

- O, pieprzony bohater - prychnął Kevin. - Słuchaj, Lee, sytuacja się zmieniła. Inwazja zakończyła się sukcesem. Dokonała się. Oni wygrali. Nieważne, dokąd pójdziemy. Zobaczą nas, dogonią i złapią. A potem zabiją. Rozumiesz? To już nie ma sensu. Jedynym bezpiecznym miejscem, które nam pozostało, jest Piekło.

32.

- «t.

Wszędzie indziej nas wywęszą. Mówię ci, w ciągu sześciu miesięcy zaczną tu organizować górskie wycieczki, tak jak za naszych czasów, i lepiej się módl, żeby pułkownik Finley zdążył wcześniej przysłać helikopter, bo to nasza jedyna nadzieja.

Jego słowa zdenerwowały nawet Fi.

- To jeszcze nie koniec - powiedziała, nie podnosząc głowy. - Nadal myślę, że możemy zwyciężyć. Nowozelandczycy też tak uważają.

- Wątpię, żeby kiedykolwiek udało nam się wszystko odzyskać - powiedział Homer. - W najlepszym razie pewnego dnia nastąpi zawieszenie broni, podzielą nasz kraj i część ziem odzyskamy. Z tego, co mi wyjaśnił pułkownik Finley, im większy teren będziemy wtedy kontrolować i im bardziej zepchniemy ich do defensywy, tym większy obszar dostaniemy po tym wielkim podziale.

- Pułkownik Finley. Co on tam wie! - zawołał Kevin. — Po prostu mówi, co chcemy usłyszeć. Byleby tylko nas skłonić do robienia tego, czego od nas oczekuje. Tak jak mama, która mówi: „Jedz warzywa, a urośniesz duży i silny”. To nic nie znaczy.

- Na ciebie podziałało - zauważyłam, w typowy dla siebie taktowny sposób próbując rozładować napięcie. Równie dobrze mogłam się nie odzywać, bo nikt nie zwracał na mnie uwagi.
- Kevin, nie możesz sobie wbić do tej wielkiej głowy, że nie mamy innego wyjścia? - wycedził Lee przez zaciśnięte zęby. Potem zacisnął również usta, tak że jego wargi utworzyły jedną wąską linię. Nigdy nie widziałam go aż tak wściekłego. - Jeśli nic nie zrobimy, jeśli będziemy po prostu siedzieć i czekać na transport do Nowej Zelandii, okazemy się żałośni. Gorzej niż żałośni. A jeśli nikt po nas nie przyleci, będziemy mieli pozamiatane. Naprawdę pozamiatane. Czasami nie ma już dalszych pytań. Czasami nie ma o czym dyskutować. Jeśli w ogóle mamy jakiś wybór, to chyba jest prosty: możemy zginąć w walce albo umrzeć jako

33

tchórze. To kiepskie opcje, zgoda, ale jeśli nasza sytuacja rzeczywiście tak wygląda, ja wiem, co wybiorę.

Oświadczenie Lee tak bardzo nami wstrząsnęło, że zamilkliśmy. Ubrał w słowa to, co sama czułam od jakiegoś czasu, choć nie stanęłam z tym twarzą w twarz. Zwinęliśmy karimaty i włożyliśmy resztki śniadania z powrotem do plecaków. Potem ruszyliśmy dalej. Nadal nikt się nie odzywał. Pół godziny wcześniej poranek wydawał mi się przyjemny, ale teraz stracił swój urok.

Kevin nadal za nami człapał. Jeśli nawet przyszło mu do głowy, żeby samotnie wrócić do Piekła, nie miał odwagi wcielić tych zamiarów w życie. Przypomniały mi się słowa mojej trenerki hokeja, pani Sanderson, która powiedziała, że nieśmiali gracze najczęściej odnoszą obrażenia. Zastanawiałam się, czy to zły znak dla Kevi-na. Podkreślałam, nie jestem pewna, czy pani Sanderson miała rację, bo w naszej drużynie najwięcej obrażeń odnosiła Robyn, która bez wątpienia była naszą najbardziej agresywną zawodniczką.

Wyszliśmy na drogę z Wirrawee do Holloway i skręciliśmy w prawo. Ta część trasy była osłonięta drzewami z obu stron, więc mogliśmy z łatwością unikać pojazdów, dając nura w zarośla, gdy tylko usłyszeliśmy warkot silnika. W milczeniu wleliśmy się dalej, zagubieni w myślach. Na początku tej wyprawy czułam dreszczyk podniecenia, ale teraz było już gorzej. Chyba podświadomie liczyłam na to, że pójdziemy, znajdziemy moją mamę, wszyscy wpadną w dziką radość, a potem będą żyli długo i szczęśliwie. Niezbyt dobrze to wszystko przemyślałam.

Szłam ze spuszczoną głową, patrząc, jak przy każdym kroku pył opada mi na buty. Stare, dobre, wierne buty. Gdy byłam w więzieniu w Stratton, strażnicy zabrali mi sznurówki, ale po wyjściu stamtąd nadal miałam te buty na nogach. Teraz, kilka miesięcy później, wydawały już prawie ostatnie tchnienie, pozostało im zaledwie kilka kilometrów życia. Wyglądały na niekochane - co nie było prawdą - i zaniedbane - co nią było. Kiedyś

34

miały barwę oliwkowej zieleni, bardzo ciemnej. Odnosiło się wrażenie, że jeśli człowiek przyjrzy im się wystarczająco uważnie, gdzieś w głębi tej zieleni dostrzeże czerń. Teraz miały odcień jaśniejszej, wyschniętej zieleni. Kolor wypłowił wskutek ciężkiego żywota. Były podrapane, znoszone i zmatowiały, zwłaszcza na czubkach. Na same czubki mogłabym zużyć całe opakowanie pasty.

Podobnie jak większość butów, moje także wymagały sporo wysiłku o poranku, kiedy je wkładałam, ale gdy już znalazły się na nogach, stawały się najwygodniejszą parą, jaką kiedykolwiek nosiłam. Nie były zbyt efektowne, ale za to bardzo solidne. Nie chciałam się z nimi rozstawać. Tworzyły jedną z nielicznych więzi, które nadal łączyły mnie z domem.

Homer, który szedł przede mną, prowadząc naszą paczkę, nagle się zatrzymał. Omal na niego nie wpadłam, ale szybko zdałam sobie sprawę, dlaczego stanął. Dotarliśmy na skraj lasu i przed nami otwierały się pola uprawne. Właśnie pokonałam cztery kilometry, myśląc wyłącznie o swoich butach. Życie bywa zabawne. Przed wojną czasami jeździliśmy z Wirrawee do Stratton i przez całą podróż niczego nie zauważałam. Dojeżdżaliśmy do Stratton, a ja nie miałam pojęcia, jak się tam dostaliśmy, w ogóle nie pamiętałam drogi. Teraz przydarzyło mi się to samo w wersji pieszej.

Domyśliłam się, że jesteśmy jakieś trzy kilometry od Holloway West, które na mapie tworzyło kropkę oddaloną od samego Holloway o mniej więcej pięć, sześć kilometrów. Przetrasałam umysł, próbując sobie przypomnieć, co tam jest. Stacja benzynowa i sklep, szkoła, którą rząd zamknął tuż przed wybuchem wojny, dwa kościoły i z czterdzieści domów. Przynajmniej tak to zapamiętałam. A gdy wślizgnęliśmy się w zarośla i zdjęliśmy plecaki, żeby zrobić przerwę, okazało się, że pozostali pamiętają niewiele więcej.

35

Czekała nas jednak dość łatwa trasa. Stara droga, obecnie zaledwie leśny trakt, biegła kilkaset metrów w głąb lasu, równoległe do nowej szosy. Wiedziałam, że prowadzi aż na szczyt, a potem chyba ciągnęła się dalej, gdzieś niedaleko Micklemore, ku dawnemu osiedlu wojskowemu. W okolicy nie było nic, co mogłoby nas zainteresować, oprócz dobrych kryjówek i ewentualnej okazji znalezienia kilku niesplądrowanych chat. Mieszkało tu trochę dziwnych ludzi: weteranów, hippisów i tych, którzy woleli żyć z dala od innych.

Ruszyliśmy więc najkrótszą drogą ku staremu traktowi. Wił się między drzewami i przecinał parę strumieni. Była to przyjazna trasa, poznaczona koleinami i pylista. Poczułam sympatię do ludzi, którzy wiele lat temu wryli ją w tym suchym lesie. Lasy kojarzą się z pięknem przyrody i często faktycznie są piękne, ale ten nie był. Rosło

tam tylko mnóstwo małych i średnich eukaliptusów, prawie nie widziałam poszycia, a jedynie zgaszoną zieleń i zgaszony brąz pozbawione jaśniejszych barw. Nie zauważyłam nawet ptaków.

Mimo to w lesie nadal czułam się jak w domu i było tam bezpiecznie. Szliśmy powoli, przede wszystkim z powodu zmęczenia, ale chyba również dlatego, że nie mieliśmy żadnego konkretnego celu.

Planowaliśmy, że nocą poszpiegujemy na farmach, aż uda nam się znaleźć jeńców, z którymi będzie można porozmawiać. Mieliśmy nadzieję, że udzielią nam jakichś informacji na temat moich rodziców i powiedzą coś, co nam podpowie, dokąd pójść i co zrobić. Tymczasem byliśmy otwarci na sugestie.

Dotarliśmy do skrzyżowania, gdzie pylista droga, która odchodziła od głównej trasy, spotykała się z naszym traktem. Prowadziła na wysypisko śmieci. Było ono dość duże - choć jak na standardy dużego miasta niewielkie - lecz służyło zarówno Wirrawee, jak i Holloway. Już przed połączeniem rad miejskich korzystały z niego oba miasta.

36

Czekała nas jednak dość łatwa trasa. Stara droga, obecnie zaledwie leśny trakt, biegła kilkaset metrów w głąb lasu, równoległe do nowej szosy. Wiedziałam, że prowadzi aż na szczyt, a potem chyba ciągnęła się dalej, gdzieś niedaleko Micklemore, ku dawnemu osiedlu wojskowemu. W okolicy nie było nic, co mogłoby nas zainteresować, oprócz dobrych kryjówek i ewentualnej okazji znalezienia kilku niesplądrowanych chat. Mieszkało tu trochę dziwnych ludzi: weteranów, hippisów i tych, którzy woleli żyć z dala od innych.

Ruszyliśmy więc najkrótszą drogą ku staremu traktowi. Wił się między drzewami i przecinał parę strumieni. Była to przyjazna trasa, oznaczona koleinami i pylista. Poczułam sympatię do ludzi, który wiele lat temu wryli ją w tym suchym lesie. Lasy kojarzą się z pięknem przyrody i często faktycznie są piękne, ale ten nie był. Rosło

tam tylko mnóstwo małych i średnich eukaliptusów, prawie nie widziałam poszycia, a jedynie zgaszoną zieleń i zgaszony brąz pozbawione jaśniejszych barw. Nie zauważyłam nawet ptaków.

Mimo to w lesie nadal czułam się jak w domu i było tam bezpiecznie. Szliśmy powoli, przede wszystkim z powodu zmęczenia, ale chyba również dlatego, że nie mieliśmy żadnego konkretnego celu.

Planowaliśmy, że nocą poszpiegujemy na farmach, aż uda nam się znaleźć jeńców, z którymi będzie można porozmawiać. Mieliśmy nadzieję, że udzielią nam jakichś informacji na temat moich rodziców i powiedzą coś, co nam podpowie, dokąd pójść i co zrobić. Tymczasem byliśmy otwarci na sugestie.

Dotarliśmy do skrzyżowania, gdzie pylista droga, która odchodziła od głównej trasy, spotykała się z naszym traktem. Prowadziła na wysypisko śmieci. Było ono dość duże - choć jak na standardy dużego miasta niewielkie - lecz służyło zarówno Wir-rawee, jak i Holloway. Już przed połączeniem rad miejskich korzystały z niego oba miasta.

3 6

Czekała nas jednak dość łatwa trasa. Stara droga, obecnie zaledwie leśny trakt, biegła kilkaset metrów w głąb lasu, równoległe do nowej szosy. Wiedziałam, że prowadzi aż na szczyt, a potem chyba ciągnęła się dalej, gdzieś niedaleko Micklemore, ku dawnemu osiedlu wojskowemu. W okolicy nie było nic, co mogłoby nas zainteresować, oprócz dobrych kryjówek i ewentualnej okazji znalezienia kilku niesplądrowanych chat. Mieszkało tu trochę dziwnych ludzi: weteranów, hippisów i tych, którzy woleli żyć z dala od innych.

Ruszyliśmy więc najkrótszą drogą ku staremu traktowi. Wił się między drzewami i przecinał parę strumieni. Była to przyjazna trasa, oznaczona koleinami i pylista. Poczułam sympatię do ludzi, który wiele lat temu wryli ją w tym suchym lesie. Lasy kojarzą się z pięknem przyrody i często faktycznie są piękne, ale ten nie był. Rosło

tam tylko mnóstwo małych i średnich eukaliptusów, prawie nie widziałam poszycia, a jedynie zgaszoną zieleń i zgaszony brąz pozbawione jaśniejszych barw. Nie zauważyłam nawet ptaków.

Mimo to w lesie nadal czułam się jak w domu i było tam bezpiecznie. Szliśmy powoli, przede wszystkim z powodu zmęczenia, ale chyba również dlatego, że nie mieliśmy żadnego konkretnego celu.

Planowaliśmy, że nocą poszpiegujemy na farmach, aż uda nam się znaleźć jeńców, z którymi będzie można porozmawiać. Mieliśmy nadzieję, że udzielią nam jakichś informacji na temat moich rodziców i powiedzą coś, co nam podpowie, dokąd pójść i co zrobić. Tymczasem byliśmy otwarci na sugestie.

Dotarliśmy do skrzyżowania, gdzie pylista droga, która odchodziła od głównej trasy, spotykała się z naszym traktem. Prowadziła na wysypisko śmieci. Było ono dość duże - choć jak na standardy dużego miasta niewielkie - lecz służyło zarówno Wir-rawee, jak i Holloway. Już przed połączeniem rad miejskich korzystały z niego oba miasta.

36

- 1

My, drobni farmerzy, w zasadzie na nie nie jeździliśmy, bo jak wszyscy rolnicy mieliśmy wysypisko we własnym gospodarstwie. Na pastwisku Nellies był dół, do którego wrzucaliśmy odpady, odkąd dziadek kupił tę ziemię. Można było stanąć na krawędzi i ujrzeć całą historię naszej farmy pod postacią wielkiej sterty u swoich stóp. Może pewnego dnia dokopie się do niej jakiś archeolog i napisze książkę o mojej rodzinie. Pierwszy samochód rodziców, kremowy pikap aliant, nadal tam rdzewiał, podobnie jak roztrzaskany kuchenny stół z laminatu, na który runął pijany postrzygacz w szopie do strzyżenia owiec. Były tam płyty blachy zerwane z dachu przez burzę piaskową w 1994 roku, dziurawe zbiorniki, kilka samochodów i traktorów oraz kawałki maszyn. Leżały tam pozostałości po moich katastrofalnych w

skutkach próbach pędzenia piwa imbirowego - dziesiątki butelek, które eksplodowały od nadmiaru gazu - i pompa, która spłonęła, kiedy zwłoki utopionej owcy dostały się pod zawór stopowy i uniosły go nad wodę. Owca też trafiła do dołu, lądując na starym komputerze, który próbowaliśmy sprzedać przez półtora roku. Tata w końcu stracił cierpliwość i wyrzucił go w napadzie złości.

Któregoś roku w czasie przerwy bożonarodzeniowej próbowałam ułożyć puzzle przedstawiające ocean. Po trzech tygodniach miałam dość. Zebrałam tysiąc kawałków, pomaszerowałam na skraj dołu i wyrzuciłam je ceremonialnym gestem.

Nasz dół na śmieci był chyba czymś w rodzaju muzeum rolnictwa. Tata uważał, że każdy wyrzucony tam przedmiot ma swoją historię.

•N

Na wysypisko Wirrawee-Holloway jeździliśmy tylko wtedy, gdy musieliśmy się pozbyć jakichś substancji toksycznych, na przykład chemikaliów. Wrzucali je tam do specjalnego zbiornika. Dlatego gdy tata musiał po coś jechać do Holloway, czasami wrzucał na pakę ładunek odpadów.

37

- Płacimy takie podatki, że równie dobrze możemy z tego skorzystać - mówił.

Prawie za każdym razem mu towarzyszyłam i nawet lubiłam te wycieczki. Najbardziej podobało mi się za dawnych czasów, zanim posprzątało na wysypisku. Stało wtedy otwarte przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i wszędzie wałały się śmieci. Człowiek nigdy nie wiedział, co tam znajdzie. Potem zaczęły się problemy ze strony Komisji Ochrony Środowiska albo czegoś w tym rodzaju, więc rada musiała zatrudnić gościa, który miał pilnować porządku. No i zrobiło się trochę nudno. Wysypisko było otwarte tylko pięć dni w ciągu dwóch tygodni, bo dzieliliśmy się Darrylem - czyli gościem, który tam

pracował - z wysypiskiem w Risdon. Przez pięć dni pracował na ich wysypisku, a przez następne pięć na naszym. Odwalał kawał dobrej roboty, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Po miesiącu jego pracy butelki znalazły się w jednej części składowiska, papier w drugiej, a wszystkie samochody utworzyły ogromną stertę na południowym krańcu. Na terenie wysypiska zbudował blaszaną szopę, w której trzymał wszystko, co mogło mieć jakąś wartość, na przykład stare lodówki, siedzenia samochodów i kawałki drewna. Był bardzo zorganizowany.

Pewnego dnia tata musiał pojechać do Holloway, więc pomyślał, że przy okazji wpadnie na wysypisko. Chciał wyrzucić trochę płynu odkażającego dla owiec, któremu dawno minął termin ważności. A ponieważ i tak musiał tam zajechać, zabrał też starą kuchenkę. Załadowanie jej na pakę wymagało godziny siłowania się, pocenia i przeklinania. W końcu trzeba było użyć dźwigu. Z jego i moją pomocą kuchenka trafiła na pakę. Potem tata dorzucił jeszcze beczki płynu odkażającego i ruszyliśmy w drogę. Wszystkiego pozbyliśmy się na wysypisku, a kiedy odjeżdżaliśmy, tata zapytał Darryla, czy ma jakiś stary dywan. Mama chciała go rozłożyć w ogrodzie, żeby zdusić chwasty.

38

- Niech pan zajedzie w drodze powrotnej z Holloway. Wyciągnę coś dla pana.

- Dobra - powiedział tata. - Wielkie dzięki.

Dwie godziny później wracaliśmy z miasta i skręciliśmy na północny kraniec wysypiska, by zabrać dywan. Gdy podjechaliśmy do buldożera, zauważyliśmy faceta w pikapie.

- Hej, kolego - zagadnął mojego tatę. - Może mógłbyś mi pomóc?

- Jasne - odpowiedział tata. - Co mogę dla ciebie zrobić?
- Tylko popatrz, co ktoś wyrzucił. Nie do wiary, że ludzie pozbywają się takich rzeczy. Idiotów nie brakuje, no nie?

I oczywiście poprowadził tatę prosto do naszej kuchenki.

Tata spiorunował mnie wzrokiem i nie sposób było nie zrozumieć jego przesłania. Te oczy mówiły: „Powiedz chociaż jedno słowo, młoda damo, a przez następne trzy lata codziennie będziesz wycinała rzepy z wełny”.

No więc stałam i próbując powstrzymać się od śmiechu, patrzyłam, jak tata i ten facet wysilają się, pocą i przeklinają, by w końcu załadować kuchenkę na pikapa. Muszę przyznać, że nawet im trochę pomogłam. Facet był ogromnie wdzięczny mojemu tacie. Ciągłe powtarzał, jakie to wspaniałe znalezisko i że ktoś, kto wyrzucił tę kuchenkę, musiał być strasznie głupi. Kiedy już ją przywiązali, zamknęli klapę i facet odjechał, tata odwrócił się do mnie i powiedział:

- Nie waż się pisać o tym mamie. Nigdy.
- Okej, tato - powiedziałam. - Możesz mi zaufać.
- W tej sprawie? - odparł. - Wątpię.

Nigdy nie potrafił się śmiać z tej historii, a kiedy kilka tygodni później próbowałam z tego zażartować, uciszył mnie, zanim zdążyłam dokończyć pierwsze zdanie.

A teraz, rok później, znów byłam na wysypisku. Czego bym nie dała, by zobaczyć Darryla przy bramie, jakiegoś faceta

39

paplającego o swoim wspaniałym znalezisku i mojego tatę, który gotując się ze złości, ładuje kuchenkę na jego pikapa.

Była już prawie pora lunchu. Na myśl o wejściu na wysypisko zrobiło mi się trochę niedobrze. Oczami wyobraźni widziałam sterty gnijącego jedzenia, które zawsze wałało się po całym terenie, otoczone chmurami much. Nie mogłam jednak pozwolić, by zapanowała nade mną wyobraźnia: ostatnio musiałam na nią uważać. Wyobraźnia i pamięć stały się moimi wrogami. Przed wojną się przyjaźniłyśmy. Teraz musiałam je kontrolować na wszystkie możliwe sposoby. W przeciwnym razie nie przeżyłabym już ani jednej spokojnej nocy - a co dopiero spokojnego dnia.

Wysypisko nic się nie zmieniło. Sroki i kruki przechadzały się po nim krokiem właścicieli. Zobaczyłam ogromne góry odpadów zepchnięte buldożerem p.w. - przed wojną. Pośród papieru, plastiku i zbutwiałego drewna leżały dziwne sterty, których nie sposób było zidentyfikować. Szare, białe i brązowe: zapleśniałe stosy, nieprzypominające niczego, co widziało się wcześniej, i co można było zobaczyć gdzieś indziej.

Weszliśmy na wysypisko bez większego entuzjazmu, którego zresztą brakowało nam od rana. Nie byliśmy pewni, co robić ani czy szukamy czegoś konkretnego. Zaczęłam się zastanawiać, po co w ogóle zaprzątamy sobie głowę wysypiskiem. Bo właściwie jaki to miało sens? Snuliśmy się bez celu - sama nie wiem, może liczyliśmy na to, że coś znajdziemy. W końcu takie poszukiwania były teraz podstawą naszego stylu życia. Może już niedługo będziemy wdzięczni za szansę przespania się w kartonowym pudle na śmietniku. „Znalazłeś karton? Luksus!”

Mimo wszystko spędziliśmy tam godzinę i dobrze się bawiliśmy. Nie był to wprawdzie Disneyland, ale znaleźliśmy kilka ciekawostek. Nawet Kevin znowu się rozchmurzył, na chwilę, choć nie chciał nam dać satysfakcji i próbował to przed nami ukryć. Fi znalazła trzciniowy kosz pełen popsutych zabawek - misiów,

Humphreyów, małpek i tygrysków, wszystkie po licznych amputacjach - i zaczęła się nimi rzucać z Homerem. Ja miło spędziłam czas, czytając stare gazety. Na wierzchu były żółte i brudne, ale gdy dostałam się kilka centymetrów niżej, ich jakość się poprawiła. Było to trochę przygnębiające i znowu zatęskniłam za domem, ale poza tym czułam się dziwnie. Dawniej przejmowaliśmy się takimi bzdurami! Jeden z artykułów w dziale sportowym zaczynał się od słów: „North zapłaciło za tragiczną kontuzję kolana Barry'ego McManusa utratą wszelkich szans na udział w tegorocznych finałach”.

„Tragiczna kontuzja! - pomyślałam. - Powiem wam, co jest tragiczne. Tragiczne jest to, że Lee stracił rodziców. Tragiczne jest to, że Robyn, Corrie i Chris zostali pozbawieni pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu lat życia. Tragiczne jest to, że jeden kraj napada na drugi, grabi go i okupuje. To jest tragiczne”.

Dałam sobie spokój z gazetami i zaczęłam spacerować po wysypisku, kopiąc przedmioty walające się pod nogami i od czasu do czasu przystając, by się czemuś przyjrzeć. Fi i Homer znudzili się swoją zabawą i chcieli już iść. Stali przy blaszanej szopie Dar-ryla i wołali nas. Kevin już prawie do nich dołączył, a Lee opuszczał mały plac zabaw, który udało mu się znaleźć, i też zmierzał w ich stronę. Z westchnieniem odwróciłam się plecami do stosu starych zdjęć rozrzuconych na ziemi i poszłam za przyjaciółmi.

Dotarłam do baraku jako ostatnia i ledwie zdążyłam. Gęste zarośla otaczające wysypisko były dobrą zasłoną, która tłumiała hałas na drodze. Szłam do przyjaciół z szerokim uśmiechem na twarzy, zamierzając im opowiedzieć o komiksie w jednej z gazet, gdy zobaczyłam, że twarz Homera nagle się wykrzywia, jakby użądliła go osa.

- Ellie! Uważaj! - krzyknął.

Niemal w tej samej sekundzie usłyszałam warkot. Warkot silników ciężarówek pracujących na niskich obrotach. Na początku

41

myślałam, że to tylko jeden pojazd, ale potem zdałam sobie sprawę, że jest ich więcej. Homer i pozostali zniknęli w szopie. Wyglądało to tak, jakby wpadli do środka jednym płynnym ruchem, niczym cyrkowi klauni. Gdyby był czas na żarty, mogłabym z nich zażartować. Ale starczyło czasu tylko na strach. Sama wskoczyłam do szopy. Głupio było się pakować w taką śmiertelną pułapkę, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Szopę otaczała pusta przestrzeń. Najbliższą osłoną były zarośla oddalone o sześćdziesiąt, osiemdziesiąt metrów. Gdybyśmy do nich pobiegli, zostalibyśmy zauważeni już w połowie drogi.

Chociaż w zasadzie nie wiedziałam, czy ktoś przypadkiem nie zauważył mojego tyłka i pięt znikających w małej blaszanej szopie. Znajdowałam się pewnie w polu widzenia przybyszy. A ruch bardzo łatwo zauważyć. Od razu rzuca się w oczy. Dobiegłam do baraku najszybciej, jak umiałam. Nie wiedziałam tylko, czy wystarczająco szybko. Padłam na przyjaciół, przewracając Homera i Fi. Nikt jednak nie marnował słów na dyskusowanie o tak błahych problemach. Gdy tylko się pozbieraliśmy, zajęliśmy pozycje, z których mogliśmy obserwować, co się dzieje. Ciężarówki przejeżdżały już obok baraku - miałam fuksa.

Zajęłam pozycję tuż nad podłogą. Wyglądałam przez szczelinę w blasze w rogu budynku. Miałam wystarczająco dobry widok, by zyskać dość jasny obraz sytuacji. Doliczyłam się trzech dużych ciężarówek, ale trzy pierwsze prawdopodobnie minęły barak, zanim znalazłam swój punkt obserwacyjny. Zauważyłam dwie duże śmieciarki i małą ciężarówkę do przewozu mebli. Ci kolesie przyjechali z poważną misją. Prawdopodobnie był to ich wypad tygodnia. Możliwe, że przywieźli śmieci z Wirrawee. Jak na małe Holloway wydawało się ich zbyt dużo.

Ostatnia ciężarówka zatrzymała się tuż przy baraku, poza moim polem widzenia. Próbowałam wywnioskować, co się dzieje, na podstawie odgłosów. Chyba ustawili się w kolejkę, żeby

42

zrzucić śmieci. Homer mocno się do mnie przysunął. Poczułam, jak jego łokieć wbija mi się w żebra. Poruszyłam się trochę, żeby się od niego uwolnić.

- Co teraz zrobimy? - szepnęła zrozpaczona Fi.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy byliśmy w totalnym szoku. W jednej chwili się wyglupialiśmy, nie czując żadnej presji, bawiąc się na starym dobrym wysypisku, a już w następnej zaglądaliśmy śmierci w oczy. Widziałam jej źrenice. Wcześniej też ocieraliśmy się o śmierć. Mimo to poczułam, że tym razem może naprawdę być po nas. Od jakiegoś czasu nawiedzała mnie śmieszna myśl, że gdy nas złapią (myślałam o tym już w kategoriach „kiedy”, a nie „jeśli”), nastąpi to pewnie w jakiś głupi, zwyczajny sposób - bez dramatów i wielkich scen, nie podczas wysadzania mostu w powietrze, brania zakładnika albo atakowania konwoju, ale we śnie albo w toalecie. Albo gdy skręcimy ścieżką gdzieś w środku lasu, gdzie dotąd czuliśmy się bezpieczni, i ujrzymy przed sobą tysiąc żołnierzy z wycelowanymi w nas karabinami.

Właśnie to się teraz działo. Sytuacja była zupełnie niepozorna i nagle wpadliśmy w pułapkę. Kapnęła na mnie jakaś ciecz. To był pot Homera. Gorący. Nie mogłam nic poradzić. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. W końcu ktoś odpowiedział na pytanie Fi. O dziwo, tym kimś okazał się Kevin.

- Po prostu tu przeczekamy.

Kiepska odpowiedź. Gdyby do baraku wszedł jakiś żołnierz, byłoby po nas, doigralibyśmy się.

Nikt z nas nie zareagował na słowa Kevina. Wyglądało jednak na to, że prawdziwe rozstrzygnięcie przyjdzie z zewnątrz. W moim polu widzenia ukazał się żołnierz. Szedł powoli, zwyczajnie, jakby mu się nudziło. Z ust zwisał mu papieros. Facet szedł prosto na nas. Od razu było widać, co się dzieje. Postanowił zajrzeć do szopy.

43

Gdy był pięć metrów od drzwi, usłyszałam czyjś krzyk. Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał w stronę, z której dobiegł głos, a potem wzruszył ramionami, zawrócił i poszedł z powrotem równie ospale jak wcześniej.

Rozległ się warkot ciężarówki jadącej na niskim biegu i piskliwy, przesywający sygnał cofania. Słyszałam, jak cofają pozostałe ciężarówki. Chyba kolejka ruszyła. Żołnierz, który szedł sprawdzić barak, prawdopodobnie dostał rozkaz, by przesunąć swój pojazd.

Nagle ukazała mi się pierwsza ciężarówka. Domyśliłam się, że już pozbyła się ładunku. Z piskiem hamulców i chrobotaniem zatrzymała się dokładnie naprzeciw mojej szczeliny. To też była mała ciężarówka do przewozu mebli, tyle że bardzo długa.

Potem kierowca ruszył w naszą stronę. Facet z ciężarówki do przewozu mebli wysiadł z kabiny, przeciągnął się i skierował kroki w stronę szopy z nieco większą werwą niż jego poprzednik.

Zesztywniałam. Co mieliśmy robić? Nie mogliśmy go zabić. Pozostali od razu ruszyliby za nami w pogoń i tylko pogorszylibyśmy swoją sytuację, gdyby zobaczyli, że uśmierciliśmy im kolegę. Mogliśmy liczyć najwyżej na to, że nie zastrzelą nas na miejscu. Gdyby nas zabrali do Wirrawee, dość szybko by odkryli, że to my zabiliśmy ich oficera, nawet jeśli to był wypadek. Tak jakby.

A gdyby wszczęli dochodzenie, mogliby nas skojarzyć z wieloma innymi postępkami.

Z drugiej strony zabranie do Wirrawee było najlepszym scenariuszem, na jaki mogliśmy mieć nadzieję, bo po drodze mielibyśmy przynajmniej szansę uciec.

Kierowca nadal szedł prosto do drzwi. Nie był młodzieniaszkiem - miał ze czterdzieści lat - i nie nosił munduru. Chyba nie służył w wojsku. Nie potrzebowali żołnierzy do wożenia śmieci na wysypisko.

44

Zniknął mi z pola widzenia, bo moja szczelina nie dawała wielkich możliwości. Czułam tak wielkie napięcie, że nie mogłam oddychać. Płuca przeszywał mi dziwny ból. Gapiłam się na drzwi, czekając, kiedy się otworzą. Ale się nie otworzyły. Po chwili facet wrócił do swojego pojazdu. Niósł całe naręczne juty. Przypomniałam sobie stertę jutowych worków przy drzwiach baraku, które leżały tam pod osłoną dachu.

Facet wdrapał się na pakę. Był tam tylko chwilę, a potem wrócił i znowu ruszył w naszą stronę. Ponownie podniósł stertę jutowych worków i zaniósł je do ciężarówki.

Tym razem, kiedy kierowca był na pace, Lee zakradł się pod drzwi, przywarł do ściany i wyjrzał na zewnątrz. Potem szepnął:

- Hej, wszyscy są zajęci, zrzucają ładunek ręcznie.

Nikt się nie odezwał. Lee najwyraźniej czekał na jakąś reakcję. Gdy żadne z nas nic nie powiedziało, dodał:

- Chyba powinniśmy spróbować się stąd wydostać. Kiedy ten facet jeszcze raz pójdzie do samochodu.

Poczułam, że Homer się porusza, ale mimo to nadal milczał. Jego pot kapął na mnie jak deszcz.

- Dokąd mielibyśmy pójść? - zapytała Fi.

- Podejźmy do ciężarówki od drugiej strony. Potem możemy spróbować ukryć się w tych zaroślach przy ogrodzeniu. Albo przemknąć do tamtych wraków.

- Ale... - zaczął Kevin.

- Ciii - uciszył go Homer.

Facet wracał. To był jego trzeci kurs. Gdy tylko odwrócił się w stronę ciężarówki z następnym naręczem worków, Homer dołączył do Lee pod drzwiami. Wyglądało na to, że podjęli decyzję za nas wszystkich. To zawsze mnie rozwścieczało.

Nie było jednak czasu na kłótnie. Ruszyłam za nimi do drzwi. Czułam, że Fi i Kevin idą tuż za mną. Kiedy facet wszedł po drabince na pakę, Lee otworzył drzwi. Jeszcze raz szybko spojrział

45

w lewo. Najwidoczniej mężczyźni po drugiej stronie wysypiska nadal byli zajęci, bo od razu ruszył do przodu. Homer poszedł za nim, nawet się nie rozglądając, co uznałam za dość zaskakujące. Ja oczywiście się rozejrzałam. Pospiesznie, ale jednak. Nie było wiele do oglądania. Tylko ciężarówka z długą przyczepą zwróconą w stronę góry śmieci oraz paru kolesi zrzucających z niej odpady. Ktoś z tyłu - Fi albo Kevin, choć założę się, że Kevin - lekko mnie popchnął. Poczułam przyływ złości, ale i tym razem nie było czasu na emocje. Pochyliłam głowę i pobiegłam.

Tak jak chłopaki okrążyłam kabinę ciężarówki. Znalazłam ich po drugiej stronie, gdzie opierali się o długą pakę, próbując nie dyszeć. Obaj gapili się na mnie wytrzeszczonymi oczami. Były tak wielkie i nieproporcjonalne, że przypominały oczy psa chi-huahua. Moje pewnie wyglądały tak samo.

Nagle z boku podbiegli do mnie Fi i Kevin. Wszyscy przyłgnęliśmy do metalowej ciężarówki z nadzieją, że nikt nas nie widział, że

kierowca nas nie słyszał. Przykucnęłam i zajrzałam pod samochód, próbując sprawdzić, co się dzieje. Po chwili zobaczyłam stopy kierowcy. Szedł wzdłuż samochodu po drugiej stronie, a potem oczywiście odbił w stronę szopy. Mieliśmy chwilę, by zaplanować następny ruch. Wstałam i używając języka migowego, pokazałam przyjaciółom, co się dzieje.

W odpowiedzi tylko się na mnie gapili. Byli przerażeni i nadal wytrzeszczali te wielkie oczy.

Kiedy się rozejrzałam, zobaczyłam to, co oni zauważyli już wcześniej. Mieliśmy poważny problem. Zarośla pod ogrodzeniem były zbyt daleko. Dzieliło nas od nich z pięćdziesiąt metrów. A przez czterdzieści dziewięć z tych pięćdziesięciu bylibyśmy wystawieni na widok reszty kierowców. Wraki samochodów, o których wspomniał Lee, były niewiele lepsze. Równie oddalone jak ogrodzenie, tyle że w jeszcze bardziej niebezpiecznym kierunku, niedaleko rozładowywanej ciężarówki.

46

w lewo. Najwidoczniej mężczyźni po drugiej stronie wysypiska nadal byli zajęci, bo od razu ruszył do przodu. Homer poszedł za nim, nawet się nie rozglądając, co uznałam za dość zaskakujące. Ja oczywiście się rozejrzałam. Pospiesznie, ale jednak. Nie było wiele do oglądania. Tylko ciężarówka z długą przyczepą zwróconą w stronę góry śmieci oraz paru kolesi zrzucających z niej odpady. Ktoś z tyłu - Fi albo Kevin, choć założę się, że Kevin - lekko mnie popchnął. Poczulałam przyływ złości, ale i tym razem nie było czasu na emocje. Pochyliłam głowę i pobiegłam.

Tak jak chłopaki okrążyłam kabinę ciężarówki. Znalazłam ich po drugiej stronie, gdzie opierali się o długą pakę, próbując nie dyszeć. Obaj gapili się na mnie wytrzeszczonymi oczami. Były tak wielkie i

nieproporcjonalne, że przypominały oczy psa chi-huahua. Moje pewnie wyglądały tak samo.

Nagle z boku podbiegli do mnie Fi i Kevin. Wszyscy przyłgnęliśmy do metalowej ciężarówki z nadzieją, że nikt nas nie widział, że kierowca nas nie słyszał. Przykucnęłam i zajrzałam pod samochód, próbując sprawdzić, co się dzieje. Po chwili zobaczyłam stopy kierowcy. Szedł wzdłuż samochodu po drugiej stronie, a potem oczywiście odbił w stronę szopy. Mieliśmy chwilę, by zaplanować następny ruch. Wstałam i używając języka migowego, pokazałam przyjaciółom, co się dzieje.

W odpowiedzi tylko się na mnie gapili. Byli przerażeni i nadal wytrzeszczali te wielkie oczy.

Kiedy się rozejrzałam, zobaczyłam to, co oni zauważyli już wcześniej. Mieliśmy poważny problem. Zarośla pod ogrodzeniem były zbyt daleko. Dzielilo nas od nich z pięćdziesiąt metrów. A przez czterdzieści dziewięć z tych pięćdziesięciu bylibyśmy wystawieni na widok reszty kierowców. Wraki samochodów, o których wspomniał Lee, były niewiele lepsze. Równie oddalone jak ogrodzenie, tyle że w jeszcze bardziej niebezpiecznym kierunku, niedaleko rozładowywanej ciężarówki.

46

Poza tym nie było żadnej osłony.

Usłyszałam kroki, więc zanurkowałam i jeszcze raz spojrzałam pod podwoziem. Kierowca wracał. Znowu wszedł po drabince, wnosząc worki na samochód. Słyszałam, jak porusza się w środku. Tupot jego butów odbijał się echem od aluminiowej paki. Potem wyszedł i znowu ruszył w stronę szopy.

Tym razem nie podniosłam się i patrzyłam dalej. Zobaczyłam, jak jego stopy idą prosto do drzwi budynku i wchodzą do środka.

Wiedziałam, co musieliśmy zrobić.

- Na pakę - syknęłam do pozostałych.

Gapili się na mnie z przerażeniem.

- Skończył ładować worki - powiedziałam, choć było to bardzo ryzykowne. W zasadzie nie wiedziałam, czy naprawdę skończył. Po prostu zakładałam, że tak, skoro tym razem wszedł do szopy. - Szybko - dodałam.

Przejmując rolę Homera, zmusiłam ich do uległości, ruszając jako pierwsza. Przecisnęłam się obok chłopaków i sprintem podbiegłam do ciężarówki od tyłu. Dzięki Bogu, klapa nadal była otwarta. Weszłam po drabince, a potem do środka, czując, że ktoś -nie wiedziałam kto - idzie tuż za mną.

W środku było jak w kościele: ciemno i cicho. Tyle że pachniało stęchlizną i było gorąco. Aż przeszły mnie ciarki. A może to ze strachu? Nie wiem.

4

Facet myślał jak specjalista od przeprowadzek: gromadził materiał, który zamierzał wykorzystać do ochrony ładunku. W dwóch przednich rogach paki przywiązał zgrabne sterty koców, jutowych worków i filcu. To, co zdobył dzisiaj, nie było jeszcze przywiązane - rzucił wszystko na podłogę. Może chciał to wyprać. Przez wzgląd na przyszłych klientów miałam nadzieję, że tak. Niektóre kawałki juty były dość brudne.

Zakopałam się pod stertą jutowych worków. Było ich tak dużo, a na pace panowała taka ciemność, że facet wcale nie musiał nas tam zauważyć.

Przynajmniej jedno było pewne: Lee postąpił właściwie, wyciągając nas z baraku. Kierowca wszedł do środka, więc musielibyśmy go obezwładnić i uciec albo się poddać. A poddanie się nadal nie mieściło nam się w głowach. Wprawdzie czasami wręcz chciałam, żeby nas złapano - żeby to wreszcie się skończyło - ale gdy przychodziło co do czego, zrobiłabym wszystko, byleby tylko uniknąć niewoli.

Ktoś zakopał się pod filcem tuż obok mnie. Ktoś lekki, prawdopodobnie Fi. Czułam, że jej buty dotykają moich.

Było mi gorąco, pociałam się i wszystko mnie swędziało. Jutowe worki były strasznie zakurzone i obawiałam się, że kichnę

48

tak jak w składzie paliw w Wirrawee, w noc naszego nieudanego benzynowego sabotażu. Tym razem myślałam, że jestem w stanie się powstrzymać, ale co jeśli kichnie ktoś inny? Czy Fi miała alergię na kurz? Cała jej rodzina była na niego uczulona. Jej młodsza siostra cierpiała na paskudną astmę.

Kilka minut później rozległ się dźwięk, który miał przesądzić

o naszym losie. Odgłos kroków. Nastąpiła chwila ciszy. Przypomniałam sobie, jak pewna pani w Nowej Zelandii opowiadała mi o swoim synku, któremu cierpły nogi. Narzekał wtedy: „Mamo, mam lemoniadowe nogi”. No więc w tamtej chwili cała byłam z lemoniady. Moja skóra musowała. Czułam się tak, jakby po głowie pełzały mi wszy. Potem z przerażeniem pomyślałam, że być może cały ten materiał pakunkowy jest zawszony. To nie było wykluczone.

Rozległo się skrzypnięcie, potem huk i nastąpiła nagła ciemność. Mężczyzna zamknął pakę.

Znowu zaczęłam oddychać. Swędzenie głowy ustało, więc uznałam, że chyba jednak nie jestem zawszona.

Usiadłam, zrzucając z siebie jutowe worki. Było zbyt ciemno, żebym mogła zobaczyć, co robią pozostali, ale moje oczy stopniowo się przyzwyczajały. Zdałam sobie sprawę, że obok mnie jest Fi, tak jak przypuszczałam. Ona też się podnosiła.

Ciężarówka zatrzęsała się, gdy kierowca siadał za kierownicą

1 zamykał drzwi, a potem pojazd zadygotał, bo facet zapuszczał silnik. Ruszyliśmy do przodu, ale przejechaliśmy zaledwie z pięćdziesiąt metrów i staliśmy pięć minut z pracującym silnikiem. Pomyślałam, że prawdopodobnie czekamy na pozostałe ciężarówki. Nikt nie odważył się mówić. Nie byliśmy pewni, jak cienka jest ścianka dzieląca nas od kierowcy. Ponad warkotem silnika rozległ się dźwięk klaksonu. Najwidoczniej był to umówiony sygnał, bo po chwili kierowca wrzucił bieg - jego skrzynia biegów była raczej kiepsko zsynchronizowana - i ruszyliśmy w drogę.

49

Nawiasem mówiąc, w czasie pokoju linie lotnicze oferowały loty niespodzianki, by zappełnić puste miejsca. Pasażer przyjeżdżał na lotnisko i dopiero wtedy dowiadywał się, dokąd poleci. Oczywiście robiły tak tylko duże lotniska, nie to w Stratton, a już z pewnością nie to w Wirrawee, ale państwo Mathersowie kilka razy wybrali się w taką podróż.

Teraz my też mieliśmy swój lot niespodziankę.

Mój umysł zmierzał ku najczystszej panice. Wiedziałam, że muszę przede wszystkim zapanować nad własną głową, nad sobą.

Oddychałam głęboko i próbowałam się skupić. Trochę to trwało, ale w końcu poczułam się spokojniejsza i mogłam normalnie myśleć.

Przezołgałam się na środek paki. Łapiąc po drodze każdą kończynę,

którą napotkałam, zmusiłam pozostałych, by też się tam przesunęli. I tak odbyła się nasza najdziwniejsza narada: szeptaliśmy do siebie, ułożeni na kształt gwiazdy na rozgrzanej, podskakującej podłodze ciężarówki.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Fi.

Było to jedno z jej standardowych pytań. Nikt nie odpowiedział. Jednak w końcu odezwał się Homer:

- Dość łatwo otworzyć tę klapę od wewnątrz.

- Potrafisz to zrobić cicho? - zapytałam.

- Chyba tak. Przy zamykaniu nie było zbyt dużo hałasu.

- Ale nie możemy otworzyć klapy podczas jazdy, bo zobaczą nas kierowcy ciężarówek z tyłu - powiedział Lee.

Najwidoczniej wpadł na ten sam pomysł co Homer - że moglibyśmy wyskoczyć z jadącej ciężarówki - ale szybko zdał sobie sprawę, że to bez sensu.

- Pozostaje nam tylko schować się jeszcze raz pod workami, kiedy się zatrzymamy - szepnęłam - i mieć nadzieję, że kierowca nie wejdzie do środka.

- A co potem? - zapytała Fi.

50

- Przyczaimy się, a potem spróbujemy się wydostać. Może zaczekamy do zmroku.

- Kiedy się chowaliśmy, zauważyłem pewną rzecz — powiedział Lee.

-Co?

- Między tą częścią a kabiną kierowcy jest mały luk. Kiedy usłyszymy, że kierowca wysiada i okrąża ciężarówkę, możemy przejść do przodu.

Milczałam. To była przydatna informacja. Raczej nie gwarantowała nam przetrwania - nic go nie gwarantowało - ale naprawdę dawała dodatkową iskierkę nadziei. A w tamtej chwili byłam wdzięczna za każdą iskierkę nadziei, nawet tę najmniejszą.

Ciężarówka jechała dalej. Droga była dość prosta i asfaltowa. To mogło oznaczać Wirrawee, ale nie miałam pewności. Równie dobrze mogliśmy się znajdować w Risdon albo w West Stratton. Byłam pewna jedynie tego, że nie jesteśmy na głównej trasie do Stratton.

Lee spojrział przez szparę w drzwiach i wrócił z wiadomością, że widzi za nami co najmniej jedną ciężarówkę. To ostatecznie ucięło temat wyskakiwania podczas jazdy. A nawet gdybyśmy jechali sami - czy mielibyśmy odwagę skoczyć? Wątpię. W najlepszym razie pięć osób złamałoby dziewięć nóg. Ciężarówka jechała dość szybko.

- Lepiej weźmy każdą broń, którą uda nam się znaleźć - zaproponował Homer. - A raczej wszystko, co można wykorzystać jako broń.

- Okej - powiedziałam. - Ale schowajmy ją między workami. Jeśli nas złapią, lepiej wyglądać niewinnie. Nie mieć w kieszeniach niczego, co mogliby nazwać bronią.

Nie wiem, co znaleźli pozostali, ale ja miałam niewiele: nożyk do owoców, pudełko zapalek i dość ciężką latarkę, którą być

może udałoby się zdzielić kogoś po głowie. Przełożyłam tę latarkę do bocznej kieszeni plecaka, zapalki do kieszeni dzinsów, a potem, mimo tego, co powiedziałam pozostałym, wsunęłam nóż za skarpetkę. Pomyślałam, że jeśli nas nakryją, spróbuję się go szybko pozbyć.

Ta sytuacja była naprawdę trudna do zniesienia. Mogliśmy spędzić w podróży dziesięć minut albo dziesięć godzin. Mój pęcherz coraz rozpaczliwiej domagał się opróżnienia, ale musiałam sobie wyraźnie powiedzieć, że to niemożliwe. Wiedziałam, że to tylko z nerwów.

Pozwoliłam myślom płynąć swobodnie, jak zawsze. Czasami to bardzo denerwujące. I niebezpieczne. Pamiętam, jak prowadziłam nowozelandzkich żołnierzy ku Szwowi Krawca i dalej do Piekła. Przez połowę drogi marzyłam na jawie, a potem zdałam sobie sprawę, że przez swoją lekkomyślność mogłam sprowadzić na nich wszystkich śmierć.

Kiedyś tata bez przerwy krzyczał do mnie z drugiego końca pastwiska:

- Ellie, nadal jesteś w krainie żywych?

W tej chwili marzenie na jawie nie stwarzało jednak większego zagrożenia. Nie mogliśmy zrobić nic, żeby sobie pomóc. Nie było wyjścia z tej ciemnej, stęchłej celi. Próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądają tereny, które właśnie mijamy. Był koniec listopada, szybko zbliżał się grudzień, więc na zewnątrz panował pewnie spory ruch. Nawadnianie pól szło pełną parą, dojarki odprowadzały mleko do zbiorników i siano rośliny, które zbiera się latem, takie jak soja i słoneczniki. My kąpalibyśmy teraz owce w płynie odkażającym.

Zastanawiałam się, czy osadnicy też robią takie rzeczy. Zakładałam, że drzewa nadal rodzą owoce, a owce parzą się i rodzą jagnięta - to pozostawało niezmiennie, wojna czy nie wojna. Nigdy nie znudziło mi się obserwowanie jagniątek. To jedna

z najlepszych rzeczy w życiu. Wyglądają tak, jakby były zrobione z wyciorów do fajki, drepczą wokół, próbując udawać, że mogą uprawiać gimnastykę, podczas gdy mogą co najwyżej stać prosto.

Zastanawiałam się nad nawadnianiem pól. P.w. - przed wojną - można było wziąć z rzeki albo z kanału nawadniającego określoną ilość wody. Była ściśle reglamentowana, by nie zabrakło jej ludziom mieszkającym w dolnym biegu rzeki oraz by nie wyschły zbiorniki. Każdy miał wodomierze na pompach i specjalna komisja sprawdzała, czy ludzie biorą tylko tyle, ile im wolno. Jeśli teraz nikt tego nie kontrolował, zrobił się wielki bałagan: niektórzy zbierali świetne plony, a inni zmagali się z suszą.

Nasze gospodarstwo było dość daleko od farm z systemem nawadniania, ale gromadziliśmy sporo deszczówki. Ostatnia większa susza była cztery lata temu. Zazwyczaj udawało nam się zebrać około pięciuset milimetrów wody rocznie.

Jak na razie ten sezon wyglądał dobrze. Wokół rosło mnóstwo zbóż.

A my byliśmy wiosennymi jagniątkami, które być może właśnie jechały na przedwczesną rzeź.

Nagle coś zakłóciło moje marzenia na jawie. Samochód zaczął zwalniać. Poczulałam, jak włączają się hamulce, a potem usłyszałam ich pisk. Zadziałały zdecydowanie i ciężarówka stanęła. Nadal warczał silnik, ale nie słyszałam niczego poza tym dźwiękiem. Zresztą i tak znów leżałam pod workami, z nadzieją, że pozostali mieli na tyle rozumu, by zrobić to samo.

Po chwili ponad basowym warkotem silnika usłyszałam czyjeś głosy. Wołały do siebie. To była rozmowa trzech głosów, z których jeden należał do kobiety. Trwała około minuty, pewnie nawet krócej. Głosy były tak lekkie i radosne, że chyba rozmowa dotyczyła pogody.

Rozległ się zgrzyt i nagle znów byliśmy w ruchu. Nie nabraliśmy jednak prędkości tak jak po opuszczeniu wysypiska. Toczyliśmy się bardzo gładką drogą, o wiele gładszą niż poprzednia, lecz jednocześnie poruszaliśmy się znacznie wolniej. Zostałam pod workami. Przejechaliśmy może z kilometr. Potem znowu się zatrzymaliśmy. Silnik zgasł. Zapadła długa, okropna cisza. Nie było słychać warkotu pozostałych ciężarówek. Do moich uszu docierało jedynie ciche pobrzękiwanie stygnącego silnika. Wydawało się jakby spotęgowane, więc pomyślałam, że możemy być w jakiejś szopie albo w garażu. Kilka minut później usłyszałam kaszel kierowcy.

Odcharknął i splunął. Poczułam lekkie mdłości. Nie cierpię, kiedy ludzie tak robią, nie znoszę tego odgłosu, nie wspominając o widoku.

Potem mężczyzna wysiadł z ciężarówki i trzasnął drzwiami.

Usłyszałam kroki. Odbijały się echem, więc znowu pomyślałam, że musimy być w jakimś garażu, i to w dużym. Brzmiało to tak, jakby facet szedł po betonie. Po chwili usłyszałam trzaśnięcie innych drzwi. I tyle. Nie licząc cykania silnika, zapadła zupełna cisza.

Pomyślałam, że nadeszła pora na szybkie decyzje. Zrzuciłam z siebie drapiące, rozgrzane worki i szepnęłam na tyle cicho, by mogli mnie usłyszeć tylko moi przyjaciele:

- Chodźmy, zanim nas tu znajdą.

Wiedziałam, że to ryzykowne, ale pozostanie na miejscu wydawało się znacznie bardziej niebezpieczne.

Nikt nie odpowiedział, choć nagła cisza uświadomiła mi, że wszyscy naraz wstrzymali oddech, więc raczej usłyszeli moje słowa.

Zrozumiałam, że to ja mogę być osobą, która będzie musiała wyjść jako pierwsza. Idąc na oślep, z rękami uniesionymi przed twarzą, ruszyłam w stronę klapy. Wtedy nagle Homer znalazł się tuż obok i szepnął:

- Chyba będzie bezpieczniej wyjść przez kabinę kierowcy.

Zastanowiłam się. Tak, mógł mieć rację.

54

Kabina zapewniała lepszą osłonę. Gdybyśmy otworzyli dużą tylną klapę, przez chwilę bylibyśmy wystawieni na widok każdego, kto akurat znalazłby się w pobliżu. Za to prześlizgnąwszy się do kabiny kierowcy, moglibyśmy się rozejrzeć, zanim ktoś by nas zauważył.

Dlatego ostrożnie ruszyłam w drugą stronę. Tym razem Homer był tuż za mną. Pośrodku przedniej ścianki znajdowały się małe przesuwane drzwiczki. Z jednej strony była szczelina, przez którą przenikało światło, więc znalazłam przejście bez problemu. Przesunęłam drzwiczki w lewo i choć były zabezpieczone i ciężko je było poruszyć, w końcu udało mi się je otworzyć. W kabinie było dość ciemno, co dowodziło, że rzeczywiście jesteśmy w szopie albo w garażu. Przepisnęłam się przez otwór. Chyba nie został zrobiony z myślą o ludziach - raczej po to, by kierowca mógł otworzyć drzwiczki i rzucić okiem na to, co się dzieje na pace. Łądując głową na przednim siedzeniu, szeroko się uśmiechnęłam, myśląc, jak bardzo będzie się musiał namęczyć Homer. Błyskawicznie wyzbywałam się strachu, bo to miejsce miało w sobie coś, co mówiło, że jest puste. Powietrze było nieruchome, najcichsze dźwięki odbijały się echem.

W kabinie śmierdziało ludźmi: stęchły dym papierosowy i odrobina potu mieszały się ze zjedzonym wczoraj czosnkiem, wonią plastikowego siedzenia i starych jutowych worków, które jechały z tyłu. Zapach nie był nieprzyjemny, ale tworzył charakterystyczną mieszankę, tak jak nora wombata albo królika czy buda dla psa. Pomyślałam, że facet musi spędzać w tej kabinie sporo czasu.

Homer przepisnął się za mną, stękając i klnąc. Gdyby gdzieś w pobliżu czekał żołnierz z karabinem, Homer przełazący przez dziurę byłby dla niego łatwym celem. Miałam wrażenie, że zajęło mu to ze trzy minuty, chociaż prawdopodobnie nie trwało aż tak długo.

No dobra, może z piętnaście sekund.

No więc czailiśmy się w kabinie. Było trochę późno na ostrożność, biorąc pod uwagę hałas, jakiego narobiliśmy. A raczej jakiego narobił Homer. Ale czailiśmy się w milczeniu, wyglądając zza półki i deski rozdzielczej. Tuż przede mną wisiały trzy małe maskotki. W słabym świetle widziałam je niezbyt wyraźnie, ale ta, którą trącałam nosem, była niebiesko-zielonym ptakiem z okropnie wybałuszonymi oczami. Miałam wrażenie, że lada chwila zacznie trzepotać skrzydłami i krakać, by powiadomić żołnierzy o naszej obecności. Zapragnęłam go złapać i skrócić mu ten mizerny kark. W tamtej chwili chyba naprawdę do mnie dotarło, jak okrutnym człowiekiem stałam się przez tę wojnę.

Lekko potrząsnęłam głową, by pozbyć się tych głupich myśli.

- Wygląda w porządku - powiedziałam do Homera.

-No.

Podczołgał się i cicho otworzył drzwi od strony pasażera. To znaczy wiem, że otworzył je cicho - choć moje nadwyreżone nerwy sprawiły, że brzmiało to jak traktor cofający na stercie blachy. Już miałam otworzyć drzwi po stronie kierowcy, gdy zawahałam się, słysząc skrzypnięcie tamtych. Pomyślałam, że nie warto robić większego hałasu.

Zamiast tego ruszyłam za Homerem. Zdążył już wyjść z kabiny, więc szybko przeczołgałam się po siedzeniu i wydostałam się tymi samymi drzwiami co on. Przy okazji kątem oka zobaczyłam Lee, który przeciskał się przez otwór do kabiny.

Staliśmy z Homerem na ogromnej betonowej podłodze. Był to największy garaż na świecie. Dostałam już odpowiedź na jedno ze swoich pytań: w Wirrawee nie było nic aż tak wielkiego, więc

najwidoczniej znajdowaliśmy się gdzieś indziej. Mimo to się zdziwiłam. Nie spędziliśmy w ciężarówce zbyt dużo czasu, a nie przychodziło mi do głowy żadne tak duże miejsce, które znajdowałoby się niedaleko wysypiska. Mimo to postanowiłam, że będę się

56

martwiła później. Teraz ważne - najważniejsze - było utrzymanie się przy życiu. Poszłam za Homerem, oddalając się od samochodu o kilka kroków, i zrobiłam to co on: stanęłam i rozejrzałam się, próbując dojrzeć coś w słabym świetle, próbując znaleźć jakieś wyjście.

Budynek był naprawdę duży. Chyba jeszcze niewykończony. Na jednym krańcu zauważyłam stertę drewna - prawdopodobnie na trawersy. Pod ścianą po lewej stronie stał stół roboczy, ale poza tym budynek wydawał się zupełnie pusty. To był następny powód, dla którego uznałam go za niewykończony: pustka panująca w tak ogromnym pomieszczeniu. Nadal nie wiedziałam, co to może być. Ściany i dach były z blachy. Naprzeciw ściany, pod którą stał stół, ciągnęła się druga długa ściana, która wyglądała na przód budynku. Przyjrzałam jej się i zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę to długie drzwi: cała ściana była drzwiami. Pośrodku tych drzwi znajdowały się następne, tym razem normalnej wielkości, choć w takim otoczeniu wydawały się całkiem małe.

Domyśliłam się, że kierowca wyszedł tamtędy. Pobiełam w tę stronę najciszej, jak umiałam, i przyjrzałam się uważniej. Wielkie drzwi były w segmentach na szynach, dzięki czemu można było otworzyć tylko jedną część albo wszystkie naraz. Otwarcie wszystkich paneli oznaczało otwarcie ponad połowy budynku. Dziwne. Nie miałam pojęcia, po co ktokolwiek miałby wznosić taką konstrukcję. Przypominała megawersję naszego warsztatu. Może to jakiś nowy sposób magazynowania zboża. Popatrzyłam w stronę naszej ciężarówki. Wydawała się naprawdę mała. Wszyscy już z niej

wyszli. Kevin i Lee stali przy drzwiach kierowcy i o coś się kłócili. Fi zatrzymała się w połowie drogi między mną a ciężarówką, a Homer oglądał małe drzwi. Uchylił je, wyjrzał na zewnątrz i szybko zamknął drzwi z powrotem. Najwidoczniej coś się tam działo. Podbiegłam do niego.

57

Wydawał się wstrząśnięty. Gapił się na mnie bez słowa. W słabym świetle nie mogłam mieć pewności, ale wydawało mi się, że naprawdę zbladł, co w wypadku Homera nie jest takie proste, bo to przecież Grek i tak dalej.

- Co tam jest? - zapytałam. - Co się stało?
- Wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytał.
- Nie, jasne, że nie. Dlatego pytam.
- Jesteśmy na tym przeklętym lotnisku.

Gapiłam się na niego, równie przerażona jak on. Potem zrobiłam to samo co wcześniej Homer: leciutko uchyliłam drzwi i zerknęłam na zewnątrz.

Zobaczyłam to samo co mój przyjaciel.

Hektary trawy i betonowe pasy startowe. Na jednym z pasów rząd odrzutowców. Wszędzie wokół budynki i place budowy. Oraz duża dwupiętrowa konstrukcja z cegły w oddali, zaokrąglona na górze.

Po raz ostatni widziałam lotnisko w Wirrawee nie tak dawno temu. Zdziwiłam się wtedy, jak bardzo się zmieniło w tak krótkim czasie. Wąski pas dla prywatnych samolotów bogatych rolników i dla maszyn do opryskiwania upraw przekształcono w potężną bazę wojskową. Jedno krótkie spojrzenie uświadomiło mi, że lotnisko nadal jest w budowie. Dowodził tego nowy hangar. A na zewnątrz znajdowało się mnóstwo innych dowodów. Było tam jeszcze więcej pasów

startowych, jeszcze więcej budynków niż poprzednio. To lotnisko było większe niż przylądek Canaveral. Nie żebym kiedykolwiek widziała przylądek Canaveral, ale jednak.

Gapiałam się na Homera z przerażeniem i niedowierzaniem. To było miejsce, które niedawno chcieliśmy zniszczyć. Miejsce, które chcieli zniszczyć Nowozelandczycy. Kiedy to im się nie udało - a przynajmniej zakładaliśmy, że im się nie udało, bo nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy, podczas gdy lotnisko wyglądało na

nienaruszone - kiedy to im się nie udało, spróbowaliśmy działać na własną rękę. I nic nie zdziałaliśmy. Teraz, gdy widziałam lotnisko od środka, wcale mnie to nie zdziwiło. Od wewnątrz wydawało się o wiele większe niż z zewnątrz.

No tak, byliśmy w środku - co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. W samym środeczku. I oddałabym wszystko, by być gdzieś indziej.

5

Gdy to wszystko do mnie dotarło, trochę spanikowałam. Od razu wiedziałam, że znaleźliśmy się w paskudnej sytuacji. Byliśmy w ogromnym budynku, nie mieliśmy żadnej osłony, żadnej kryjówki i żadnej drogi ucieczki. Byłam pewna, że to najściślej chroniony obszar w promieniu tysiąca kilometrów. Weszliśmy do gniazda os obejmującego sto pięćdziesiąt hektarów, a żadne z nas nie miało nawet środka owadobójczego.

W Nowej Zelandii pułkownik Finley wyjaśnił znaczenie tego lotniska mnie i tylko mnie. Raczej nie przesadzał, kiedy mówił, że z tej bazy wróg kontroluje pół kraju. Gdyby została zniszczona, niebo otworzyłoby się dla nowozelandzkich sił powietrznych. Zyskałyby praktycznie nieograniczony dostęp do sześciu dużych miast. Mogłyby

zbombardować co najmniej pięćdziesiąt fabryk, a do tego mosty, linie kolejowe, Zatokę Szewca i wyrzutnię rakiet budowaną niedaleko Stratton. Oczywiście obrona wroga nie ograniczała się do lotniska, ale to ono było jej podstawą. Pułkownik Finley powiedział mi zza kłębu fajkowego dymu: „Ellie, gdybym miał zbombardować te fabryki dzisiaj, straciłbym czterdzieści procent ludzi. Ale gdyby lotnisko zostało zniszczone, straciłbym tylko pięć”.

Pamiętam, jakie dziwne wydało mi się wtedy to, że używa pierwszej osoby, mimo że tak naprawdę wcale nie zamierzał

nigdzie polecieć i niczego bombardować. A mówienie o ludzkim życiu w procentach brzmiało strasznie bezwzględnie.

Chciałam, żebyśmy spróbowali zaatakować lotnisko, bo ciągle myślałam o takich ludziach jak Sam i Xavier, którzy pilotowali nasz śmigłowiec. Wyobrażałam sobie ich twarze. Widziałam, jak oni albo ich koledzy siedzą w samolotach lecących zbombardować jakieś cele i jak z piskiem dopadają ich myśliwce wroga, które odpalają pociski podobne do małych czarnych lotek pędzących ku nowozelandzkim samolotom. Widziałam, jak samoloty nurkują i odbijają w bok, widziałam twarze moich przyjaciół, którzy tracą kontrolę nad odrzutowcami lecącymi coraz szybciej, spadającymi z nieba na spotkanie z twardą jak skała ziemią. Widziałam wybuch, gdy piach, kadłub, drzewa, płomienie i ciała ludzi eksplodowały w ogromnej, śmiertelnej, przeraźliwej kuli ognia...

Tak, chciałam, żebyśmy spróbowali rozwalić to lotnisko.

Ale wtedy sytuacja wyglądała inaczej. Panowaliśmy nad nią. Byliśmy niezależni, przemykaliśmy po Wirrawee w ciemności, chodząc tam, gdzie nam się podobało, robiąc to, co chcieliśmy. Teraz nie mieliśmy żadnej kontroli. Jasne, znaleźliśmy się w miejscu, które nas interesowało, ale nie mieliśmy broni, planów ani żadnej kryjówki. Ten ogromny hangar nie mógł nas długo ochraniać.

Homer szybko obejrzał większość budynku, biegnąc powoli wzdłuż długich ścian, a teraz znowu stanął pod małymi drzwiami. Co parę minut je uchylał i zerkał na zewnątrz.

- To chyba jedyne wejście - powiedział do mnie. - I dobrze. Są mniejsze szanse, że nas zaskoczą. Możemy coś zaplanować tutaj, obserwując ich.

Zaimponował mi tym. „Chwilami bywasz całkiem niezły - pomyślałam. — Mamy wszelkie powody, by wpaść w panikę, a ty mówisz o taktyce i przetrwaniu. Wielu ludzi by się poddało”.

61

Czułam, że sama jestem jedną z takich osób. Ale siła Homera mnie wzmocniła. Poczułam się trochę pokrzepiona, trochę twardsza i bardziej zdeterminowana.

- Obserwuj, co się dzieje - powiedziałam. - Pójdę po resztę.

Pobiegłam do pozostałych i przekazałam im wieści.

- Przykro mi, że muszę wam o tym powiedzieć, ale jesteśmy w samym środku lotniska w Wirrawee.

Przyjęli to różnie. Lee lekko zadrżał, ale nie odezwał się ani słowem, Fi zasłoniła usta dłonią i przysiadła na stopniu ciężarówki, a Kevin zaklął, jakby to była moja wina. Po chwili zrozumiałam, że naprawdę uważa mnie za winną tej sytuacji, bo powiedział:

- Gdybyś nam nie kazała wejść do tej cholernejszej ciężarówki...

Urwał i spiorunował mnie spojrzeniem. Fi odwróciła się do niego z wściekłością.

- Jak śmiesz? Doskonale wiesz, że nie mieliśmy innego wyjścia. Po prostu się boisz. No i dobrze, bo jest czego się bać, ale nie wyżywaj się na Ellie.

Znowu wypłynął temat strachu. Stawał się coraz bardziej popularny.

Lee zignorował nas wszystkich. Dobrze mu szło ignorowanie rzeczy, o których nie chciał nic wiedzieć. W tej dyscyplinie prawdopodobnie był w światowej czołówce. Już maszerował do drzwi, by dołączyć do Homera. Pomyślałam, że najrozsądniej będzie zrobić to samo.

Odbyliśmy szybką naradę pod drzwiami. Najpierw pozostali musieli je uchylić i szybko spojrzeć przez szczelinę, jakby nie do końca mi wierzyli, jakby myśleli, że to sobie wymyśliłam. Ale ich blade twarze i drżące usta wyraźnie pokazały, że już mi wierzą.

Nawet Lee wyglądał tak, jakby sytuacja go przerosła.

- Co teraz zrobimy? - zapytała jak zwykle Fi.

- *

Miałam przywidzenia, czy może w słabym świetle jej wzrok skupiał się na mnie? Nie, nie przywidziało mi się. I nie chodziło wyłącznie o Fi. Chłopcy też się na mnie gapili, nawet Homer. Nie wiem, kiedy to nastąpiło - ten mój awans na stanowisko osoby z pomysłami, która potrafi nas wyciągnąć z tarapatów - ale w pewnej chwili musiało do tego dojść i teraz wszyscy oczekiwali, że będę sypała propozycjami na zawołanie. Tak jakby Homer miał pozytywną energię, a ja pozytywne pomysły. Tym razem odpowiedziałam im jednak tępym spojrzeniem. W końcu bardzo słabym głosem bąknęłam:

- No wiecie, pewnie łatwiej stąd wyjść, niż się tu dostać.

- Ciężarówka - powiedział Kevin. - To nasza jedyna nadzieja. Będziemy musieli poczekać i znowu się w niej ukryć, kiedy będzie wyjeżdżała.

- Nie jestem tego taki pewien - odezwał się Lee. - Jeśli kierowca przyjechał tu po załadunek, to gdzie się schowamy, kiedy będzie go wnosił na pakę?

- Do jego wyjazdu mogą upłynąć całe tygodnie - dodała Fi. - Umarlibyśmy tu z głodu. — Rozejrzała się, marszcząc nos. - Nie ma tu nawet toalety.

- W każdym razie nie możemy stąd wyjść - powiedział Kevin. - I nie możemy się przebrać w ich mundury, tak jak się robi w filmach. Jeśli nie wyjedziemy w ciężarówce, będzie po nas.

Nagle nasza narada została przerwana. Jedynym ostrzeżeniem był dobiegający z zewnątrz warkot połączony z lekkim wibrowaniem budynku. Spojrzeliśmy na siebie zaniepokojeni, a potem zawróciliśmy i pędem pobiegliśmy do ciężarówki.

Wskoczyliśmy na pakę w samą porę. Po chwili usłyszałam szcęk otwieranych metalowych drzwi, po czym niski warkot przeszedł w głośny ryk. Homer znowu obserwował sytuację, tym razem przez szczelinę w drzwiach ciężarówki.

63

- Wjeżdżają następne ciężarówki - poinformował nas. - Mnóstwo ciężarówek.

Na chwilę zrobiło się naprawdę głośno. Szopa - którą powinnam raczej nazywać hangarem, bo zaczynałam dochodzić do wniosku, że to właśnie hangar - wzmacniała warkot silników, który odbijał się echem od ścian. Poza tym czułam spaliny: przenikały do naszej ciężarówki i na chwilę zepsuły powietrze.

Stopniowo sytuacja zaczęła się jednak uspokajać. Silniki pogasły. Usłyszałam kroki i kilka słów wykrzyczanych przy akompaniamencie

otwieranych i zamykanych drzwi. Ktoś przeszedł obok naszej ciężarówki, wystukując palcami jakąś melodię na boku. Fi skuliła się obok mnie w ciemnych czeluściach ciężarówki, częściowo przykryta workami, i zeszywniała, jakby przez jej ciało przeszedł prąd o napięciu 240 woltów. Muszę przyznać, że sama czułam się tak, jakby ktoś wrzucił mi do wanny włączony toster.

Potem przez minutę nie było nic słyszeć, aż znowu rozległ się odgłos przesuwanych metalowych drzwi.

A później zapadła zupełna cisza.

Wyglądało na to, że znowu zostaliśmy sami. Chyba. Homer delikatnie uchylił klapę o mniej więcej dziesięć centymetrów. Potem o trzydzieści. W końcu, zadowolony, otworzył ją na oścież. Wyszliśmy na zewnątrz.

Teraz w hangarze stało dwadzieścia ciężarówek. Nadal wydawały się małe w tym ogromnym budynku. Miały najróżniejsze kształty i rozmiary, od ciężarówek z odkrytą przyczepą przez półciężarówki po furgonetki. Zauważyłam kilka prawdziwych wojskowych pojazdów pomalowanych na zielono i na kolor khaki dla kamuflażu oraz parę firmowych ciężarówek z Wirrawee i Stratton. Ciężarówek, które weszły w skład wojennych upominków podarowanych sobie samym przez tych kole-si. Zobaczyłam starą ciężarówkę z logo HHA Holdings z boku.

6 4

HHA Holdings należało kiedyś do państwa Arthurów: byli właścicielami Random Hills, posiadłości oddalonej mniej więcej o trzy kilometry od gospodarstwa Quinnsów i sąsiadującej z farmą Ramsayów.

Szybko spojrzeliśmy na te pojazdy. Ich obecność niewiele nam pomogła. Tyle że mogliśmy wybierać z dwudziestu i nie byliśmy

skazani na jeden. Czy to cokolwiek zmieniało? W żadnym z nich nie było dobrej kryjówki.

Na środku hangaru, kiedy pozostali nie słyszeli, Lee szepnął do mnie:

- Musimy do tego podejść od zupełnie innej strony.

Widocznie już pracował nad jakimś planem. Intensywniej niż ja. W moim umyśle panował chaos: straszny bałagan. Może Lee zamierzał przejąć stanowisko specjalisty od pomysłów. Z chęcią bym mu je oddała.

- Co masz na myśli? - zapytałam ostrożnie.

- Musimy dostrzec w tym szansę.

O nie, jęknęłam w myślach. Nie cierpię, kiedy ludzie tak mówią. „Zmień swoje wady w zalety”. „Nie mów mi o problemach, mów o rozwiązaniach”. „Stań się człowiekiem, którym odważysz się stać”. Iain, dowódca Nowozelandczyków, mówił mniej więcej w tym stylu. „Nie, zaczekaj chwilę - pomyślałam. - Przesadzasz. Lee nie zaczął jeszcze brzmieć jak kaznodzieja z niedzielного porannego programu w telewizji... Jeszcze nie”.

Nadal nie odpowiadałam, a kiedy zobaczył, że nie zamierzam się odezwać, ciągnął dalej:

- Jesteśmy w niesamowitej sytuacji. Zupełnie przez przypadek dostaliśmy się do miejsca, które bardzo chce zniszczyć pułkownik Finley. Nie powinniśmy się martwić o to, jak stąd wyjdziemy. Powinniśmy myśleć o tym, jak tu zrobić coś ważnego: coś, co może bardzo, bardzo zmienić losy tej wojny. Rozumiesz to, prawda Ellie? Wiesz, że właśnie tak powinniśmy postąpić.

65

Zabawne, nigdy wcześniej] nie słyszałam, żeby mówił takie rzeczy. Zupełnie jakby błagał mnie o poparcie. Zastanawiałam się, czy

przypadkiem sam nie ma wątpliwości - może nie był pewien, czy wystarczy mu siły i odwagi. Tak naprawdę mówił o samobójstwie, o naszej śmierci. Od razu to wiedziałam. Nie było szans, by ktokolwiek zaatakował tę bazę od środka i przeżył. Nie trzeba było być Einsteinem, żeby na to wpaść. i

Nadal milczałam, więc mówił dalej.

- Nie potrafiłbym spojrzeć ludziom w oczy, gdybyśmy stąd uciekli jak wystraszone króliki. To znaczy osiągnęliśmy to, czego nie udało się osiągnąć Nowozelandczykom, a myślimy tylko o tym, by uratować własną skórę. Wyobraź sobie, jak wrócimy do Nowej Zelandii i powiemy pułkownikowi Finleyowi: „No tak, dostaliśmy się na lotnisko, ale potem stchórzyliśmy”. Nie chcę się zachowywać jak mała wystraszona myszka.

- Zdecyduj się - powiedziałam - jesteśmy królikami, tchórzami czy myszami?

Odeszłam od niego. Potrzebowałam czasu na zastanowienie. Znowu przechodziły mnie ciarki. Niełatwo stanąć twarzą w twarz z własną śmiercią. Nie kiedy człowiek czuje się młody, pełny życia i zdrowy. Nie zdążyłam się jednak poważnie zastanowić, bo podeszła do mnie Fi. Nie wiem, czy zauważyła, jak się trzęsę, w każdym razie tego nie skomentowała. Zapytała tylko bardzo cicho - tak cicho, że ledwie ją usłyszałam:

- Domyślam się, że Lee chce zaatakować lotnisko?

Przytaknęłam, obejmując się rękami. Fi też zaczęła drżeć. Tym samym cichym głosem — jakby szeptała do siebie samej - powiedziała:

- Tak właśnie myślałam.

Ku swojemu zaskoczeniu odparłam:

- Moim zdaniem ma rację.

Zastanawiałam się, dlaczego to powiedziałam. Nie miałam pojęcia, że już podjęłam decyzję. Chyba nawet jeszcze nie zaczęłam jej podejmować.

— Kto powie Kevinowi? - zapytała Fi.

Obie spojrzałyśmy na drugi koniec hangaru, gdzie myszkował Kevin. Otworzył jakieś małe drzwi i wszedł przez nie. Drzwi były tak niepozorne, że reszta z nas ich nie zauważyła. Wyglądały jak wejście do magazynu albo czegoś w tym rodzaju.

Homer i Lee prowadzili gorączkową rozmowę przy głównych drzwiach. Nietrudno było się domyślić, o czym dyskutują. Fi położyła mi rękę na ramieniu. Nie odezwała się. Nie musiała.

Kevin też się nie odezwał, kiedy mu powiedzieliśmy. I na tym polegał pierwszy problem: powiedzieliśmy mu, zamiast go zapytać. W Nowej Zelandii, kiedy ja i Fi wróciłyśmy z joggingu i Homer nam oznajmił, że wracamy do Australii z nowozelandzkimi partyzantami, zareagowałam wściekłością. Szalałam jak burza piaskowa na polu pszenicy. A teraz, zaledwie kilka tygodni później, robiłam to samo Kevinowi.

Przyjął to jednak trochę inaczej niż ja w Wellington. Trudno o tym pisać, trudno opisać to szczerze, ale postanowiłam, że będę szczerą i chyba lepiej nie zmieniać teraz podejścia. No więc Kevin przeżył coś w rodzaju załamania. Andrea, moja zaprzyjaźniona terapeutka z Nowej Zelandii, znalazłaby na to fachowe określenie. Chyba było to załamanie nerwowe, choć nigdy nie wiedziałam, co dokładnie oznacza ta nazwa.

Rozmowa zaczęła się dobrze, bo Kevin wrócił do nas dumny. Nawet lekko się uśmiechnął. Wszystko za sprawą jego wielkiego odkrycia.

Małe pomieszczenie, które znalazł, skrywało toaletę i trochę środków czystości: dwie duże szczotki, kilka wiader, tego typu graty. Bliskość toalety była wspaniałą wiadomością. To zabawne, że tak banalna rzecz może być tak istotna. Radość nie trwała jednak długo. Kevin wyczuł, że coś się święci.

67

Gratulowaliśmy mu znalezienia toalety, ale wiedział, że nie jesteśmy do końca szczerzy, bo nagle nam przerwał. Wbił we mnie wzrok i powiedział:

- Coś planujecie.

Spojrzałam mu w oczy i odpowiedziałam:

- Zamierzamy zaatakować lotnisko.

Od początku tej wojny kilka razy widziałam blednących ludzi. Na przykład twarz Fi, kiedy moi przyjaciele zostali schwytani przez żołnierzy nad Baloney Creek. Twarz rannego Lee postrzelonego w udo. Corrie, kiedy zaczęło do niej docierać, że naprawdę doszło do inwazji. I oczywiście Homera, kiedy spojrzał przez uchylone drzwi hangaru. Te twarze przemykały mi przez głowę, gdy myślałam o blednących ludziach. Ale Kevin zrobił się blady, a potem szary. Wyglądał jak starzec. Twarz prawie mu się zapadła. Wcześniej, zanim wojna przemieniła nas wszystkich w kompulsywnych niewolników diety, był raczej puciołowaty. A teraz przez chwilę jego głowa bardziej przypominała czaszkę. Potem ukrył twarz w dłoniach i stał z drżącymi ramionami. Nie wydawał żadnych dźwięków, dygotał tylko, jakby stał na obszarze objętym trzęsieniem ziemi.

Żadne z nas nie wiedziało, co zrobić. W końcu Fi wzięła go za ramię i poprowadziła do ciężarówki, w której przyjechaliśmy. Leżał w niej przez następne dwanaście godzin. Chyba nawet nie skorzystał z toalety, z której odkrycia był taki dumny. Prawdopodobnie przez

dłuższy czas w ogóle się nie ruszał. Co pół godziny ktoś - zazwyczaj ja albo Fi - szedł do niego zajrzeć, ale Kevin był w stanie przypominającym śpiączkę. Jak warzywo. Jak słonecznik bulwiasty. Wiem, nie powinnam sobie z niego żartować, ale co mogę zrobić? Sytuacja była tak przerażająca, a nasza przyszłość stała pod tak wielkim znakiem zapytania, że chwilami pozostawały nam tylko żarty.

Gdy nie zaglądaliśmy do Kevina i nie korzystaliśmy z naszej ładnej porcelanowej toalety, spędzaliśmy czas na najbardziej

gorączkowych, nagłych rozmowach, jakie kiedykolwiek prowadziliśmy. Wyobrażaliśmy sobie mnóstwo różnych sposobów zaatakowania samolotów - dwa z nich mogłyby się prawie udać. Ciągłe jednak kurczowo trzymaliśmy się rozpaczliwej nadziei, że uda nam się to zrobić i ująć z życiem. To była wersja optymistyczna, łączywa, ale chyba myśleliśmy, że jeśli wystarczająco ruszymy głową, uda nam się coś wymyślić. Byliśmy jak ludzie wiszący nad przepaścią, którzy wiedzą, że jedyną szansą na ratunek jest mocne podciągnięcie się w górę z narażeniem stawów barkowych.

Byliśmy gotowi narazić swoje mózgi, byleby tylko zdobyć najmniejszą szansę przetrwania.

Podczas rozmowy staraliśmy się uważnie obserwować to, co dzieje się na zewnątrz. Porobiliśmy znalezionym w ciężarówce śrubokrętem Phillipsa maleńkie dziurki we wszystkich ścianach, dzięki czemu mieliśmy widok na wszystkie strony. W ciągu dwunastu godzin przeszkodzono nam tylko trzy razy: raz jakaś kobieta przyszła wziąć coś z ciężarówki, potem zjawili się dwóch mechaników, by przez pół godziny majstrować przy silniku, a za trzecim razem w hangarze ukrył się jakiś facet. Nie wiem, dlaczego się chował, pewnie nie zrobił nic strasznego, ale po sposobie, w jaki wślizgnął się do środka, oglądając

się przez ramię z poczuciem winy, od razu było widać, że się przed kimś ukrywa. Może chciał uniknąć nudnej pracy. Wyglądał całkiem jak ja, kiedy migam się od próby szkolnego chóru.

Za każdym razem, gdy ktoś się zjawiał, chowaliśmy się w tej samej ciężarówce. Nie wiem, czy to był dobry pomysł, ale byliśmy skazani na tę grę: na okropną rosyjską ruletkę.

Gdy mogliśmy sobie pozwolić na luksus obserwowania bazy, dowiedzieliśmy się kilku rzeczy, które mogły się okazać przydatne. Wyglądało na to, że na lotnisku stoi pod gołym niebem około sześćdziesięciu samolotów. Dwie trzecie z nich były olbrzymami,

69

prawdopodobnie myśliwcami albo transportowcami. Resztę tworzyły małe myśliwce przypominające osy. Stały w trzech rzędach wzdłuż betonowej płyty postojowej długiej niemal na kilometr. Zaparkowano je dość blisko siebie i przypominało mi się, jak pułkownik Finley wspominał, że im bardziej rozbudowują lotnisko, tym więcej jest na nim samolotów.

Za betonową płytą postojową zobaczyłam olbrzymie hangary, które mogły skrywać wszystko - od zapasu gorzały dla oficerów po następny dywizjon samolotów. Mogłam się jednak założyć, że przynajmniej jeden hangar, a prawdopodobnie więcej niż jeden, wykorzystywano jako warsztat, w którym naprawiano samoloty.

Gdy wylądowała eskadra samolotów, czym prędzej wystartowały cysterny z paliwem, żeby napełnić baki. Samoloty kołowały ku swoim miejscom postojowym. Kiedy tam dotarły, cysterny z paliwem już czekały. A gdy piloci i załoga oddalali się po płycie lotniska, paliwo już płynęło do ogromnych baków.

- Trzymają tu samoloty warte sto milionów dolarów - powiedział Homer.

Chyba zaniżył ich wartość. Moim zdaniem takie samoloty kosztowały co najmniej dwa albo trzy miliony za sztukę.

Gdy się ściemniło, poznaliśmy nocne procedury. Podczas lądowania samolotu włączano oświetlenie pasa, które jednak było bardzo słabe i działało tylko parę minut. Kiedy samolot dotknął ziemi, światła gasły. Kiepska sprawa dla pilota, który nie potrafi utrzymać samolotu w linii prostej.

Stopniowo zaczęliśmy się domyślać, co skrywają różne budynki, i Lee narysował schematyczną mapkę. To mi się nie podobało - czułam paranoiczny strach przed pozostawianiem śladów na papierze, bo kiedy byłam mała, przeczytałam opowiadania o szpiegu z czasów pierwszej wojny światowej, którego

|

70

skazano na śmierć, znalazłszy mapę wszytą w jego ubranie. Ale ten jeden raz ugryzłam się w język. Czuliśmy tak wielką presję i tak potworną rozpacz, że trzeba było zawiesić normalne zasady. Rozumiałam to.

No więc ustaliliśmy, że po lewej mamy stołówkę albo kantynę. Domyśliliśmy się tego po zapachach, od których ciekła nam ślinka, i dlatego że gdy zrobiło się ciemniej, mniej więcej w porze podwieczorku, wielu żołnierzy minęło nasz hangar i poszło w tamtym kierunku. Pół godziny później wrócili. Gdy tam szli, wyglądali na głodnych, a gdy wracali - na dobrze odżywionych. Jakimś cudem można to rozpoznać. Nie wiem jak, ale można. Gdy głód zaczął nam naprawdę doskwierać, co nieco przekąsiliśmy, korzystając z nowozelandzkich zapasów, ale zabraliśmy ich niewiele, chcąc zachować nasze skromne zasoby w Piekło. Poza tym muesli nie było tak apetyczne jak smażony kurczak, którego zapach unosił się wokół hangaru.

Zresztą i tak byłam zbyt zdenerwowana, by dużo zjeść. Wyglądało na to, że tylko Homer ma apetyt. Patrząc na jedzenie znikające w jego ustach, zastanawiałam się, co zrobimy, kiedy skończą nam się zapasy.

Po prawej stronie mieliśmy duży azbestowy budynek z zaledwie kilkoma lampami. Najwyraźniej umieszczono je ze względów bezpieczeństwa, bo cały czas się paliły. Myśleliśmy, że to może być jakiś magazyn. Dalej stała wieża kontrolna - budynek z zaokrągloną górą - którą widzieliśmy wyraźnie, bo była wyższa niż pozostałe zabudowania.

Naprzeciw nas stał długi, niski drewniany budynek z małymi okienkami. Dość szybko doszliśmy do wniosku, że to koszary. Dudniła tam muzyka, w oknach suszyły się koszule i od czasu do czasu migali półnaczy mężczyźni, którzy wracali spod prysznic albo się przebierali.

Dalej parkowały samoloty.

W mojej głowie zaczął się tworzyć plan, więc przystąpiłam do dzielenia się nim z przyjaciółmi. Chyba wszyscy staraliśmy się być odważni - nie licząc Kevina, który zniknął w ciężarówce i wydawał się niezdolny do ruchu. Lee był na niego naprawdę wściekły. W pewnej chwili powiedział:

- Zostawmy go tutaj. Niech go złapią.

Byłam przerażona. Lee nie po raz pierwszy budził we mnie strach. Ale tym razem przynajmniej potrafiłam zrozumieć jego złość. Przez połowę czasu było mi szkoda Kevina, a przez drugą połowę myślałam, że to zwykły tchórz. To znaczy w pewnym sensie wiedziałam, że ma poważny problem - medyczny albo psychiczny - ale z drugiej strony byłam zła, że opuścił nas w chwili, w której najbardziej go potrzebowaliśmy, zostawiając na naszych barkach całą

robotę i ryzyko. Oczywiście gdyby nas złapano, złapano by również Kevina, ale trudno było patrzeć na sytuację w ten sposób.

Wszyscy próbowaliśmy z nim porozmawiać, stosowaliśmy różne taktyki: współczucie, wyzwiska, głos rozsądku, zachęty. Te strategie mówiły chyba coś o nas samych. Fi współczuła, Lee wyzywał, ja powoływałam się na głos rozsądku, a Homer - ku mojemu zdziwieniu - zachęcał i wspierał. Żadne z tych podejść nie zdało jednak egzaminu. Jedyne „postęp” polegał na tym, że zamiast nas ignorować, kiedy wchodziliśmy do ciężarówki, Kevin zwijał się w kłębek i zaczynał płakać. Nie wyglądało to na krok naprzód.

Układaliśmy zatem nasz plan - nasz mglisty niby-plan. Mój pomysł opierał się na odrobinie wiedzy, którą zdobyłam w dzieciństwie. Gdy Homer był młody i szalony, czasami strzelał do celu z wiatrówki. Jednak strzelanie do zwyczajnych celów, takich jak puszki i pieńki, za bardzo go nudziło. Dla urozmaicenia nalewał do puszek benzyny i zamykał je z powrotem. Muszę przyznać, że sama oddałam jeden strzał, kiedy Homer wspaniałomyślnie

postanowił podzielić się ze mną jedną puszką. To było dość wciągające. Zabawniejsze niż wnoszenie owczych kup z szopy do strzyżenia.

To, czego się wtedy nauczyliśmy, stało się podstawą naszego planu. Planu, który nadal był tylko zbieraniną niedopracowanych pomysłów, gdy nagle zostaliśmy zmuszeni, by ruszyć do akcji.

O szóstej rano ja i Fi już nie spałyśmy. Kevin chyba spał, nie wiem, w każdym razie leżał skulony w swoim kącie małej ciężarówki. Lee i Homer spali wyciągnięci niedaleko niego. Był to pierwszy odpoczynek, na który sobie pozwoliliśmy, odkąd wylądowaliśmy w tym hangarze. Nie odpoczywalibyśmy, ale byliśmy zdesperowani i strasznie potrzebowaliśmy snu.

Spojrzałam na nich jeszcze raz, a potem zamknęłam drzwi ciężarówki i wróciłam do punktu obserwacyjnego. Oficjalnie na warcie stałam ja, ale zmieniałam się z Fi, bo żadna z nas nie mogła spać. Zresztą i tak pełniliśmy godzinne warty, bo mogliśmy sobie pozwolić najwyżej na czterogodzinną przerwę.

Bezsensowność, która atakowała mnie i Fi akurat wtedy, kiedy miałyśmy szansę trochę odpocząć, była typowym kawałem, który ciągle robiła nam ta wojna.

Jedyną ciekawostką w czasie naszej łączonej warty było to, że o wpół o szóstej wystartowało mnóstwo samolotów. Powiedziałabym, że było ich co najmniej dwadzieścia. Startowały falami -z tego, co widziałyśmy, po trzy naraz - warcząc nad hangarem. Czuliśmy, jak ziemia wibruje nam pod stopami. Hałas był tak potworny, że musiałam zasłonić uszy rękami.

74

<4

Jeśli to nie zbudziło chłopaków, to minutę po szóstej z pewnością już nie spali. Wszystkie budynki były podłączone do systemu nagłaśniającego i o szóstej z głośników popłynęła muzyka, która najwidoczniej miała na celu wyciągnąć wszystkich z łóżek oraz wzbudzić w nich gotowość do kolejnego pięknego dnia spuszczenia bomb na każdego, kto nie przypadł im do gustu. Muzyka brzmiała jakoś dziwnie, ale była głośna i wojskowa, więc od razu dawała do zrozumienia, że nie jesteśmy na obozie dla skautów.

Po chwili usłyszałyśmy tupot nóg. Brzmiało to jak owczy trucht na drewnianej podłodze szopy do strzyżenia. Fi patrzyła już przez dziurkę. Doskoczyłam do swojej. Obok hangaru przebiegało mnóstwo żołnierzy. Sami mężczyźni, niektórzy bardzo młodzi. Trzymali karabiny. Kilka sekund później zniknęli.

Homer i Lee dołączyli do nas pod drzwiami. Spojrzeliśmy na siebie zaniepokojeni, zastanawiając się, co się dzieje, co powinniśmy zrobić. Powiedziałam do Lee:

- Musimy wykorzystać ten czas. Skorzystać z okazji.
- Zgadzam się - odparł. - Będę ich śledził. Zobaczę, co się dzieje.
- W porządku. Ja sprawdzę koszary.
- A ja magazyn - szybko podchwycił Homer, zdając sobie sprawę, że to nasza pierwsza i być może ostatnia, szansa.
- A ja? - zapytała Fi.
- Zostań tutaj - odpowiedziałam szybko, na wypadek gdyby chłopaki miały już jakąś głupią propozycję.

Czasami czułam dziwną potrzebę chronienia Fi, opiekowania się nią. Zabiłaby mnie, gdyby się o tym dowiedziała.

Homer uchylił drzwi trochę bardziej i nasza trójka zaczęła się wymykać przez wąską szczelinę.

Ja poszłam druga, za Lee.

- Bądźcie ostrożni - powiedziała Fi.

75

Powstrzymałam się od śmiechu i tylko pokiwałam głową.

Na zewnątrz wiał porywisty wiatr. Jak na lato było dość zimno. Do koszar miałam niedaleko, ale wiedziałam, że muszę wykorzystywać

budynki i cienie dla osłony najlepiej, jak się da. Pochyliłam się i popędziłam przez jezdnię. Czułam się dziwnie, bo nie wiedzieć czemu nie mogłam oddychać. Mimo to biegłam, więc chyba jednak oddychałam. Poza tym ogarnęła mnie prawdziwa paranoja - byłam pewna, że ktoś gdzieś na pewno mnie widzi. Nie wiedziałam, czy to ludzie w wieży kontrolnej, w helikopterze w górze czy może jakiś żołnierz, który został w koszarach, ale czułam, że tym razem się nie wywinę: to było zbyt niebezpieczne, zbyt poważne. Nie mogłam liczyć na to, że pobiegam sobie po tym ogromnym i ważnym dla wroga lotnisku, robiąc, co mi się podoba. Czekałam więc na krzyk, na ostrzegawcze nawoływanie, na szczęk karabinu ładowanego, odbezpieczanego i unoszonego do strzału.

W następnej chwili byłam już w cieniu drzwi i bez wątpienia oddychałam. Teraz miałam odwrotny problem: sapałam zbyt głośno - tak hałaśliwie, że chyba każdy, kto jeszcze został w budynku, musiałby stamtąd wybiec i sprawdzić, co się dzieje. Przypominałam rozgrzewającą się kobzę. Młodsza siostrę Fi podczas kolejnego ataku astmy. Usiłowałam nad tym zapanować, ale mogłam na to poświęcić zaledwie kilka sekund. Mniej więcej po dziesięciu z nich wyłoniłam się z cienia przy drzwiach i weszłam do baraku.

Przypominał salę sypialną. W środku było tak czysto i schludnie! Wszystkie łóżka starannie zasłane, każda narzuta wygładzona i prosta, każdy stół i każde krzesło równiutko ustawione. Tak bardzo cuchnęło środkiem dezynfekującym, że aż szczypały mnie oczy. Okna lśniły. Nie mogłam uwierzyć, że faceci potrafią być tacy porządni. Żałowałam, że Homer tego nie widzi. Tak mógłby wyglądać jego pokój.

76

Szybko się rozejrzałam. Najmniejszy ruch oznaczałby duże kłopoty, musiałabym podjąć decyzję: uciekać czy atakować. Tak czy siak, byłoby już po mnie. Nie miałam broni, nie licząc ukrytego w

skarpetce nożyka do owoców. Ale w pomieszczeniu panował spokój. Pobiegłam między łózkami, szukając czegoś, co mogłoby nam jakoś pomóc. Żadne skarby nie rzucały się w oczy. Na końcu rzędu łóżek otworzyłam dwie szafki jednocześnie, obiema rękami. W środku było równie schludnie jak na zewnątrz. Mundury i cywilne ubrania, starannie zapakowane w foliowe ochraniacze, wisały na wieszakach. Na górnej półce leżały rzeczy osobiste: zdjęcia, książki, długopisy, papierosy i słodycze - także starannie poukładane. „Boże, gdyby mama mogła to zobaczyć...” - pomyślałam, nie było jednak czasu na takie rzeczy. Bałam się siedzieć tam zbyt długo, ale z drugiej strony nie chciałam wrócić do przyjaciół z pustymi rękami.

Otwarte drzwi w rogu prowadziły do małej kuchni, więc wślizgnęłam się tam i otworzyłam lodówkę. Nawet w niej było czysto i schludnie, choć była pełna smakołyków. Marzyliśmy o świeżym jedzeniu, które stało się obiektem naszych największych fantazji, więc wzięłam tyle, ile mogłam unieść, uważając, by nie pozostawić na półkach widocznych pustych miejsc. „Pomyślą, że któryś z kolegów podkrada im jedzenie - kombinowałam. - Wybuchnie wielka kłótnia, pozabijają się nawzajem, a my będziemy mogli przejąć kontrolę nad lotniskiem”.

Wzięłam awokado, trochę sera, małego melona, opakowanie rakiety i innej zieleniny oraz coś, co wyglądało jak kotlet, a pachniało jak ryba. Potem się stamtąd zabrałam. Bardzo się spieszyłam z powrotem do hangaru. Nie wiedziałam, ile czasu upłynie, zanim niedźwiadki wkroczą do domu z karabinami i odkryją, że ktoś poczęstował się ich owsianką. Wiedziałam za to, że jeśli mnie przyłapią, skończę znacznie gorzej niż Złotowłosa.

77

W drodze powrotnej zauważyłam coś interesującego, choć dopiero później zdałam sobie sprawę, co to oznacza. Nad każdym łóżkiem były dwa wsporniki oddalone od siebie mniej więcej o metr. Albo i mniej - prawdopodobnie z osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt

centymetrów. Były mosiężne, przykręcone do ściany. Wyglądały, jakby mogły utrzymać pewien ciężar.

Dotarłam do drzwi, którymi wcześniej weszłam, i szybko wyjrzałam na zewnątrz. Teren wydawał się czysty, więc wymknęłam się przez wąską szparę. Znalazłam się na otwartej przestrzeni przed koszarami i znowu byłam przerażająco bezbronna. Stanowiłam doskonały cel dla każdego, kto chciałby dostać medal. Spojrzałam w prawo, spojrzałam w lewo, spojrzałam jeszcze raz w prawo. A potem ześlizgnęłam się z krawężnika.

I o mało nie zginęłam.

Całe to szkolenie z podstawówki o bezpiecznym przechodzeniu przez jezdnię mogło mnie kosztować życie. Przywykłam do tego, by patrzeć dwa razy w prawo, co normalnie zdawało egzamin, ale nie w tym wypadku. Żołnierze pobiegli w lewo i to właśnie w lewo powinnam była patrzeć.

Po lewej, pięćdziesiąt metrów dalej, zauważyłam dwóch oficerów. Było widać, że to oficerowie. Poranne słońce połyskiwało na ich złotych galonach, ale i bez tego nie miałabym wątpliwości. Rozpoznałam oficerów po sposobie, w jaki szli - jakby całe lotnisko należało do nich. Czuli się zupełnie zadomowieni. Od razu było widać, że nikt na nich nie nawrzeszczy za spóźnienie się na wartę albo za brudne buty.

Wolno szli drogą, gawędząc sobie w najlepsze. Nie mieli karabinów, ale choć trudno było to stwierdzić z tej odległości, w kaburach na biodrach nieśli chyba pistolety.

Stałam i lekko drżałam. Jeszcze mnie nie zauważyli. Ale nawet pomimo drżenia wiedziałam, że muszę coś zrobić. Głos rozsądku podpowiadał mi: „Musisz się uspokoić, myśl racjonalnie. To

twoja jedyna nadzieja". Dzięki pracy z bydłem wiedziałam, dlaczego oficerowie mnie nie zauważyli: bo stałam nieruchomo. Bezruch potrafi wiele zdziałać. To zadziwiające. Ale choć jak do tej pory ocalił mi skórę, nie mogłam na niego liczyć, kiedy się zbliżą. Nastolatka stojąca w drzwiach wojskowego baraku z górą jedzenia skradzionego z ich lodówki? Tak, jasne, na pewno przejdą obok, nie zwracając na mnie uwagi.

Zaczęłam powoli wycofywać się do budynku. Wcześniej chciałam zamknąć za sobą drzwi, ale klamka nie zaskoczyła, i teraz to doceniłam. Dzięki temu otworzyłam drzwi dość łatwo i cicho. Nadal stałam w cieniu i zagłębiłam się w nim trochę bardziej. Oficerowie byli zaledwie trzydzieści, trzydzieści pięć metrów ode mnie. W powietrzu z piskiem przemknął odrzutowiec i choć nie spojrzeli w górę, pomyślałam, że trochę odwrócił ich uwagę i dał mi szansę, której potrzebowałam. Gdy hałas osiągnął maksymalne natężenie i odrzutowiec przeleciał nad jezdnią, kierując się na pas do lądowania, szybko zniknęłam w sali sypialnej i zamknęłam za sobą drzwi.

Na zewnątrz nie rozległ się żaden ostrzegawczy krzyk. Podbiegłam do okna i wyjrzałam. Oficerowie nadal szli, całkowicie pochłonięci rozmową. To dobrze, tyle że znowu byłam w budynku, w którym nie chciałam być, w którym nie mogłam być. Nie, jeśli zamierzałam przeżyć.

A zamierzałam.

Podbiegłam do okien z tyłu. W zasadzie nie było na co patrzeć: zobaczyłam tylko otwartą przestrzeń, ogromne połączenie lotniska. Odrzutowiec, który przed chwilą widziałam, sunął teraz po pasie, a spod jego kół unosiły się kłęby dymu. Wiedziałam, że za chwilę skręci i ruszy na spotkanie z cysterną.

Znowu podbiegłam do okna z przodu. Czułam się jak szczur w pułapce i tak też się zachowywałam. Gorączkowo miotałam się w przód i w tył, jak schwyte zwierzę, łudząc się, że

79

znajdę w klatce jakąś małą dziurkę, której wcześniej nie zauważyłam.

Tym razem przez okno z przodu zobaczyłam coś jeszcze bardziej przerażającego. Oficerowie skręcali w stronę baraku. Byli na kursie, który za kilka sekund miał ich doprowadzić do drzwi. Znowu ogarnęła mnie panika - paralizująca, przeraźliwa panika - i znowu musiałam podjąć szaleńczą walkę, by ją uciszyć, zdusić. Oficerowie byli już tylko dziesięć metrów od drzwi.

Rozejrzałam się gorączkowo. Po prawej miałam kuchnię, ale ona nie zapewniała zbyt dobrej osłony. Z lewej było pomieszczenie, w którym prawdopodobnie znajdowała się łazienka, ale wcześniej nie zadałam sobie trudu, by to sprawdzić. Dzięki wszystkim kilogramom, które zrzuciłam w ciągu tej wojny, mogłabym się wcisnąć do szafki, ale tak mała klatka byłaby ponad moje siły. Dostałabym klaustrofobii. Gdyby mnie w niej znaleźli, nie miałabym żadnych szans. Wyglądało na to, że w pomieszczeniu po lewej naprawdę jest łazienka. Pobiegnęłam do niej szybko i cicho, nadal ściskając jedzenie. Nie śmiałam go teraz wyrzucić.

Do łazienki prowadziły drzwi wahadłowe, takie jakie widuje się w restauracyjnych kuchniach, i gdy je popchnęłam, usłyszałam, jak za moimi plecami dwaj mężczyźni otwierają drzwi do baraku. Ledwie zdążyłam. Mało brakowało. Zauważyli mnie? Musiałam się dowiedzieć. Odwróciłam się, przytrzymałam drzwi, żeby przestały się huścić, a potem zbliżyłam oko do szpary.

Nie widziałam ich i przez chwilę moja wyobraźnia zaczęła produkować szalone, przerażające obrazy, na których skradali się wzdłuż bocznych ścian, zachodząc mnie z obu stron, gotowi

przypuścić wściekły atak na łazienkę. Wtedy mignęła mi sylwetka jednego z nich. Pochylił się i obejrzał róg łóżka, jakby chciał sprawdzić, czy jest starannie zaścielone. „No jasne - pomyślałam. - Przyszli na kontrolę. To dlatego żołnierze tak tu

wysprzątali". Przypomniałam sobie Mikea, dużego czarnowłosego Maorysa albo mieszkańca Wysp Samoa, który tak bardzo spodobał się Fi. Powiedział kiedyś, że najlepsze w misjach jest to, że nie trzeba się przejmować takimi kontrolami. Czasami przypominały życie w domu u mamy.

Odsunęłam się od drzwi i uciekłam na drugi koniec łazienki. Zauważyłam tam drugie drzwi, też wahadłowe, które otworzyłam, prawie nie patrząc, co jest po drugiej stronie. Musiałam mieć nadzieję, że nikogo tam nie ma.

Znalazłam się w pomieszczeniu, które przypominało dobudówkę do głównej sali sypialnej. Wyglądało jednak zupełnie inaczej. Były w nim ślady życia - to grzeczny sposób na powiedzenie, że panował w nim straszny bajzel. Rozmemłane łóżka, wszędzie porozrzucone ubrania, otwarty słoik miętówek na podłodze, a u moich stóp trzy czy cztery strony listu napisanego na błękitnych kartkach, które po złożeniu i sklejeniu tworzą kopertę.

Żaden z tych szczegółów nie był istotny. Liczyło się tylko jedno. Nad łózkami były takie same wsporniki, jakie zauważyłam w drugim pomieszczeniu, tyle że na tych leżały karabiny. Ciemne, czarne, ciężkie i złowrogie. Czarodziejskie różdżki śmierci. Tyle że miały magazynki i wiedziałam, że to moja jedyna nadzieja. Nie wahałam się. Skoczyłam na najbliższe łóżko, złapałam karabin i zdjęłam go ze wsporników.

Ale wszystko po kolei: najpierw sprawdziłam magazynek.

Był załadowany po brzegi. Wyglądało na to, że w środku jest ze dwadzieścia naboí. Po raz pierwszy tego ranka poczułam coś w rodzaju zadowolenia. Gdybym za chwilę miała umrzeć, przynajmniej nie byłabym bezradna: nie stałabym z rozłożonymi gołymi rękami, próbując zatrzymać kule, które leciałyby mnie rozerwać.

Zerknęłam przez szczelinę w drzwiach łazienki. Na razie nic się nie ruszało. Nie wiedziałam, w którym pomieszczeniu

powinnam się ukryć. Żadne nie miało drugiego wyjścia, a okna były za małe i za wysoko umieszczone. Jedno wydawało się pewne: nie było gdzie się schować. Tylko cztery gołe ściany, osiem łózek i osiem szafek. Nie mogłam wejść pod łóżko, bo każde miało pod spodem szufladę. I nawet gdybym zmieniła zdanie co do schowania się w szafce, nie zdołałabym wcisnąć tam także karabinu. Ale nie chciałam zmienić zdania.

Podejmowałam ogromne ryzyko. Może oficerowie nie zamierzali przeprowadzić kontroli w drugim pomieszczeniu. Najwidoczniej z jakiegoś powodu nie zostało wysprzątane. Może faceci, którzy tu spali, wyruszyli na jakąś misję albo coś w tym rodzaju. A oficerowie o tym wiedzieli, prawda? No więc jeden mógł powiedzieć do drugiego: „Nie ma sensu tam zaglądać. Tamci polecili zbombardować Nową Zelandię”. Gdyby tak zrobili, pozostanie w tym pomieszczeniu oznaczało wolność. Ale gdybym tam została, a oni by weszli, ktoś musiałby zginąć.

Z trzeciej strony, gdybym weszła do łazienki i schowała się w kabinie - w jedynym miejscu w łazience, w którym można było się schować - mogliby przejść obok i nawet mnie nie zauważyć. Mogliby. Drzwi do

wszystkich kabin były zamknięte. Zwróciłam na to uwagę. Mogłabym stanąć na sedesie, żeby nikt nie zobaczył moich stóp pod drzwiami.

Ale równie dobrze mogliby otworzyć drzwi kabiny i mnie znaleźć, przykucniętą na sedesie i wytrzeszczającą oczy jak kangur w świetle reflektora.

Nie miałam czasu usiąść na łóżku z kartką i długopisem, by zrobić listę składającą się z dwóch kolumn: „argumenty za” i „argumenty przeciw”. Nie miałam czasu przeprowadzić uważnej i starannej oceny sytuacji. Parę minut przeznaczyłam już na zdjęcie karabinu i sprawdzenie magazynka. Musiałam podjąć decyzję.

„Ellie - pomyślałam surowo - cokolwiek postanowisz, trzymaj się tego. Nie ma sensu się zastanawiać, czy postępujesz właściwie”.

Innymi słowy, od decyzji, którą miałam podjąć, zależało moje życie.

Podeszłam do łóżka na końcu sali i rzuciłam jedzenie na podłogę między łóżkiem a oknem. Potem położyłam się obok, trzymając przy sobie karabin. Ścisnęłam go prawą ręką. Już go odbezpieczyłam i upewniłam się, że w komorze jest nabój. Wiedziałam, że jeśli mnie znajdą, będę musiała strzelać, by się stąd wydostać. Nie widziałam innych możliwości. Wokół było tak mało ludzi, że mogło się udać. Ale co potem? Na myśl o komplikacjach zakłuło mnie w sercu. Na chwilę mocno zamknęłam oczy, by odegnać od siebie te myśli. Nie mogłam sobie na nie pozwolić. Za bardzo mnie rozpraszały. Zdałam sobie sprawę, że to jedna z tych chwil, w których muszę improwizować: ja, która zawsze lubiłam mieć wszystko poukładane, a życie zaplanowane, i której ojciec powtarzał, że czas przeznaczony na rekonesans nigdy nie jest stracony.

Tym razem nie było czasu na rekonesans, nie było czasu na myślenie o konsekwencjach - pozostawała jedynie ślepa wiara, że jeśli uda mi

się wyjść z tej akcji bez szwanku, to być może uda mi się wyjść także z następnej i następnej, i z kolejnej, i tak dalej. Oczywiście prędzej czy później coś musiało pójść nie tak. Jak w jednym z tych tanich swetrów: raz zaciągniesz nitkę paznokciem i nagle pruje się rękaw, aż w końcu cały sweter jest do wyrzucenia. Musiałam mieć nadzieję, że coś takiego nastąpi raczej później niż wcześniej, może gdy niedaleko będą Homer i Lee, którzy zdołają mi jakoś pomóc.

Nagle wstrzymałam oddech, bo odniosłam wrażenie, że słyszę czyjś głos. Ku swojemu obezwładniającemu przerażeniu zdałam sobie sprawę, że nie jest to wytwór mojej wyobraźni. Najprawdopodobniej słyszałam oficerów, którzy byli już bardzo blisko. Weszli do drugiego pomieszczenia czy nie? Nie byłam pewna. Możliwe, że byli cicho i nie usłyszałam, jak otwierają się drzwi. Ledwie

83

*

doszłam do wniosku, że nie, nie są w tej sali sypialnej, muszą być w łazience, usłyszałam głos bardzo blisko siebie. O tak, byli tu, mniej więcej dwa łóżka od miejsca, w którym leżałam. Z przerażenia omal nie oderwałam się od podłogi. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym zaczęła kwitować wysoko nad łóżkiem, gdzie mogliby mi się dobrze przyjrzeć.

Mocniej ścisnęłam karabin. Wiedziałam, że jeśli się zbliżą, dojdzie do strzelaniny. Miałam przewagę, bo mogłam ich zaskoczyć. Zyskałabym kilka sekund. I w ciągu tych kilku sekund musiałabym ich zabić.

Znowu odezwał się ten sam głos. Nadal był ode mnie oddalony o kilka łóżek. Inny głos odpowiedział mu z drugiego końca sali. Pomieszczenie nie było ogromne, ale moje szanse znacznie by

zmały, gdybym po zerwaniu się na nogi musiała go zlokalizować przed oddaniem strzału. Ale w takiej sytuacji nie miałabym innego wyjścia. Byłam już tak nabuzowana, że czułam, jakbym naprawdę mogła się wznieść: wyobraziłam sobie, że wyskakuję jak na trampolinie i zabijam ich obu, zanim zdołają choćby drgnąć.

Czułam mrowienie w całym ciele: znowu miałam lemoniadowe nogi. Wszy. Pamiętam, jak babcia mówiła, że kiedyś cierpiała na przypadłość zwaną potówkami. Zawsze uważałam, że to zabawna, ciekawa nazwa, więc łatwo utkwiała mi w głowie. Teraz miałam takie potówki, jakby płonęło całe moje ciało klute rozgrzanymi igiełkami. Prawie krzyczałam ze zdenerwowania.

I wtedy to się stało. Na parę sekund włączyłam automatycznego pilota i pozwoliłam, by przejął nade mną całkowitą kontrolę. Zmieniłam się w robota, w terminatora. Chyba nigdy wcześniej nie doświadczyłam niczego podobnego. Nagle padł na mnie cień i w następnej sekundzie zobaczyłam nad sobą jednego z oficerów. Spoglądał nad moją głową, nie wiem na co - może na jakiś ślad na ścianie. Nie zauważył mnie. Uniosłam karabin, zanim zdał

sobie sprawę, że ktoś tu jest. Jego usta zaczęły się otwierać z przerażenia, ale na nic więcej nie miał czasu. Nie mogłam chybić z takiej odległości. Ułamek sekundy później było już po wszystkim. Miałam jedynie czas, by zauważyć, jak jego włosy podskoczyły w chwili, gdy trafiła go kula: zamknął oczy, a jego czupryna poleciała w górę, jakby potargał ją jakiś nagły porywisty wiatr. Siła kuli pchnęła go do tyłu, na krzesło. Żaden człowiek nie byłby w stanie uderzyć go tak mocno jak ten pocisk. Ale już na niego nie patrzyłam. Nie chciałam widzieć tego okropieństwa, a poza tym miałam inny problem.

Obróciłam się w lewo i jednocześnie uniosłam karabin trochę wyżej. Drugi oficer robił dwie rzeczy naraz: biegł do drzwi i równocześnie sięgał po pistolet. Broń najwidoczniej utknęła w kaburze: szarpał się z nią jedną ręką, a drugą wyciągał w stronę klamki. Wyjął pistolet w tej samej chwili, w której popchnął drzwi. Na progu obrócił się w moją stronę. Chyba liczył na to, że w łazience kula go nie dosięgnie. Ale nie miał szans. Nie zamierzałam spudłować. Pociągnęłam za spust. Facet runął na drzwi, pozostawiając na nich krwawą smugę. Usłyszałam, jak jego ciało z głośnym hukiem uderza o twardą podłogę łazienki. Podczas lądowania złamał pewnie parę kości, ale nie musiał się tym przejmować. To dziwne, że można złamać kość nawet po śmierci. Choć chyba i takie rzeczy się zdarzają.

Wiedziałam już, że nie ma odwrotu. Zbiłam dwa pierwsze kregle i bez względu na koszty musiałam zbić pozostałe. Nie wiedziałam, jak powiem przyjaciółom, że podpisałam na nich wyrok śmierci, ale postanowiłam, że przynajmniej zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zwiększyć nasze szanse. Zaczęłam od zdjęcia ze wsporników czterech następnych karabinów.

Staralam się nie patrzeć na ciała. Szybko obejrzałam zwłoki w łazience, by upewnić się, że mężczyzna nie żyje. Kula trafiła go w szyję, więc na pewno był martwy. Nie będę opisywała jego

85

wyglądu, ale ciało nie było już w jednym kawałku. Drugiego oficera trafiłam w klatkę piersiową. On także nie żył.

Nie marnowałam czasu, by przyjrzeć się zwłokom, i nie marnowałam go na to, by zastanowić się, co zrobiłam. Nie byłam już robotem ani terminatorem, ale nie wróciłam jeszcze do normalności. Nadal nie byłam sobą. Po prostu dalej odwalalam robotę. Staralam się działać w skupieniu, nie dopuszczać do siebie żadnych brzydkich, przerażających, koszmarnych myśli, które mogłyby mi uniemożliwić

skuteczne wykonywanie zadania. Musiałam dalej działać jak automat, bo w przeciwnym razie nie byłabym w stanie niczego zrobić.

Złapałam za kostki mężczyznę, który leżał na podłodze w sali sypialnej, i zaciągnęłam go między dwa łóżka, gdzie narzuciłam na niego koc. Plamy krwi na podłodze też przykryłam kocami. Wszystko w mglistej nadziei, że nikt nie znajdzie tych ciał jeszcze przez jakąś godzinę, co mogło mieć dla nas absolutnie kluczowe znaczenie. W sali sypialnej panował taki bałagan, że chyba nikt nie zwróciłby uwagi na porozrzucane koce.

Następny przystanek zrobiłam w łazience. Pobiegłam do drzwi. I dokładnie w chwili, gdy byłam zaledwie dwa metry od nich, wahadłowe drzwi się rozchyliły. Tego się nie spodziewałam. Nie słyszałam, żeby ktokolwiek wchodził. Nie miałam przy sobie karabinu. Wszystkie leżały na łóżku. Natychmiast przyszły mi do głowy dwie myśli i nie wiem, która była pierwsza. Może żadna. Może zjawily się równocześnie. Jedna była taka, że żołnierze wrócili do swojego baraku i za chwilę mnie zabiją. Najprawdopodobniej rozerwą na strzępy. Druga była podejrzeniem, że oficer w łazience wcale nie zginął: ożył i zamierzał mnie uśmiercić. Jak się nazywał ten film, w którym wszyscy myśleli, że facet nie żyje, a on nagle z wrzaskiem rzucił się na bohatera i wszyscy ludzie w kinie krzyknęli przerażeni? Nie pamiętam. Może właśnie Terminator.

Moja twarz strasznie się wykrzywiła, a lewa ręka uniosła się zupełnie bez udziału woli. Dziwne. Czułam, że to się dzieje, ale nie byłam w stanie tego zatrzymać. Równocześnie zaczęłam się zginać w pół, jakbym oczekiwała, że kula trafi mnie w brzuch. Tak, byłam całkowicie pewna, że los w końcu przestał mi sprzyjać.

To był Homer.

Boże, Homer, bywały w moim życiu chwile, kiedy cieszyłam się na twój widok, i takie, gdy było wręcz odwrotnie, ale tym razem sprawiłeś mi wielką radość.

W Nowej Zelandii rozpoczęto starania, by dać nam medale albo coś w tym rodzaju. Okazało się, że zorganizowanie czegoś takiego trwa z pięćdziesiąt lat, musi to rozpatrzyć z szesnastu komisji i potrzeba chmary niezależnych świadków. Dlatego nie zaprzętałyśmy sobie tym głowy - chociaż naprawdę bym chciała, żeby Robyn dostała jakiś duży medal. Ale tamtego ranka Homer też na niego zasłużył. Naprawdę wykazał się odwagą.

Fi zobaczyła oficerów idących do koszar. W hangarze zostali tylko Homer i Kevin. Pobiegnęła po Homera, który akurat siedział w łazience. Gdy podciągając spodnie, pędził do małych drzwi hangaru, usłyszał strzały. Wiedział, że strzelano w koszarach i że musiałam wpaść w okropne tarapaty. Nie wahał się ani chwili. Nieuzbrojony przebiegł przez jezdnię i wpadł do sali sypialnej. Gdy w pierwszej sali i w kuchni niczego nie znalazł, wszedł do łazienki, minął zwłoki i ruszył w stronę dobudówki. To było odważne.

Oczywiście nie opowiedział mi o tym wtedy. Wtedy liczyła się każda sekunda. Nie mogliśmy stać i gadać. Zapytał tylko:

88

SSWW'*1,,!

7

t >

To był Homer.

Boże, Homer, bywały w moim życiu chwile, kiedy cieszyłam się na twój widok, i takie, gdy było wręcz odwrotnie, ale tym razem sprawiłeś mi wielką radość.

W Nowej Zelandii rozpoczęto starania, by dać nam medale albo coś w tym rodzaju. Okazało się, że zorganizowanie czegoś takiego trwa z pięćdziesiąt lat, musi to rozpatrzyć z szesnastu komisji i potrzeba chmary niezależnych świadków. Dlatego nie zaprzętałyśmy sobie tym głowy - chociaż naprawdę bym chciała, żeby Robyn dostała jakiś duży medal. Ale tamtego ranka Homer też na niego zasłużył. Naprawdę wykazał się odwagą.

Fi zobaczyła oficerów idących do koszar. W hangarze zostali tylko Homer i Kevin. Pobiegnęła po Homera, który akurat siedział w łazience. Gdy podciągając spodnie, pędził do małych drzwi hangaru, usłyszał strzały. Wiedział, że strzelano w koszarach i że musiałam wpaść w okropne tarapaty. Nie wahał się ani chwili. Nieuzbrojony przebiegł przez jezdnię i wpadł do sali sypialnej. Gdy w pierwszej sali i w kuchni niczego nie znalazł, wszedł do łazienki, minął zwałki i ruszył w stronę dobudówki. To było odważne.

Oczywiście nie opowiedział mi o tym wtedy. Wtedy liczyła się każda sekunda. Nie mogliśmy stać i gadać. Zapytał tylko:

88

- Nic ci nie jest?
- Nie - powiedziałam. - Ale wciągnijmy tu tego drugiego.

W ten sposób dowiedział się, że zabiłam dwóch mężczyzn.

Nie zadawał żadnych pytań. Pomógł mi tylko zawinąć obie części oficera w narzutę i zaciągnąć je do miejsca, w którym ułożyłam jego kolebę.

- Zaskoczyli mnie - mruknęłam po drodze.

Homer pokiwał głową. Pewnie chciało mu się rzygać, tak jak mnie.

Użyłam ręczników, by zetrzeć krew. Było to obrzydliwe zadanie, bo facet stracił jej bardzo dużo, w przeciwieństwie do tego drugiego, który nie krwawił prawie w ogóle. Mimo obrzydzenia doszłam do wniosku, że warto usunąć ślady. Zajęło mi to pięć minut, a jeśli dzięki temu zyskaliśmy ich sześć, to się opłacało.

- Myślisz, że ktoś jeszcze to słyszał? - zapytałam Homera.

Pokręcił głową.

- Kiedy strzelałaś, nad lotniskiem przelatywał odrzutowiec. Nawet Fi niczego nie słyszała.

To były dobre wieści, cudowne, choć zdziwiłam się, że sama nie usłyszałam odrzutowca. Oto, ile potrafi działać skupienie. Ale teraz, gdy Homer o tym wspomniał, zdałam sobie sprawę, że lądują kolejne odrzutowce. W półminutowych odstępach. To mogło trwać wieki. I tak bym nie zauważyła.

Gdy skończyliśmy sprzątać, zabraliśmy pięć karabinów i jedzenie. Nie musieliśmy dyskutować o broni. Homer wiedział, co trzeba zrobić. Znowu przebiegliśmy przez główną salę sypialną, trzymając karabiny, głośno dysząc i wiedząc, że tkwimy w tym już po szyję, że będą padały kolejne kręgle. Mogliśmy jedynie spróbować popchnąć je we właściwą stronę. Nie byliśmy w stanie zepchnąć ich ze swojej drogi, to pewne. Najlepsze, na co mogliśmy liczyć, to dotrwanie do końca dnia.

89

Zatrzymaliśmy się przy drzwiach i wyjrzelismy na zewnątrz. Na drodze nie było ruchu. Musieliśmy zaryzykować i biec dalej, więc pochyliliśmy głowy i sprintem popędziliśmy do hangaru. Gdy wpadliśmy do środka, nad naszymi głowami śmignął następny odrzutowiec. Leciał tak nisko, że prawie mogłabym go dotknąć.

Ogromny hangar działał jak bariera dźwiękowa, więc w zasadzie nie słyszałam samolotu, póki nie znalazł się bezpośrednio nad nami - wtedy usłyszałam go aż za dobrze. Myślałam, że urwie mi głowę.

Lee i Fi już na nas czekali.

- Te samoloty wracają chyba z jakiejś misji - powiedział Lee.

Tak brzmiały jego pierwsze słowa. Nie „Jak się czujecie?”, „Nic wam się nie stało?” czy choćby „Gdzie się podziewaliście?”. Był skupiony. Zadanie wszystkich pytań przypadło w udziale Fi, a ponieważ musieliśmy się streszczać, zadała je spojrzeniem oczu. Mieliśmy czas jedynie na najpilniejsze rozmowy. Szybko ją uściskałam, a potem zwróciłam się do Lee:

- Musimy działać już teraz - powiedziałam. - Od razu. Właśnie zastrzeliłam dwóch oficerów.

Spokojnie wziął karabin, a potem zajrzał do magazynka. Przynajmniej wydawał się spokojny. Zmusiłam Fi, by też wzięła broń, choć ona zdecydowanie nie była spokojna. Nie mogłam przywyknąć do widoku Fi z karabinem. To tak jakby Homer trzymał lalkę Barbie.

Homer zwrócił się do Lee.

- Jeśli zaczną tankować, zanim znajdą ciała, będziemy mieli szansę co nieco zniszczyć...

- Lepiej byłoby poczekać do zmroku - przerwał mu Lee. - Ale z drugiej strony ląduje coraz więcej maszyn. Jest ich mnóstwo.

- Zresztą po zmroku też mogliby nas złapać - powiedział Homer. Chyba chciał mnie tym podnieść na duchu.

- Gdzie są pozostali żołnierze? - zapytałam, Wiedziała, że Lee poszedł sprawdzić, co się dzieje. Chciałam się dowiedzieć, co zobaczył.
- Mają coś w rodzaju parady. Przygotowują się do czegoś. Nadal są w bazie, maszerują powoli i śmiesznie wymachują karabinami.
- Są pewni siebie - zauważył Homer. - Myślą, że są tutaj bezpieczni.
- A nie są - powiedział Lee.

Oszłupiałam. To były jedne z najdziwniejszych słów, jakie kiedykolwiek słyszałam.

Rozmowa toczyła się bardzo szybko, szeptem. Gapiliśmy się przez dziurki w blasze, próbując zobaczyć, co się dzieje. A działo się naprawdę sporo. Mnóstwo samolotów wracało do bazy. Widziałam trzy odrzutowce w ruchu: jeden właśnie lądował, drugi skręcał na końcu pasa startowego i jechał z powrotem w naszą stronę, a trzeci dobijał do płyty, przy której parkowały wszystkie samoloty. Ale najważniejsze było dla nas to, że od razu zaczęło się tankowanie. Potrzebowaliśmy zaledwie dziesięciu minut, by zrobić to, co musieliśmy zrobić, ale gdyby żołnierze wrócili do koszar po paradzie i znaleźli martwych oficerów, nie dostalibyśmy nawet tyłu.

- Jest - powiedział nagle Lee.

Spojrzałam w kierunku, który wskazał, ale przez moją dziurkę nic nie było widać. Dlatego przesunęłam się w jego stronę, żeby dał mi popatrzeć. Rzeczywiście, pierwsza cysterna sunęła już drogą ku zaparkowanym odrzutowcom niczym wielki stary dinozaur. Za nią zauważyłam drugą, która wyjeżdżała ze składu paliw. Mój żołądek dziko podskoczył, jakby wszystkie wnętrzości przewróciły się do góry nogami. Jakby nastąpiło tam trzęsienie ziemi. Te cysterny były naszym wyrokiem śmierci. Chcieliśmy je zobaczyć,

t

ucieleśniały naszą szansę na zniszczenie tej bazy, lecz jednocześnie były naszym wyrokiem śmierci. Nie można było od tego uciec.

- Chodźmy - powiedział Homer.

Nasza czwórka spojrzała na siebie. Po co? Nie wiem. Chyba tylko po to, by sprawdzić, by się upewnić, że jesteśmy do tego zdolni i gotowi. Nie miałam pojęcia, jak wyglądam, ale z pewnym zdziwieniem zauważyłam, że troje moich przyjaciół ma identyczne miny: wąskie, zaciśnięte usta, bladą twarz, spocone czoło, lecz spokojne oczy. Te oczy podniosły mnie na duchu.

Pobiegliśmy do ciężarówek. Zupełnie zapomniałam o Kevi-nie, choć przecież uwzględniliśmy go w naszym planie. Szedł z nami, czy mu się to podobało, czy nie. To pewnie brzmi brutalnie, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Jak moglibyśmy go tam zostawić?

Byłoby idealnie, gdyby poprowadził jedną z ciężarówek, bo po mnie był najlepszym kierowcą spośród nas. Ale Homer też prowadził nieźle i musiał nam wystarczyć. Fi i Lee sporo brakowało do doskonałości. Byli wręcz niebezpieczni. W zasadzie byli tak niebezpieczni, że może powinniśmy byli ich posadzić za kółkiem i wyprawić w drogę: rozjechaliby mnóstwo żołnierzy.

Nie trzeba było dyskutować. Ja i Fi pobiegliśmy do ciężarówki do przewozu mebli, a Lee i Homer do drugiego wybranego wcześniej pojazdu: do wysokiej ciężarówki do wywozu śmieci, która ważyła z dziesięć albo i dwanaście ton i wyglądała bardzo solidnie.

Uruchomiliśmy silniki. Chwila, w której przekręciliśmy kluczyki w stacyjkach, była straszna, naprawdę przerażająca. Szybko spojrzałam

na Fi i znowu - równie szybko - odwróciłam wzrok. Wyglądała upiornie. Jak ktoś śmiertelnie chory.

No tak, przecież wszyscy cierpieliśmy na tę samą śmiertelną chorobę.

Gdy zapuściłam silnik, z tyłu rozległ się krzyk. Krzyk strachu przywodzący na myśl dziecko, które sparzyło się w rękę.

92

Pobrzmiwała w nim histeryczna nuta. Jak już powiedziałam, zupełnie zapomniałam o Kevinie.

Jeszcze raz spojrzałam na Fi. Tym razem miała ponurą minę.

- Ja pójdę - oświadczyła, wstając z siedzenia.

Zanim zdążyła się ruszyć, w małym otworze między kabiną a główną częścią ciężarówki ukazał się Kevin. Wyglądał jeszcze gorzej niż Fi. Pewnie nie gorzej niż ja, ale nie patrzyłam w lustro. Z nosa zwisał mu gil, nie czesał się od mniej więcej półtora tygodnia, choć w tym czasie musiał chyba bez przerwy przeczesywać włosy palcami, targając je najbardziej, jak się da. Miał dzikie spojrzenie. Gapił się na jedną z nas, a potem na drugą, jakby nigdy wcześniej nas nie widział.

- Co się dzieje? - pisnął do mnie. - Co wy robicie?

Nie wiedziałam, czy w ogóle powinnyśmy mu odpowiadać, bo bałam się jego reakcji, ale Fi powiedziała:

- Jedziemy, Kev. Atakujemy samoloty.

Cała jego twarz nagle się zmarszczyła. Kiedyś na fizyce robiliśmy eksperyment, w którym wysysa się powietrze z puszki. Puszka marszczy się i kurczy, zmieniając się w kompletny wrak. No więc właśnie tak wyglądał Kevin. Wyssałyśmy z niego ducha.

Znowu przeczesał włosy palcami i zawołał:

- Ellie, to szaleństwo. Nie rób tego, proszę. To samobójstwo!

Ale ja i tak wrzuciłam bieg. Ciężarówka Homera jechała już

w stronę wielkich drzwi. Gdy zatrzymała się przed nimi z

przeszywającym piskiem hamulców, Lee wyskoczył z kabiny.

Spojrzał na nas, czekając, aż podjedziemy bliżej, zanim odsłoni przed

nami świat zewnętrzny. Gdy już to zrobi, nie będzie odwrotu. Przez

pierwszą minutę możemy jedynie blefować. Musimy mieć nadzieję,

że każdy żołnierz, który zobaczy ciężarówki, założy, że jesteśmy tu

legalnie. Jeśli nie, jeśli od razu się domyśla, że coś knujemy, zmiotą

nas z powierzchni ziemi, zanim zdążymy pokonać sto metrów.

Skończymy jak piórka z poduszki rozerwanej

93

)

podczas poduszkowej bitwy. Wiedziałam, że gdy drzwi się otworzą, zostanie nam zaledwie kilka minut życia. I to w najlepszym razie.

Nie mam pretensji do Kevina, że tak się rozkleił. Mnie też niewiele brakowało. Kevin posypał się psychicznie, a za chwilę wszyscy mieliśmy się posypać fizycznie. Mieliśmy skończyć jak tamten martwy oficer w łazience w koszarach. Nie potrafiłam przestać myśleć o Robyn i o sposobie, w jaki zginęła. Wiedziałam, że to kiepska pora na wspomnianie jej, ale byłam przekonana, że już wkrótce się zobaczymy.

Toczyliśmy się naprzód. Spojrzałam w górę, by zerknąć na Kevina, ale poterh zdałam sobie sprawę, że przecież nie ma wstecznego lusterka. W ciężarówkach do przewozu mebli na niewiele by się zdało.

- Gdzie Kevin? - zapytałam Fi.

Przez chwilę nie odpowiadała. Chyba próbowała zajrzeć do tyłu.
Potem się odezwała:

- Trudno powiedzieć. Wygląda na to, że zakopał się pod stertą worków.

Byliśmy już przy drzwiach. Lee dał nam znak i zaczął je otwierać.

- To okropne - powiedziałam do Fi, mając na myśli to, co robiłyśmy Kevinowi, którego wiozłyśmy na niemal pewną śmierć.

- Tak - przyznała. - Okropne.

Musiałam założyć, że wie, o czym mówię, bo nie było czasu tego potwierdzić, nie było czasu na nic z wyjątkiem zabijania i umierania.

Wrota hangaru się rozsuwały. Była to jedna z tych konstrukcji, w których przesunięcie pierwszej części powoduje automatyczne przesunięcie drugiej. Szybko spojrzałam na Lee. Wyglądał spokojnie i pięknie.

Zastanawiałam się, czy widzę go po raz ostatni. Jego i Homera.

Drzwi otworzyły się wystarczająco szeroko, byśmy mogli przejechać. Usłyszałam głośny warkot silnika ciężarówki Homera. Dawał za dużo gazu, ale trudno przywyknąć do obcego silnika w takim pośpiechu, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z ciężarówką. Wielka zakurzona ciężarówka zaczęła się toczyć. Zauważyłam pył i pomyślałam, że śmiesznie wygląda w bazie wojskowej, gdzie wszystko jest takie nieskazitelne. Wyjechałam za Homerem, a potem zatrzymałam się i czekałam na Lee. Zamknął drzwi. Na drugim końcu drogi stało dwóch żołnierzy, ale byli odwróceny plecami. Lee wskoczył do kabiny, dając nam ostatni znak. Dodałam gazu i ruszyłam za Homerem.

Na zewnątrz wszystko wydawało się jasne i czyste. Jakbym oglądała prześwietlony film na dużym ekranie. Było tyle przestrzeni. Skreśliłam w prawo, nadal jadąc za Homerem, a potem zerknęłam w tę stronę, gdzie w dalszym ciągu paradowali żołnierze. Przez chwilę nie wierzyłam własnym oczom. Ale to musiała być prawda. Na końcu drogi zgraja mężczyzn szła w naszą stronę. Pomyślałam, że już nas nakryli, że ruszyli do ataku. Potem zdałam sobie sprawę, że to niemożliwe. Pewnie skończyli musztrę i wracali do koszar na kubek herbaty i chwilę odpoczynku. Za wcześnie. To oznaczało, że za trzy, cztery minuty znajdą ciała oficerów. Ale niekoniecznie: wcale nie musieli wejść do tej sali sypialnej, w której panował bałagan. Mimo wszystko pomyślałam, że nasze szanse gwałtownie maleją.

Jakby od samego początku nie były malutkie.

Homer szybko skręcił w lewo i ruszył boczną drogą. W porządku - nadal jechaliśmy w stronę zaparkowanych odrzutowców. Skreśliłam za nim równie szybko, ale martwiłam się, czy nie narzuciliśmy zbyt dużego tempa. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi. Musieliśmy zyskać co najmniej półtorej minuty, by zająć pozycje umożliwiające rozpętanie piekła, które chcieliśmy rozpętać.

95

Bo chcieliśmy rozpętać piekło. Piekło, chaos, zniszczenie. Wiedzieliśmy, że jeśli nam się uda, lotnisko zmieni się w morze ognia. Mieliśmy szansę zniszczyć więcej samolotów w ciągu paru minut, niż nowozelandzkie siły powietrzne zniszczyły w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Już je widziałam. Boże, było ich mnóstwo. To dobrze, ale jednocześnie się wystraszyłam. Bałam się już tak długo, że w zasadzie nie powinnam była się przejmować strachem, ale w tamtej chwili poczułam, że za chwilę pozbędę się całej zawartości żołądka, i to z obu stron. Odrzutowce wyglądały jak szerszenie, a my byliśmy przy

nich mrówkami. Mrówkami, które postanowiły przypuścić atak na szerszenie.

Dziewięć cystern napełniało baki, a cztery samoloty czekały na swoją kolej. Razem trzynaście. Dla niektórych pechowa liczba. Wzdłuż płyty postojowej parkowało około czterdziestu, może pięćdziesięciu maszyn. Wszystko się zgadzało. Wcześniej widzieliśmy tylko dziewięć cystern i podejrzewaliśmy, że więcej ich nie ma. Ich bezpieczeństwo zależało od szybkości. Nie mogli sobie pozwolić, by samoloty w nieskończoność tkwiły na płycie lotniska bez paliwa albo połączone rurami z cysterną. Wtedy były najbardziej bezbronne. Gdzieś kiedyś usłyszałam o tym od pułkownika Finleya i Iaina.

Ruszyliśmy w ich stronę. Przed nami sunęła wielka ciężarówka Homera. Nadawała nam rytm. Gdyby nie on, nie wiem, jak szybko bym jechała. Pewnie rozpędziłabym się do stu czterdziestu. Ciężarówka do wywozu śmieci okazała się jednak trochę podobna do człowieka, którym stał się Homer. Była solidna, niezawodna i silna.

- Mam nadzieję, że kule zadziałają - powiedziała nagle Fi.
- Co masz na myśli?
- No wiesz, to, że Homerowi udawało się rozwalać puszki na polu, wcale nie znaczy, że tutaj też się uda.

Bil

Bo chcieliśmy rozpętać piekło. Piekło, chaos, zniszczenie. Wiedzieliśmy, że jeśli nam się uda, lotnisko zmieni się w morze ognia. Mieliśmy szansę zniszczyć więcej samolotów w ciągu paru minut, niż nowozelandzkie siły powietrzne zniszczyły w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Już je widziałam. Boże, było ich mnóstwo. To dobrze, ale jednocześnie się wystraszyłam. Bałam się już tak długo, że w zasadzie nie powinnam była się przejmować strachem, ale w tamtej chwili poczułam, że za chwilę pozbędę się całej zawartości żołądka, i to z obu stron. Odrzutowce wyglądały jak szerszenie, a my byliśmy przy nich mrówkami. Mrówkami, które postanowiły przypuścić atak na szerszenie.

Dziewięć cystern nappełniało baki, a cztery samoloty czekały na swoją kolej. Razem trzynaście. Dla niektórych pechowa liczba. Wzdłuż płyty postojowej parkowało około czterdziestu, może pięćdziesięciu maszyn. Wszystko się zgadzało. Wcześniej widzieliśmy tylko dziewięć cystern i podejrzewaliśmy, że więcej ich nie ma. Ich bezpieczeństwo zależało od szybkości. Nie mogli sobie pozwolić, by samoloty w nieskończoność tkwiły na płycie lotniska bez paliwa albo połączone rurami z cysterną. Wtedy były najbardziej bezbronne. Gdzieś kiedyś usłyszałam o tym od pułkownika Finleya i Iaina.

Ruszyliśmy w ich stronę. Przed nami sunęła wielka ciężarówka Homera. Nadawała nam rytm. Gdyby nie on, nie wiem, jak szybko bym jechała. Pewnie rozpędziłabym się do stu czterdziestu. Ciężarówka do wywozu śmieci okazała się jednak trochę podobna do człowieka, którym stał się Homer. Była solidna, niezawodna i silna.

- Mam nadzieję, że kule zadziałają - powiedziała nagle Fi.
- Co masz na myśli?
- No wiesz, to, że Homerowi udawało się rozwalać puszkę na polu, wcale nie znaczy, że tutaj też się uda.

Jechałam dalej, czując się tak, jakbym dostała w głowę kantówką. Fi miała rację. To mogło być jakieś specjalne paliwo. A cysterny mogły być specjalnie zabezpieczone.

Homer odbił w lewo. Tak jak uzgodniliśmy. Od najbliższego odrzutowca dzieliło nas już tylko czterysta metrów. Nasz plan był prosty. Homer i Lee zajmą się samolotami zaparkowanymi najdalej, my tymi zaparkowanymi bliżej. Gdy chłopcy będą jechać do celu, my zwolnimy i skreścimy w prawo, by zająć najlepszą pozycję do ostrzału.

Jak do tej pory szło nam wyśmienicie. Nikt się do nas nie zbliżył i nie okazał nam najmniejszego zainteresowania. Ale sytuacja szybko się zmieniała. Kilka następnych minut przypominało obłęd: szalony wyścig, którego zwycięzcy żyją dalej, a przegrani giną.

Pierwszym zwiastunem kłopotów było to, że nagle Fi chwyciła mnie za rękę. Szepnęła mi do ucha:

- Jedzie jakiś samochód.

Nie wiem, dlaczego mówiła szeptem. I tak niełatwo było cokolwiek usłyszeć przez warkot diesla. Zerknęłam w stronę, którą pokazała, i oczywiście okazało się, że ma rację: zielony džip z plandeką szybko zmierzał w naszą stronę. Jechał z odległego krańca lotniska, więc nadal dzieliło go od nas trzysta, czterysta metrów. Bez wątpienia chodziło mu jednak o nas. Wyglądał groźnie, pędząc tak prosto w naszą stronę.

Myślałam szybko. Musiałam nadać swojemu umysłowi taką samą prędkość, z jaką jechał ten samochód, albo jeszcze większą. Nie wiem, dlaczego czasami mózg pracuje, a czasami zamiera w bezruchu. Chodzi nie tylko o poczucie zagrożenia i adrenalinę. Tamtej nocy w Wirrawee, kiedy puściły mi nerwy, zagrożenie było ogromne, a mimo to się posypałam. Teraz znowu groziło nam wielkie niebezpieczeństwo, lecz tym razem mój mózg działał, jak należy. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że tamto załamanie w Wirrawee

wydarzyło się niedługo po śmierci Robyn i niedługo po tym, jak zrobiłam z chłopakiem z Wellington coś, czego naprawdę żałowałam.

Tym razem się nie zawahałam. Wzięłam szeroki zakręt, dość łagodny, żeby nie wyglądał podejrzanie. Nawet trochę zwolniłam, ale jednocześnie powiedziałam do Fi:

- Złap się czegoś.
- A co z Kevinem? - zapytała.

Nawet o nim nie pomyślałam.

- Powiedz, żeby zrobił to samo - poleciłam.

Nie było czasu na dłuższą rozmowę. Fi odwróciła się i krzyknęła:

- Kevin, złap się czegoś!

Na tym etapie byliśmy zwrócenii na północny zachód. Dżip zbliżał się od zachodu. Kiedy skręciłyśmy, zwolnił, a potem ostro odbił w lewo, by zajechać nam drogę. Może żołnierze chcieli się ustawić po stronie kierowcy, nie wiem. Nie spodziewałam się tego, ale biorąc pod uwagę to, co zamierzałam zrobić, złożyło się całkiem dobrze. Chyba nadal nie byli pewni, jak nas potraktować, nie wiedzieli, czy zagrażamy ich bezpieczeństwu, czy może jesteśmy tu z jakiegoś ważnego powodu. Prawdopodobnie nie mogli uwierzyć, że ktokolwiek zdołał przełamać ich fantastyczną obronę.

Znowu zaczęłam przyspieszać - na początku delikatnie, a potem, kiedy oceniłam, że są we właściwym miejscu, ostrzej. Gaz do dechy. Stara ciężarówka spisała się całkiem nieźle. Pewnie nikt jej jeszcze nie prosił, by robiła coś tak ekscytującego i odważnego. Prawdopodobnie nikt jej nie prosił, by pędziła z pełną prędkością. W każdym razie wyrwała do przodu z większą mocą, niż się spodziewałam.

Wszystko stało się tak szybko, że zbiło z tropu żołnierzy w dzi-pie. Zobaczyłam ich zaskoczone miny. Krzyczeli do kierowcy i próbowali unieść karabiny do strzału. Kierowca myślał, że podjedzie od mojej strony, ale zrobił najgorsze, co można było zrobić: rozmyślił się. Uznał, że mu się nie uda - bo pewnie by się nie

99

udało, trudno powiedzieć - i zahamował, a potem gwałtownie wrzucił wsteczny i próbował się wycofać, skręcając jednocześnie gwałtownie w prawo. To była okropna, głupia decyzja. Jak już wspomniałam, czasami nasz umysł pracuje, a czasami zamiera w bezruchu. Nie wiem, dlaczego tamten kierowca wykonał tak kiepski ruch, dlaczego zrobił coś tak niemądrego w tak ważnej chwili swojego życia. I nigdy się tego nie dowiem. Fi rzuciła się na podłogę, zasłaniając oczy rękami, a ja na ostatnie dwa, trzy metry mocno zacisnęłam powieki. To było straszne. Gdy w nich uderzyliśmy, nadal wciskałam pedał gazu. Ktoś mi kiedyś powiedział, że w ten sposób szkoli się policjantów: mają przyspieszyć, kiedy wiedzą, że za chwilę uderzą w inny pojazd. Dzięki temu odnoszą mniejsze obrażenia. To okropne i nie wiem, jak to wszystko o mnie świadczy, bo nie zdjęłam nogi z gazu aż do ostatniej sekundy. Nie zdjęłabym jej w ogóle, ale jakiś odruch sprawił, że cofnęłam ją w chwili uderzenia. Staranowanie kogoś z pełną prędkością i z zimną krwią wydawało się zbyt przerażające.

Mimo to w chwili zderzenia jechaliśmy dziewięćdziesiąt na godzinę.

To była masakra. Dżip rozpadł się na części: jego kawałki leżały porozrzucane na asfalcie. Niektóre oddalone o sto metrów. Największym, jaki zauważyłam, były drzwi, a i one nie były zbyt duże, bo przecież pochodziły od dżipa. Zobaczyłam też silnik. Leżał na ziemi, jakby mechanik wyjął go wielokrążkiem.

Poza tym widziałam ciała. W dziapie jechało chyba czterech, pięciu żołnierzy, ale zauważyłam tylko dwóch: jeden leżał zupełnie nieruchomo, a drugi jakby przewracał się z boku na bok, jak ryba wyjęta z wody pięć minut temu, której pozostało już niewiele życia.

Widziałam też fragmenty ciała.

Oczywiście nie przeprowadziłam szczegółowych oględzin miejsca wypadku. Moje spojrzenia były tylko przelotne, i cały

czas bardzo szybko jechaliśmy, zataczając duży krąg. Musiałam sprawnie zawrócić, żebyśmy mogli się ustawić naprzeciw cystern, kiedy ich rury będą jeszcze podłączone do odrzutowców. W zasadzie nie musiały być do nich podłączone, ale tak byłoby najlepiej.

Wprowadziłam zatem rozchybotaną ciężarówkę w zakręt, wisząc nad kierownicą jak ponura kostucha, mimo że w każdej chwili mogliśmy się wywrócić. Poczułam, jak koła po prawej stronie się unoszą, i pomyślałam: „I to by było na tyle. Już po nas”. Nie cofnęłam jednak kierownicy nawet o milimetr, bo wiedziałam, że musimy to zrobić, wszystko albo nic. Nie zwolnimy za żadne skarby.

W pewnym sensie czułam się jak na karuzeli. Robiąc zakręt, zobaczyłyśmy wszystko: całe miejsce wypadku. Ujrzałam wrak dziapa, szerokie połączenie pasów startowych i ogrodzenie za nimi. Zobaczyłam żołnierzy wysypujących się przez drzwi jakiegoś dużego niesymetrycznego budynku przy wieży kontrolnej. Zobaczyłam, jak ciężarówka Homera i Lee zatacza szeroki łuk, by zająć dobrą pozycję, i dostrzegłam rzędy samolotów i cystern z paliwem.

To tu toczyła się akcja. Wiedziałam, że prędzej czy później obudzi się też reszta lotniska - żołnierze wybiegający z budynku przy wieży byli pierwszymi z wielu - ale faceci w cysternie od razu zrozumieli, że to sprawa życia lub śmierci. Dwóch czy trzech po prostu uciekło. Nie zrobiliśmy jeszcze niczego, co mogłoby im bezpośrednio zagrozić, ale

nie zamierzali zwlekać. Reszta wpadła w panikę. Mężczyźni zeskakiwali ze skrzydeł samolotów, odłączali rury, biegli do kabin ciężarówek. Wiedzieli, że cokolwiek zamierzamy, są na naszym celowniku. Wiedzieli, że mają tylko sekundy, by ocalić życie.

Pojawiły się dwa problemy. Po pierwsze, gdy telepiąc się na boki, zataczaliśmy łuk, nie mieliśmy możliwości wymierzenia do celu. Fi próbowała się podnieść z podłogi, a ja wrzeszczałam:

x), wstawaj!", ale siła odśrodkowa bardzo ją spowalnia po drugie, znaleźliśmy się zbyt blisko. Niebezpiecznie blisko, Mogliśmy spłonąć.

Gdy tylko oddaliliśmy się na wystarczającą odległość, wdepnęłam hamulec. Fi właśnie udało się usiąść. Teraz rzuciło nią do przodu i uderzyła głową o przednią szybę. I tak nie potrzebowałyśmy tej szyby, ale można było próbować się jej pozbyć w inny sposób. Kiedyś widziałam, jak pewien robotnik w naszym gospodarstwie uderzył pięścią w przednią szybę, bo mój tata go zwolnił. To była szyba starego datsuna, naszego polnego gruchota. Ale ta, w którą uderzyła głowa Fi, nawet nie pękła.

Gdy szarpnęłam drążek skrzyni biegów, by wrzucić wsteczny, krzyknęłam do Fi jeszcze raz: „No, dalej!". Nie było czasu na okazywanie współczucia z powodu rany głowy. Ciężarówka na chwilę stanęła, dygocząc, wstrząśnięta tym, co jej zrobiłam, więc Fi zdołała wrócić na siedzenie. Po twarzy płynęła jej krew, a twarz miała bladą jak banan obrany ze skórki.

- Karabiny, karabiny! - krzyknęłam do niej.

Nadal nie mogłam wrzucić wstecznego. Cholera, gdzie on jest? Udało się za trzecim razem. Myślałam, że cały nasz szalony atak zakończy się w tym miejscu. Nagle drążek ze zgrzytem trafił na odpowiednie miejsce.

- Dzięki Bogu — mruknęłam.

Znowu wcisnęłam gaz do dechy. Za nami rozciągały się hektary lotniska, więc przynajmniej nie mogliśmy w nic uderzyć. Nawet nie spojrzalam w boczne lusterka. Jeśli z tyłu był następny dziup, sam musiał o siebie zadbać.

Ruszyliśmy wstecz, koła obróciły się w miejscu i ciężarówka gwałtownie szarpnęła, a Fi podskoczyła jak spławik w jezioru. Na coś najechaliśmy, prawdopodobnie na jakąś część dziupa. Zresztą i tak wiedziałam, że pora się już zatrzymać. Nie mogliśmy dłużej marnować czasu. Jeśli byliśmy za blisko i mieliśmy się

102

„Wstawaj, wstawaj!”, ale siła odśrodkowa bardzo ją spowalniała. Po drugie, znaleźliśmy się zbyt blisko. Niebezpiecznie blisko. Mogliśmy spłonąć.

Gdy tylko oddaliliśmy się na wystarczającą odległość, wdepnęłam hamulec. Fi właśnie udało się usiąść. Teraz rzuciło nią do przodu i uderzyła głową o przednią szybę. I tak nie potrzebowałyśmy tej szyby, ale można było próbować się jej pozbyć w inny sposób. Kiedyś widziałam, jak pewien robotnik w naszym gospodarstwie uderzył pięścią w przednią szybę, bo mój tata go zwolnił. To była szyba starego datsuna, naszego polnego gruchota. Ale ta, w którą uderzyła głowa Fi, nawet nie pękła.

Gdy szarpnęłam drążek skrzyni biegów, by wrzucić wsteczny, krzyknęłam do Fi jeszcze raz: „No, dalej!” Nie było czasu na okazywanie współczucia z powodu rany głowy. Ciężarówka na chwilę stanęła, dygocząc, wstrząśnięta tym, co jej zrobiłam, więc Fi zdołała wrócić na siedzenie. Po twarzy płynęła jej krew, a twarz miała bladą jak banan obrany ze skórki.

- Karabiny, karabiny! - krzyknęłam do niej.

Nadal nie mogłam wrzucić wstecznego. Cholera, gdzie on jest? Udało się za trzecim razem. Myślałam, że cały nasz szalony atak zakończy się w tym miejscu. Nagle drążek ze zgrzytem trafił na odpowiednie miejsce.

- Dzięki Bogu - mruknęłam.

Znowu wcisnęłam gaz do dechy. Za nami rozciągały się hektary lotniska, więc przynajmniej nie mogliśmy w nic uderzyć. Nawet nie spojrziałam w boczne lusterka. Jeśli z tyłu był następny dziup, sam musiał o siebie zadbać.

Ruszyliśmy wstecz, koła obróciły się w miejscu i ciężarówka gwałtownie szarpnęła, a Fi podskoczyła jak spławik w jezioru. Na coś najechaliśmy, prawdopodobnie na jakąś część dziupa. Zresztą i tak wiedziałam, że pora się już zatrzymać. Nie mogliśmy dłużej marnować czasu. Jeśli byliśmy za blisko i mieliśmy się

102

p

ugrillować - trudno. I tak nie sposób było stwierdzić, jaką należałoby zachować odległość. Nie mieliśmy zbyt wielkiego doświadczenia w tych sprawach. Ale cofanie przez następne pięć minut też nie wchodziło w grę. Jeśli siła wybuchu miała nas zmieść, musieliśmy najpierw zniszczyć tyle, ile się da.

No więc znowu wcisnęłam hamulec. Tym razem pamiętałam, żeby ostrzec Fi, która w ostatniej chwili przygotowała się na wstrząs, zapierając się jedną ręką o siedzenie, a drugą o szybę. Trzymała karabiny między nogami, skierowane lufami w sufit, ale podczas hamowania oba przechyliły się w moją stronę. Miałam nadzieję, że nadal są zabezpieczone.

No i nadeszła wielka chwila. Staranne plany ułożone przez pułkownika Finleya, Iaina i Ursulę - tak pieczołowicie, tak dawno

temu - na nic się nie zdały. Teraz wszystko zależało od nas, od naszego planu ułożonego naprędce, z zastosowaniem naszych mózgów i inicjatywy, oraz wymagającego sporo szczęścia. Zabawne: Nowozelandczycy chcieli, byśmy byli jedynie ich przewodnikami. Uznali, że ponieważ jesteśmy młodzi, na niewiele możemy się przydać. Mimo że tak dużo wcześniej zrobiliśmy, uważali, że po prostu mieliśmy szczęście. Można to było poznać po sposobie, w jakim na nas patrzyli, i po tym, jak mówili. Jakby wiedzieli o wiele więcej niż my.

A teraz to my byliśmy na lotnisku i przypuszczaliśmy atak. Miałam tylko nadzieję, że kiedy wojna się skończy, postawią nam duży pomnik.

Chwycałam jeden karabin, a Fi uniosła drugi. Fi była najgorszym strzelcem na półkuli południowej, choć teraz radziła sobie z bronią odrobinę lepiej niż przed wojną. Sprawdziłam, czy karabin nadal jest zabezpieczony, a potem odwróciłam go i stłukłam kolbą przednią szybę. Obłęd. Szkło się rozprysło. Spadł na nas deszcz odłamków. Nie było jednak czasu na oglądanie zadrapań i ran. Obok mnie Fi próbowała stłuc to, co zostało

103

z szyby po jej stronie. Była jednak zbyt mało agresywna. A może za słaba. W każdym razie zamachnęłam się jeszcze raz, omał nie roztrzaskując Fi głowy, i stłukłam całe szkło, jakie się tylko dało.

Byłyśmy gotowe. Miałyśmy przed sobą pięć cystern. Z prawej, zza hangaru, wyjeżdżały dwa następne dzipty. Nie odważyłam się spojrzeć w boczne lusterka. Za nami mogło się dziać dosłownie wszystko. Żałowałam, że Kevin wypadł z gry i nie może ubezpieczać tyłów.

Albo prawej strony. Albo lewej. Którejkolwiek. Musiałam podjąć następną trudną decyzję, jedną z najważniejszych w życiu. Fi kiepsko strzelała, to jasne. Z drugiej strony nie można było spudłować, strzelając do tych cystern. Stały jak wielkie tłuste kury w jednym ładnym rzędzie, jak gąski w drodze nad staw. Choć żołnierze gorączkowo próbowali odłączyć rury i odjechać cysternami, oszacowałam, że potrzebują na to jeszcze z pół minuty. Nasze karabiny mogły opróżnić magazynki w znacznie krótszym czasie. Ale szybko zbliżały się dwa dzipty. Już minęły budynki i wyjechały na słońce. Nadal chciałam przeżyć. To głupie, wiem, ale taka już jestem. Była tylko jedna możliwość.

- Zajmij się cysternami - powiedziałam do Fi.

Spojrzała na mnie przerażona.

- Och, ale Ellie...

- Po prostu zrób to - wrzasnęłam.

Po prawej rozległ się głośny huk. Ziemia zadrżała. Nagle w ciężarówkę uderzyła fala gorącego powietrza, telepiąc nią z boku na bok. Z lewej dobiegły mnie krzyki i wrzaski. Z przodu kolejni żołnierze uciekali od cystern. Już przeczuwali, co się święci. Homer i Lee zaatakowali, więc wróg już wiedział, co zamierzamy zrobić.

Siła wybuchu uświadomiła mi, że prawdopodobnie jesteśmy zdecydowanie za blisko, ale było już za późno, by cokolwiek na

to poradzić. Nie miałam też czasu, by rozejrzeć się w poszukiwaniu Homera i Lee. Liczyłam na to, że wszystko z nimi w porządku, ale nawet jeśli nie, nie byłam w stanie im pomóc. Kiedy Fi, drżąca i pobladła, uniosła karabin, przesunęłam się bardziej w prawo i zajęłam wygodną pozycję z głową tuż nad dolną krawędzią okna i z karabinem

opartym o półkę. Dżipy nadal pędziły w naszą stronę i nie miałam zbyt dużo czasu.

Gdy tylko zajęłam pozycję, rozległ się drugi huk eksplozji po stronie chłopaków. Potem trzeci, prawie natychmiast. Wyglądało na to, że skończą, zanim my zaczniemy. Wymierzyłam, ale myślami byłam przy Fi, modląc się, żeby w końcu zaczęła.

Chyba obie strzeliłyśmy w tej samej chwili. Rozległo się znajome BUM karabinów: było mniej dymu niż przy innej broni, z którą miałam do czynienia, ale odrzut okazał się mocniejszy.

Przygotowałam się na wielką eksplozję, myśląc, że podmuch mógłby przewrócić naszą ciężarówkę. Ale nic się nie stało. Jediną ciekawostką było to, że dżip jadący z przodu, trochę w lewo od drugiego, nagle stracił przednią szybę. Rozprysła się i wypadła. Chyba mnie to ucieszyło, ale nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanowić. Spojrzałam na Fi, żeby sprawdzić, co się stało.

Była zrozpaczona.

- Spudłowałam - załkała.

Przypominała dziecko, które stłukło kolano. Nie mogłam w to uwierzyć. Nikt - powtarzam: nikt - nie mógł spudłować z takiej odległości. Podobno niektórzy ludzie nie są w stanie trafić w stodołę. Fi nie potrafiłaby trafić w Empire State Building z odległości dwudziestu kroków. Nagle po prawej stronie doszło do serii eksplozji, które zdawały się nie mieć końca. Odniosłam wrażenie, że słońce zniknęło. Zrobiło się ciemno. Ciężarówka kołysała się, jakby atakował ją buldożer. Aż się obróciliśmy - pojazd ważący pięć ton!

105

- Strzelaj jeszcze raz! - krzyknęłam do Fi.

Spojrzałam do przodu - bo tak bardzo nami obróciło - by sprawdzić, gdzie są dżipy. Jeden leżał przewrócony i ze środka gramolili się

żołnierze. Drugi, ku mojemu przerażeniu, zatrzymał się zaledwie dwadzieścia pięć metrów od nas i widziałam, jak żołnierze mierzą do nas z karabinów. Tym gościom należało się uznanie. Miałam około sekundy, by ich załatwić. Musiałam zużyć trochę naboju. Głupio byłoby umierać z niewykorzystaną amunicją w magazynku. Oddałam kilka serii, ale kątem oka zobaczyłam, że żołnierze z przewróconego dzipa też klękają, szykując się do ostrzału. Wymierzyłam do nich i już miałam strzelać, gdy wreszcie Fi oddała drugi strzał. Jakby mierzyła z pięć minut. Wcale bym się nie dziwiła, bo pewnie bardzo się denerwowała, że znowu spudłuje.

Ale nie spudłowała.

Cały nasz plan opierał się na prostym fakcie: Homer i ja w naszej niedojrzałej młodości strzelaliśmy do puszek wypełnionych benzyną, które natychmiast eksplodowały, zmieniając się w kapitalne małe kule ognia. Chyba była to zasługa iskry towarzyszącej przejściu kuli przez metal. Doszliśmy do wniosku, że skoro sposób działał na małą skalę - z puszkami - to powinien zadziałać także na dużą - z cysternami.

Mieliśmy rację.

I zmiotł nas podmuch powietrza. W tej kwestii też się nie pomyliłam. Staliśmy zdecydowanie zbyt blisko.

Boże, nigdy nie zapomnę tamtego uczucia. Już wiem, przez co przechodzą ofiary tornada. Potworny hałas, całkowita utrata kontroli, wstrząsy, które mogą pogruchotać kości. Jak królik w mordzie teriera, jak skarpetka w suszarce. Próbowałam trzymać lufę skierowaną ku górze, by karabin nie wystrzelił i nie zabił Fi. Człowiek czuje się taki bezsilny. Jest bezsilny. Podobnie jak podczas wypadku terenówki w Wirrawee, tyle że tysiąc razy

gorzej. Złapałam się kierownicy, ale szybko wyszarpnęło mi ją z rąk i wylądowałam na Fi. Potrafiłam myśleć wyłącznie o karabinach. Nadal trzymałam swój, nadal miał lufę skierowaną w drugą stronę, ale co z karabinem Fi? Trzyma go? Znowu zapomniałam o biednym Kevinie z tyłu.

Myślę, że fala powietrza odrzuciła nas o ponad pięćdziesiąt metrów. O dziwo, na końcu ciężarówka znów stanęła na czterech kołach - o ile nadal je miała. Byliśmy zwrócenii bokiem do masakry, którą zgotowałyśmy, tyle że staliśmy odwrotnie niż chwilę wcześniej. Nie widziałam zarysu cysterny, w którą strzeliła Fi. Płomienie były tak jaskrawe, że nie mogłam na nie patrzeć. Za ścianą ognia mignęły mi ciemne szkielety samolotów. Całe korpusy spłonęły i pozostały jedynie czarne żebra przypominające ramę samolotu z balsy. Potem jeszcze raz dmuchnął wiatr i samoloty znowu zniknęły.

Niemal jednocześnie nastąpiły dwie kolejne eksplozje wewnątrz ognia. Chyba były to sąsiednie cysterny. A może wybuchły, kiedy my koziółkowaliśmy. Nie byłabym w stanie tego zauważyć. Może wyleciały w powietrze jakieś samoloty. Wybuchy wydawały się słabsze niż pierwsza eksplozja, ale z drugiej strony byliśmy już trochę dalej. Towarzyszyło im coś w rodzaju zadziwiających rac: ogromne ogniste pomarańczowe komety na niebie wydające dziwne gwizdząco-skwierczące dźwięki. Pewnie przy pierwszej eksplozji było tak samo, ale siedząc w koziółkującej i obracającej się ciężarówce, niczego nie zauważyłam.

Zostały jeszcze dwie cysterny, których płomienie nie dosięgły. Stały na dwóch krańcach piekła. Czując dziką radość w sercu, przystawiłam karabin do ramienia. Od dawna pałam żądzą zemsty, a teraz zamierzałam im zaserwować wielki pożar, odpłacić za wszystko, co nam zrobili. To było bardziej niż prymitywne: to było pierwotne. Byłam jaskiniowcem, który wymachuje maczugą nad głową, nacierając na szakale i hieny.

Wiedziałam, że wystarczą dwa strzały Pomyślałam, że lepiej to załatwić szybko, bo gdy uderzy w nas pierwsza fala gorącego powietrza, nie zdążę strzelić po raz drugi.

To było niewiarygodne. Kiedy cysterny wybuchały, efekt był porażający. Po każdym strzale pojawiał się ogromny błysk trwający co najmniej sekundę, a potem wystrzelała kolumna ognia wysoka na sto metrów, kolejne piekielne komety przesywały stratosferę, a po ziemi toczyła się kula ognia, jakby ktoś podpalił zeschniętą roślinę kulającą się po prerii. Dymu było niewiele, ale miał czarny kolor. Jedna część kuli ognia zetknęła się z resztą płomieni i rozległ się stłumiony huk. Wtedy ogień zaczął płonąć jeszcze mocniej i zrobiło się jeszcze goręcej, choć sekundę wcześniej powiedziałabym, że to niemożliwe.

Potem uderzyły w nas kolejne fale powietrza. Ciężarówka za-kołysała się w przód i w tył. Chyba zaczęliśmy się do tego przyzwyczajać. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie dostanę choroby morskiej. Ale tym razem nie było aż tak źle.

Złe było to, że brakowało nam powietrza. Jakbym nie mogła wciągnąć tlenu do płuc. Żar był tak wielki, nawet z tej odległości, że czułam się tak, jakbym też płonęła. Spojrzałam na Fi, próbując powiedzieć, że musimy się stąd wynosić. Nie zdołałam wydusić słowa, ale chyba zrozumiała, bo pokiwała głową.

Potem zrobiła coś naprawdę odważnego. Najpierw Homer, a teraz Fi. Nie żartuję, brak powietrza naprawdę dawał nam się we znaki. Chyba ogień musiał pochłonąć cały tlen, bo autentycznie czułam, że za chwilę się uduszę. Fi miała bardzo czerwoną twarz, ale nagle ruszyła do tyłu przez małe drzwiczki. Chwyciłam ją za rękę, żeby zapytać, co wyrabia, i wtedy zrozumiałam. Kevin! Boże, jak mogłam o nim

zapomnieć? Gdy zniknęła w ciemności, wyprostowałam się z wysiłkiem i spojrzałam w ślad za nią. Niczego nie było widać. Zawahałam się, a potem uznałam, że najrozsądniej będzie zostawić Kevina w rękach Fi i spróbować

108

«t _

uruchomić ciężarówkę. Raczej nie liczyłam, że się uda, ale i tak przekręciłam kluczyk w stacyjce. Silnik zawarczał, co zrobiło na mnie spore wrażenie, ale nie dawało najmniejszej nadziei na jazdę. Poza tym nawet gdyby ciężarówka odpaliła, opony i zawieszenie miała już pewnie zniszczone.

Zostawiłam kluczyk i znowu się wyprostowałam. Odwróciłam się, by jeszcze raz spojrzeć przez otwór w tylnej ścianie. Nadal niczego nie było widać. Nadeszła pora, by opuścić pokład. Chciałam otworzyć drzwi po stronie kierowcy, ale widocznie się zacięły, bo nie mogłam ich ruszyć. Niezdarnie wylazłam przez okno. Miałam wrażenie, że moje płuca płoną, jakbym oddychała ogniem, a nie powietrzem. Podobno palenie szkodzi. Powinnam była od razu paść trupem na raka płuc.

Kiedy moje stopy dotknęły ziemi, poczułam ogromną ulgę. Podbiegłam do tylnej klapy. Gwałtownie łapałam powietrze, lecz jednocześnie starałam się tego nie robić, bo gdzieś czytałam, że w stanie paniki zużywa się więcej tlenu. A niewiele go pozostało. Podeszłam do drzwi i szarpnęłam za uchwyt. Nie chciały się otworzyć. Ciężarówka miała okropnie poobijany i pognieciony dach. Teraz naprawdę zaczynałam łkać, myśląc, że nigdy nie zdołam stamtąd wydostać Fi i Kevina.

No dobra, przecież nadal mogli przejść przez otwór do kabiny, tyle że z przodu było niebezpiecznie mało tlenu i panowało straszne gorąco. Promieniujące gorąco - to wielki zabójca w pożarach lasów. Poza tym

nie wiedziałam, czy uda się ruszyć Kevi-■ na. Jeśli nadal był w rozsypce, mógł nie palić się do gimnastyki, której wymagało przeciskanie się przez mały otwór.

Huk ognia brzmiał tak, jakby płomienie były tuż nad nami. Kevin i Fi musieli się czuć jak w mikrofalówce. Złamałam kilka paznokci, szarpiąc za te drzwi. Ciężarówka zadygotała i zadrżała, gdy kolejna ogromna eksplozja po lewej stronie zatrzęsała ziemią. Nawet powietrze zdawało się dygotać. Drgało jak w bardzo

109

upalny dzień, kiedy ci się wydaje, że między tobą a tym, na co patrzysz, stoi szyba, która zniekształca obraz. Wokół słyszałam trzaski i huki. Nie mogłam zgadnąć, co to takiego, ale po chwili zrozumiałam: po ostatniej eksplozji z nieba spadał deszcz rozgrzanych do czerwoności kawałków poszarpanego metalu.

Rozpaczliwie próbowałam myśleć. Jak mam otworzyć te drzwi? Potrzebowałam jakiegoś narzędzia, ale skąd miałam je wziąć? Nagle usłyszałam łomotanie po drugiej stronie drzwi. Fi albo Kevin - albo obydwójce - walili pięściami, próbując się wydostać. Wyglądało jednak na to, że mają tylko pięści. Bo na pewno nie brzmiało to jak młot dwuręczny, który bardziej by im się przydał. Słyszając to, wpadłam w jeszcze większą rozpacz. Oni tam umierali. W środku mieli pewnie znacznie mniej tlenu niż ja, a mnie ledwie go starczało. Rzuciłam się na drzwi, próbując wyprostować pogiętą blachę. Nie udało mi się.

Wtedy usłyszałam głos. Dobiegał z nad mojej głowy. Serio, przez chwilę myślałam, że to głos Boga. A tak naprawdę to był głos Homera. Nie chcę, by kiedykolwiek się dowiedział, że pomyliłam go z Bogiem. Już i tak ma wystarczająco wielkie ego. Jego głos rozległ się nad moją głową, bo kuciałam, próbując otworzyć drzwi od dołu.

- Odsuń się - powiedział. - Zrób miejsce dla mężczyzny.

Typowe. Mimo to się odsunęłam. Nie dlatego, że jest mężczyzną, ale dlatego, że miał coś, czego mi brakowało. Łom. Jeden z tych podwiniętych na obu końcach, mniej więcej metrowej długości, ciężkich i groźnych. Oraz bardzo skutecznych. Wystarczyły trzy szybkie ruchy - uderzył w ramę drzwi w trzech miejscach - i trzy szarpnięcia z całej siły. Za trzecim razem drzwi się otworzyły.

W środku stali Fi i Kevin. Wyglądali dość dziwnie i wydawali się dość wystraszeni. Kevin trząsał się jak staruszek próbujący chodzić po raz pierwszy od sześciu miesięcy. Słaniając się na

no

nogach, zeszli po małym stopniu prosto w nasze ramiona. Nie było jednak czasu na dobroczynność. Gdy tylko ich stopy stanęły na twardym gruncie, musieli sami o siebie zadbać. Chwyciłam plecak - innych nie widziałam - i zawróciłam. Za nami stała ciężarówka chłopaków, czekając na jałowym biegu. Między nią a nami stał Lee, trzymając karabin. Nie patrzył na nas. Rozglądał się na wszystkie strony, jego głowa nieustannie obracała się w prawo i w lewo, czekając na nieunikniony kontratak. Jeden facet z jednym karabinem gotowy na chmarę żołnierzy, którzy za chwilę nadbiegną.

Popędziliśmy w stronę ciężarówki. Obejrzałam się tylko raz i zobaczyłam, że Kevin radzi sobie całkiem dobrze. W zasadzie wyprzedził Fi o kilka metrów, więc bez względu na to, jak ciężkie było jego załamanie nerwowe, nie spowalniało go, gdy chciał uciec przed niebezpieczeństwem.

Weszłam do kabiny ciężarówki. Normalnie w takiej sytuacji jak ta usiadłabym za kierownicą. Ale Homer oswoił się już z tą ciężarówką. Poznał sprzęgło. Gdyby zgasł mi silnik, wszyscy moglibyśmy zginąć przez ten jeden głupi błąd.

- Macie karabiny? - zawołał za mną Homer.
- Nie. O nie. Zostawiliśmy je w furgonetce.

Odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć. Trochę pożałowałam, że to zrobiłam. Widok był przerażający. Siegająca nieba ściana ognia ciągnęła się w prawo i w lewo, jak okiem sięgnąć. Była całkiem czerwona - ogromna płonąca kurtyna. Gdzieś musiała się kończyć, ale z tego, co widziałam, płonęło wszystko. Samoloty, cysterny, hangary, szopy, baraki - wszystko musiało się stać częścią tego ognia, wszystko miało spłonąć. Było przeraźliwie gorąco. Czułam się wyschnięta jak suszona wołowina, którą przywieźliśmy w prowiancie z Nowej Zelandii. Na szczęście miałam koszulę z długim rękawem. Wiedziałam, że poparzyłam sobie twarz. Moje płuca też wydawały się poparzone, ale być może był to jedynie skutek braku tlenu.

iii

Powinniśmy byli się do tego przygotować jak do pożaru lasu, ale nie przyszło nam do głowy, że będzie aż tak gorąco.

Zdałam sobie sprawę, że nasze sylwetki na tle ognia to doskonały cel. Za ciężarówką widziałam jedynie połacie trawy i asfaltowe pasy startowe lotniska. Po lewej, gdzie stały budynki administracyjne, mignęli mi chyba biegnący ludzie, ale wokół było tyle dymu i fruwających kawałków, że mogłam się pomylić. Wydawało mi się, że słyszę wycie syren, ale huk ognia sprawiał, że niczego nie mogłam być pewna. Nasz atak rozegrał się tak szybko, że nie daliśmy żołnierzom czasu na zareagowanie. Pierwszą myślą, która przychodziła do głowy komuś, kto znalazł się w pobliżu eksplozji, było chyba ratowanie własnej skóry. Dopiero potem się przegrupują, zorganizują.

Homer wskoczył na miejsce kierowcy. Chwycił karabin i podał mi go. Potem znowu wskoczył, żeby pomóc wejść Fi i Kevinowi. W tym czasie ja pobiegłam do drzwi z drugiej strony. Po drodze minęłam Lee. Nigdy nie zapomnę, jak wyglądał. Nie do wiary. Dosłownie jak Rambo. Stał pewnie, w rozkroku, trzymając karabin, miał kamienną

twarz i poruszał jedynie głową, lustrując wzrokiem lotnisko. Pomyślałam wtedy, że w każdej chwili mogłabym mu powierzyć swoje życie, a on nigdy by mnie nie zawiódł. Dotarłam do drzwi pasażera i wskoczyłam do kabiny. Po drodze zauważyłam coś dziwnego. Nagle na wywrotce ukazał się rząd dziurek. Zgrabny rząddek, jakby ktoś go starannie wymierzył. Otwór kierunkowy. Dopiero po chwili zrozumiałam, co to jest. Wtedy krzyknęłam do Homera, który właśnie wskoczył na miejsce kierowcy:

- Strzelają do nas!
- Dość długo się namyślali - powiedział spokojnie.

Wrzucił bieg i stary grat szarpnął do przodu.

- A co z Lee? - przeraziłam się.

Homer wzruszył ramionami.

- Może pójść piechotą.

Tylko Homer potrafił żartować w takiej chwili. Spojrzałam w boczne lusterko i oczywiście zobaczyłam Lee na pace, z karabinem uniesionym do strzału. Nie czekałam, żeby sprawdzić, czy strzeli. Zająłam się tym samym: próbą uratowania nam skóry. Też uniosłam karabin Homera i lustrowałam lotnisko, szukając kłopotów, które na pewno się tam czaiły.

Homer wdepnął gaz. To było szaleństwo. Jeśli jeszcze mnie nie wytrzymało, to teraz z pewnością miałam szansę nadrobić braki. W jednej sekundzie rzuciło mnie na Fi, a w następnej na okno. Ale Homer robił, co trzeba: jechał zygzakiem jak wariat. Opony ciężarówki przechodziły najtrudniejszy test. Bałam się, że w każdej chwili mogą pęknąć. Zarzuciło nami mocno w jedną stronę, a potem nagle w drugą - jeszcze mocniej.

Wyboje oczywiście bardzo utrudniały sprawę. Pędziliśmy z maksymalną prędkością po trawie. Potem znowu gwałtownie nami zarzuciło, tym razem w lewo, i ku mojemu zdumieniu nagle znaleźliśmy się na pięknej gładkiej nawierzchni.

Dopiero po chwili rozumiałam, co się stało. I wszystko było jasne. Pas startowy. Niewiarygodne. Nie wiedziałam, czy to dobry pomysł. Oznaczał bardzo szybką ucieczkę od gorących płomieni i być może od kul, lecz z drugiej strony, jadąc po linii prostej, stanowiliśmy łatwiejszy cel.

Wtedy Fi chwyciła mnie za ramię, zatapiając w nim palce jak szpony. Pokazała coś, ale wcale nie musiała, bo ja też to zobaczyłam. Zrobiło mi się słabo. Miałam wrażenie, że mój żołądek się zapadł.

Odrzutowiec podchodził do lądowania.

Był jakieś dwadzieścia metrów nad końcem pasa. Opuścił koła i równocześnie otworzył klapy, jak kaczka rozpościerająca skrzydła podczas lądowania. Była to piękna, symetryczna maszyna, wspaniale zrównowazona, o idealnym kształcie. Mimo

113

to miała w sobie coś nienawistnego: przypominała raczej osę niż ptaka. Zdziwiłam się, że ląduje na lotnisku, gdzie prawie wszystkie budynki stoją w piekielnym ogniu, ale być może skończyło jej się paliwo i nie miała innego wyjścia. W każdym razie lądowała - co do tego nie było żadnych wątpliwości.

A Homer jechał dalej.

Na początku pomyślałam, że nie zauważył samolotu. Ale to było mało prawdopodobne, bo wszyscy do niego wrzeszczeliśmy. Wystarczyło spojrzeć na jego twarz, by wiedzieć, że go zauważył. Był blady, pocił się i wbijał wzrok w samolot jak zahipnotyzowany. „Jedzie na czołówkę” - pomyślałam. Zupełnie jak podczas tych okropnych gier w

cykora w amerykańskich filmach, kiedy samochody pędzą prosto na siebie. Nie znoszę oglądać tego w telewizji, a tutaj, na pasie startowym, w prawdziwym życiu, było nieskończenie gorzej.

Wzbijając kołami mały kłęb dymu, odrzutowiec wylądował. Wpadł w lekki poślizg, ale była to jedyna oznaka wahania z jego strony. Nagle z piskiem pędził po asfalcie, prosto na nas. Jakby zaczął żyć własnym życiem. I nie wiedziałam, czy zmieni zdanie wystarczająco szybko, by nas uchronić od roztrzaskania się na kawałki. Z jaką prędkością będzie gnał, kiedy w nas uderzy? Dwustu kilometrów? Trzystu?

Jechaliśmy dalej. Sami pędziliśmy pewnie prawie stową, wyciskając ze starego diesla, ile się da. Złapałam za klamkę i zerknęłam przez okno. Nie podobała mi się wizja skoku z ciężarówki rozpędzonej do stu kilometrów na godzinę i wylądowania na asfalcie. Ale nie spieszyło mi się do czołowego zderzenia z rozpędzonym odrzutowcem. Czy zdołam skoczyć, gdy nadejdzie krytyczna chwila? Nie wiedziałam, czy mam tyle odwagi.

Fi krzyczała na Homera. Krzyczała: „Zatrzymaj się! Zatrzymaj się!”, co jednak nie było dobrą radą, bo gdybyśmy się zatrzymali,

114

samolot i tak by nas staranował. Kevin chyba zemdlał. Miał zamknięte oczy i lśniąca twarz pokrytą kropelkami potu. Oparł się

o ramię Fi, jakby stracił kontrolę nad ciałem. Gdyby jej tam nie było, osunąłby się na podłogę.

A Homer, stary dobry Homer, najwidoczniej postanowił nas wszystkich zabić. Miał spojrzenie człowieka na prochach. Ścisnął kierownicę, jakby chciał z niej wycisnąć sok. Odchylił się jak najbardziej do tyłu i położył na szali nasze życie. Ciężarówka nie skręciła nawet o centymetr, ani w prawo, ani w lewo.

Samolot zbliżał się bardzo szybko. W jednej chwili był w powietrzu nad lotniskiem, a w następnej pędził prosto na nas. Robił się coraz większy. Przestał wyglądać pięknie i symetrycznie

1 wydawał się już tylko przerażający. Szyby kokpitu przypominały oczy owada. Zdawały się gapić akurat na mnie. Trudno było sobie wyobrazić, że za nimi siedzą ludzie. Wiem, że hamowali, bo spod kół wzbijał się dym. Zastanawiałam się, czy zauważyli, że przy naszych kołach nie ma dymu. Znowu złapałam za klamkę i naprawdę zaczęłam otwierać drzwi, żeby się przygotować. W myślach błagałam Homera, żeby przekręcił kierownicę, żeby zjechał z pasa. Fi nie błagała go w myślach: krzyczała na całe gardło. Ja byłam na to zbyt dumna. Nie zamierzałam krzyczeć, nawet gdybym miała przez to zginąć. Zastanawiałam się, czy Lee nie wyskoczył już przypadkiem z wywrotki. Wcale bym się nie zdziwiła. Odrzutowiec wydawał się teraz o wiele większy od nas. Z daleka był dość mały. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że Homer może naprawdę chcieć się z nim zderzyć. Może to była misja samobójcza. Może doszedł do wniosku, że i tak nie mamy szansy przetrwać, a nasze życie to uczciwa cena za tak drogi i śmiercionośny samolot.

Dzieląca nas odległość zmniejszyła się prawie do zera. Nie było ratunku. Zostaliśmy zmuszeni do odkrycia kart. Za chwilę mieliśmy się roztrzaskać.

5

I wtedy samolot trochę się wzniósł. Fi, która przechyliła się w stronę Homera, próbując wyrwać mu kierownicę, głośno krzyknęła. Zaczęłam się modlić. Przypuszczam, że dobry żołnierz nie powinien się modlić o ocalenie wrogiego odrzutowca, ale właśnie o to się modliłam. Pragnęłam tylko tego, by oderwał się od ziemi i wzbił w powietrze. Ale nie liczyłam, że się uda. Odbili zbyt późno.

Wpatrywałam się w samolot w całkowitym skupieniu. Zobaczyłam, jak dziób drży. Zaczął się podnosić. Zobaczyłam, jak unosi się jeszcze bardziej, i nawet dostrzegłam za nim słońce.

Ale było za późno. Wiedziałam, że jest za późno. Mocno zacisnęłam oczy, napięłam twarz i całe ciało, czekając na uderzenie.

Myślę, że ominął nas o centymetr. Piloci musieli wycisnąć z maszyny całą moc, jaką byli w stanie znaleźć. Nie wiem, może te samoloty mają jakieś turbodoładowanie albo coś w tym rodzaju. W każdym razie to cacko dało radę. Gdy z piskiem przelatywało nad naszymi głowami, hałas był ogłuszający - brzmiał jak tysiąc świń zarzynanych dokładnie w tej samej chwili. Sprawiał potworny ból moim uszom. Na dodatek wpadliśmy w cień aerodynamiczny. Niewiarygodne! Te samoloty mają tak wielką moc, że prawie pożałowałam niedawnej rozważki. Były wspaniale wykonane, idealnie zbudowane. W pewnym sensie było coś złego w tym, że zgraja nastoletnich chuliganów przyszła i zniszczyła dziesiątki takich maszyn równie łatwo, jak niszczy się gniazdo os.

Cień aerodynamiczny mógł oznaczać nasz koniec. Pchnięci nim, sunęliśmy po pasie startowym z szaleńczo pracującym silnikiem, jakby z tyłu dmuchnął w nas olbrzym. Lżejszy pojazd już by koziółkował, to pewne. Na szczęście ciężarówka do wywozu śmieci była tak solidna, że utrzymała się na czterech kołach. Nawet nie zboczyła z pasa.

I nagle znaleźliśmy się sami pośrodku lotniska, mniej więcej kilometr od najbliższego ogrodzenia, mniej więcej kilometr od płonących budynków i samolotów, mniej więcej półtora kilometra od nadal nietkniętej wieży kontrolnej. Poczułam się bardzo samotna. Byliśmy widocznymi jak na dłoni. I nie trzeba było być geniuszem, by wiedzieć, że nasze kłopoty dopiero się zaczynają.

Kiedy wyjechaliśmy z cienia aerodynamicznego i przestało nami rzucać, Homer skreślił. Wyglądało na to, że wracamy na wyboje. I rzeczywiście, po chwili zjechaliśmy z asfaltu i pędząc z maksymalną prędkością, podskakiwaliśmy na trawie.

Ta przejażdżka też wymagała mocnych nerwów. Teren był bardzo nierówny, pełen króliczych nor i dołów, których nie było widać w wysokiej trawie. Nikt oprócz Homera nie miał pasów, ale nawet on ich nie zapiął. Może chciał pokazać, że jedziemy na tym samym wózku, choć w ciągu kilku ostatnich minut poważnie zważyłam w jego dobre intencje. Chwytałyśmy się wszystkiego, czego było można, i chyba obie z Fi starałyśmy się nie krzyczeć na Homera. Nie chciałyśmy go denerwować. Musiał się skupić. Niełatwo było kierować w takich warunkach.

Kevin zsunął się na podłogę i leżał skulony u moich stóp. Nie wiem, czy był przytomny, i niewiele mnie to obchodziło, ale prawdopodobnie jechało mu się wygodniej niż komukolwiek z nas. Nie trzęsło nim tak bardzo jak mną. Ale było mi żal Lee - o ile nadal siedział z tyłu. Nie po raz pierwszy w ciągu tej wojny przydarzyła mu się bolesna i nietypowa przejażdżka. Kiedyś przewiozłam go w łysze spychacza w Wirrawee, po tym jak został ranny w nogę. Wtedy też było ostro.

118

Lee dowiedział, że nadal z nami jest. Rozległo się nagłe uderzenie w tylną szybę, tak głośne i tak bliskie mojemu ucha, jakby ktoś roztrzaskał okno. Szybko się odwróciłam. Najwidoczniej Lee rzucał czymś w szybę, żeby zwrócić naszą uwagę. Teraz wychylał się zza krawędzi wywrotki i żywo gestykulował, pokazując na pas startowy. Przez chwilę myślałam, że próbuje nakłonić Homera do powrotu na asfalt. Ale to było bez sensu. Lee dość dobrze znał Homera i miał do niego zaufanie. Musiało chodzić

0 coś innego. O coś, czego nie zauważyliśmy. Dlatego spojrzałam w stronę, w którą pokazywał.

I zobaczyłam, że pogoń rozpoczęła się na poważnie. Po pasie startowym pędziły trzy dżipy. Lada chwila miały się z nami zrównać, a potem mogły skrócić i gonić nas po trawie. Wiedziałam, że zniosą wyboje lepiej niż nasza ciężarówka do wywozu śmieci. Że dopadną nas w okamgnieniu.

Chciałam im jakoś przeszkodzić. Musiałam. Problem polegał na tym, że widziałam je tylko wtedy, gdy patrzyłam przez okno po stronie Homera. Nie mogłam oddać strzału w tamtym kierunku. Zauważyłam je tylko dlatego, że jechaliśmy pod małym kątem względem pasa startowego. Lee też nie mógł ich powstrzymać, dysponując tylko jednym karabinem. Jak miałam cokolwiek zdziałać, siedząc po niewłaściwej stronie?

Z tyłu rozległ się strzał. Nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie amunicji, ale mimo to Lee udało się jakoś wymierzyć. Nie widziałam, czy cokolwiek zniszczył. Dżipy zaczynały zjeżdżać z pasa

1 zbliżać się do nas. Przypominały psy osaczające zbuntowanego wołu.

Rozpaczliwe chwile, rozpaczliwe działania. Nadal czułam, że umrzemy, więc nie było sensu tchórzyc. Równie dobrze mogliśmy odejść w wielkim stylu. A okno obok mnie było już otwarte.

Zostałam kaskaderką. Nie było to tak widowiskowe jak spacer po dachu rozpędzonego pociągu czy wyjście na skrzydło samolotu, ale jak na mnie całkiem niezłe.

119

- Kiedy stąd wyjdę, podaj mi karabin - powiedziałam do Fi i zaczęłam się przeciskać przez okno.

Ta część była niezbyt trudna. Problemy zaczęły się wtedy, gdy wysunęłam na zewnątrz swój środek ciężkości, czyli tyłek. Nagle poczułam się bardzo zagrożona, pozbawiona wszelkiej ochrony — siedziałam na ramie okna, z twarzą wystającą nad dachem kabiny - więc przesunęłam się w stronę szczeliny między kabiną a wywrotką. Szczelina była dość szeroka. Zdałam sobie sprawę, że muszę odegrać Tarzana i uwierzyć, że uda mi się złapać boku ciężarówka. Fi z niepokojem patrzyła przez okno i chyba powiedziała coś do Homera, bo gdy tylko wstrzymałam oddech i przerzuciłam nogi na drugą stronę, ciężarówka zwolniła.

„Zamorduję go - pomyślałam. - Jeśli to przeżyjemy, zamorduję go”. Zupełnie wybił mnie z rytmu. Złapałam metalową krawędź samymi paznokciami prawej dłoni. Paznokciami i opuszkami palców. Ziemia przesuwała się w zatrważającym tempie, więc upadek oznaczałby śmierć. Wpadłabym między koła, a to nie wyglądałoby zbyt ładnie. Śmierć byłaby szybka, ale nie wyglądałaby ładnie. Nie odważyłam się spojrzeć w dół. Wiedziałam, że podejmę tylko jedną próbę. Starłam się zebrać całą odwagę, całą siłę, całą energię. Nigdy nie uprawiałam sztuk walki, ale wiem, że niektórzy kolesie kruszą cegły, skupiając całą siłę w dłoni. Chciałam skupić całą siłę w tym jednym ruchu. Wiedziałam, że jeśli będę za długo zwlekała, energia mnie opuści, więc jakimś cudem pomimo przerażenia musiałam się zmusić do działania.

Jednym z najtrudniejszych zadań było powstrzymanie się od zamknięcia oczu. Byłam tak przerażona, że chciałam je zamknąć. Na taki luksus nie mogłam sobie jednak pozwolić. Z otwartymi, wręcz wytrzeszczonymi oczami wykonałam wielki skok.

Prawie mi się udało. Wysokość okazała się mniejszym problemem, niż oczekiwałam, i chyba odprężyłam się ułamek sekundy za wcześnie, myśląc, że bez trudu dopnę swego. Ale nie

dostałam się aż na samą górę. I najtrudniej było znaleźć dobry punkt zaczepienia. Palce od razu zaczęły mi się ześlizgiwać. Czułam, jak mięśnie prawej ręki napinają się i puchną pod ciężarem całego ciała. Jasne, w tamtym okresie nie ważyłam zbyt dużo, ale i tak za dużo, bym zdołała się długo utrzymać na koniuszkach palców.

Moje ręce działały jakby osobno, jak u robota. Znowu miałam to wrażenie z Terminatora. Prawa ręka dostała rozkaz trzymania, więc trzymała, lecz równocześnie zaczęła się zsuwać, milimetr po milimetrze. Druga ręka zaczęła przeszukiwać powierzchnię wywrotki, powoli ześlizgując się w dół i próbując wyczuć dotykiem, czy jest tam coś, czego można by się złapać. To było dziwne. Wydawało mi się, że wszystko trwa długo, jakbym miała mnóstwo czasu na takie wiszenie i macanie. Czułam się całkowicie wyluzowana, całkowicie spokojna i zdystansowana - nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłam.

Trwało to jednak zaledwie kilka sekund. Nagle wróciłam do rzeczywistości. Głośny warkot silnika ciężarówki rozlegał się tuż przy mnie, ogromne koła dudniły na trawiastej nawierzchni, na lotnisku doszło do kolejnej potężnej eksplozji - wszystkie te dźwięki znowu zahuczały mi w uszach. Znowu poczułam uporczywy żar silnika, który pracował ponad siły. Wpadliśmy na sporą górkę i omal nie spadłam: Homer już nie zwalniał. Pędziliśmy z prędkością, którą normalnie uznałabym za niemożliwą. Chyba zataczaliśmy wielkie koło, by dostać się w pobliże głównej bramy. Prawdopodobnie Homer uznał, że może nam się udać wyjechać, wykorzystując zamieszanie wywołane przez eksplozje.

Koniuszki palców mojej prawej dłoni doznawały bólu przekraczającego wszelkie wyobrażenie, popadały w jakąś skrajność. Już prawie ich nie czułam. Wiedziałam, że nadal kurczowo się trzymają, ale wiedziałam też, że nie są w stanie trzymać się tak dłużej.

A moja lewa dłoń nadal szukała. I w końcu na coś natrafiła. Nie było to nic wielkiego. Bóg mi świadkiem, że nie było to nic wielkiego. Chyba coś w rodzaju metalowego bolca. Byłam pewna tylko tego, że to coś z metalu o nieregularnym kształcie. Wyczułam twardą, solidną część, a potem coś przypominającego drut.

Nie było to coś, czemu spokojnie można by powierzyć życie. Ale niczego innego nie miałam. Nie było wystarczająco duże, bym mogła się tego złapać albo zacisnąć na tym dłoń. Pozostawało mi jedynie wykorzystać to w charakterze trampoliny. Czegoś, od czego można się odepchnąć, by wykonać ostatni skok na wywrotkę, ostatni skok ku życiu. Ten bolec musiał mi wystarczyć, bo nie zanosiło się na to, że dostanę inną szansę.

Koniuszki palców mojej lewej dłoni złapały mały kawałek metalu. Na nic innego nie starczyło miejsca. Gdy opuszki prawej dłoni w końcu się poddały - nagle, z przerażającym i nieodwracalnym ślizgiem - złapałam bolec jeszcze mocniej i zaryzykowałam. Tym razem byłam wyżej niż poprzednio, ale odpychałam się od czegoś tak drobnego, że nie liczyłam na wielki skok.

Czując dziką, bezbrzeżną radość, poczułam, jak moja ręka trafia na górę. To zabawne, że w takich chwilach jak ta skupiamy się na bieżącej sekundzie. Lada chwila mogliśmy zostać zastrzeleni albo wylecieć w powietrze, ale ja byłam szczęśliwa, bo myślałam, że ocalałam życie. Wygląda na to, że nie można przetrwać bez umiejętności koncentracji. W tej ostatniej minucie byłam skoncentrowana jak cholera, ale moje problemy wcale się nie skończyły.

Mocno trzymając się lewą ręką - i ponieważ tym razem byłam już wyżej - dość łatwo podniosłam prawą. Potem wygięłam plecy w łuk i postawiłam stopy na boku ciężarówki. Wisiałam tak przez chwilę, a potem opuściłam nogi i wykonałam następny wielki skok, lądując na

bocznej części wywrotki. Wdrapałam się jeszcze wyżej i zawisłam na krawędzi. Twardy metal wpijał mi

122

się w brzuch. Sapałam i dyszałam, ale przelazłam na drugą stronę, robiąc coś w rodzaju powolnego przewrotu w przód, aż w końcu wylądowałam na nogach.

Jedna sprawa była tak pilna, że zajęłam się nią w pierwszej kolejności. Od razu się odwróciłam i wychyliłam za krawędź wywrotki, sięgając w stronę kabiny. Fi mnie nie zawiodła. Wiedziałam, że nie zawiedzie. Była już do pasa wychylona z kabiny i wyciągała do mnie karabin. Złapała go za kolbę, więc ja chwyciłam za koniec lufy. Fi doszła do wniosku, że jestem od niej silniejsza: gdyby spróbowała złapać karabin za lufę, jego ciężar okazałby się pewnie za wielki i mogłaby go upuścić. Byłaby to katastrofa, na którą nie mogłyśmy sobie pozwolić.

Choć jestem dość silna, ciężar karabinu prawie mnie przerósł. Wykorzystałam każdą odrobinę siły, jaka mi pozostała. Poczułam, jak mięśnie drżą mi z napięcia. Karabin kołysał się jak metronom, bo Fi już go wypuściła, a ja próbowałam znaleźć energię, by wciągnąć go na górę. Podejrzewam, że przypominało to wyciąganie z wody wielkiej ryby. Ale stopniowo, kawałek po kawałku, dźwignęłam go na górę. Miałam tylko nadzieję, że Fi nie zapomniała go zabezpieczyć. Od tych wszystkich wibracji mógł z łatwością wypalić, rozbryzgując moje wnętrze po całym lotnisku.

Dopiero gdy miałam broń w rękach, mogłam się rozejrzeć.

I zobaczyłam coś naprawdę dziwnego. Oczywiście w wywrotce był Lee. Zauważyłam, że nawet nie zdawał sobie sprawy z mojej walki o to, by do niego dołączyć. Był do mnie odwrócony plecami i wyglądał znad krawędzi wywrotki po prawej stronie. Oparł karabin o stalowy brzeg. Nie wiem, ile strzałów oddał. Słyszałam tylko jeden. Złapałam

karabin w odpowiedni sposób i ruszyłam w stronę Lee. Nie było łatwo iść po gwałtownie podskakującej wywrotce, ale wolałam to niż wspinaczkę, którą musiałam zaliczyć, by się tam dostać.

123

Dotknęłam ramienia Lee. Omal nie spadł z wrażenia. Ale powiedział niewiele:

- Już myślałem, że nigdy nie dołączysz.

Nie wiem, dlaczego chłopaki uwielbiają odgrywać role takich twardzieli.

Zerknęłam nad krawędzią. Dżipy rozjechały się promieniście i goniły nas po lotnisku.

- Wywrotka za bardzo podskakuje - krzyknął Lee. Na zewnątrz trudna go było usłyszeć. - Nie mogę dobrze wymierzyć.

Miał rację, ale oznaczało to również, że wróg nie może wymierzyć do nas. Od czasu do czasu widziałam błyski, więc z pewnością do nas strzelano. Usłyszałam parę głośnych brzdęków, prawdopodobnie, gdy kule uderzyły w wywrotkę, ale najwyraźniej nie ponieśliśmy żadnych strat. Wybraliśmy właściwą ciężarówkę. Gdybyśmy jechali starą furgonetką do przewozu mebli, byłibyśmy bardziej podziurawieni niż durszlak.

Znowu się schowałam. Na razie pudłowali, ale komuś przecież mogło się poszczęścić. Mogli nie trafić tysiąc razy, ale wystarczyłaby jedna kula. Nie chciałam, by moje ostatnie słowa brzmiały: „Przecież nie trafią do nas z takiej odległości...”.

Sprawdziłam zamek i odbezpieczyłam karabin. Zaczęło nami naprawdę trząść. Najwidoczniej Homer doszedł do wniosku, że skoro jestem już w wywrotce, może rozwinąć skrzydła. Pędziliśmy

zygzakiem, kreśląc szalone wzory. Dawał oponom niezły wycisk. Miałam nadzieję, że sobie poradzą. Nie słyszałam już jednak kolejnych brzdęków kul o metal. Potem nagle wyszliśmy na prostą.

Lee klepnął mnie w ramię.

- Nie wychylaj się teraz - krzyknął. - Jedzie na rozwałkę.

Poczułam ukłucie strachu. W wypadku Homera jechanie na rozwałkę mogło oznaczać dosłownie wszystko. Zdenerwowana zignorowałam radę Lee i wystawiłam głowę.

124

Od zachodniego ogrodzenia nadal dzielił nas jakiś kilometr, ale plan Homera wydawał się oczywisty. Ciężarówka pędziła z poczuciem misji. Piekielnie szybko gnaliśmy ku ogrodzeniu. Nie mogłam w to uwierzyć. Ogrodzenie wyglądało bardzo solidnie: wysoka bariera z dużymi stalowymi słupami i napiętym drutem. Ale wiedziałam, że Homer postępuje słusznie: to była nasza jedyna szansa. I na szczęście jechaliśmy wielką ciężarówką. Jeśli istniał pojazd zdolny przebić się na drugą stronę, to właśnie ona.

Lee spochmurniał. Byliśmy już strasznie poobijani, tak wiele razy otarliśmy się o śmierć. Nie wiedziałam, ile jeszcze zdołamy znieść, ile jeszcze pozostało nam szczęścia. Znowu rozległy się brzdęki, które - co gorsza - były coraz głośniejsze. Może dlatego, że przykucnęłam, a może dlatego, że pościg nas doganiał. Mimo że Homer wcisnął gaz do dechy, dziupy były pewnie coraz bliżej. Zdałam sobie sprawę, że w tylnej części wywrotki zaczynają się pojawiać dziury. Najpierw małe, potem większe. Metal otwierał się pod gradem kul jak rozkwitający kwiat. Jedna dziura powstała na moich oczach. Widocznie lepiej było nie patrzeć. Ścisnęłam karabin i nerwowo się podniosłam, by wyjrzeć znad tylnej krawędzi wywrotki.

Dżip jadący pośrodku był jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt metrów za nami. Dwa pozostałe, jadące po jego prawej i lewej stronie, znajdowały się trochę dalej. Ale zaczynały się do siebie zbliżać. Próbowałam wymyślić jakiś sposób, by im zaszkodzić bez marnowania amunicji. Zauważyłam, że odpowiedź turla się u naszych stóp. Beczki z paliwem! Mogliśmy powtórzyć nasz niedawny wyczyn na mniejszą skalę.

Najbliżej mnie znajdował się kanister, który leżał na boku i ze względu na swój kształt nie turlał się w wywrotce. Nie patrząc na Lee, podałam mu swój karabin. Potem podniosłam kanister, który wydawał się pełny mniej więcej w połowie, wyrzuciłam go nad tylną krawędź wywrotki i znowu chwyciłam karabin.

25

Porażka. Kanister rozprysł się w chwili zderzenia z ziemią i jego zawartość rozlała się na wszystkie strony. O dziwo nie wybuchł. Może w środku była woda, a nie benzyna. Nie stałam jednak z założonymi rękami i nie zastanawiałam się nad tym. Znowu oddałam Lee swój karabin, chwyciłam jedną z beczek, która potoczyła się w moją stronę, i jednym ruchem poderwałam ją do góry.

Kanister na coś się jednak przydał. Kierowca środkowego dżipa najwidoczniej wpadł w panikę, widząc, jak coś wylatuje z wywrotki. Może odgadł moje zamiary. Wcale bym się nie dziwiła. W każdym razie na chwilę wcisnął hamulec, co wyraźnie go spowolniło i dało nam trochę więcej czasu.

Beczka nie pękła. Odbiła się i poszybowała zaskakująco wysoko, a potem odbiła się jeszcze kilka razy. Lee zdążył już oddać dwa strzały w jej stronę, ale spudłował. Ja strzeliłam raz i trafiłam w chwili, gdy beczkę dzieliło od dżipa zaledwie dziesięć metrów.

Mam z tego powodu ogromną satysfakcję. Nie jestem najlepszym strzelcem na świecie - o nie. Ale ten strzał był całkiem ładny. I

oddalam go w doskonałym momencie. Kierowca dzipa najwidoczniej odzyskał pewność siebie, bo pędził z pełną prędkością. Beczka wybuchła jak bomba: wszędzie poszybowało płonące paliwo i kawałki metalu. Kierowca nie miał szans ich ominąć. Oczywiście próbował. Kto by nie próbował? Gwałtownie odbił w bok, skręcając jak najmocniej w prawo. Tchórz, pomyślałam, niby przypadkiem zapominając o dziwnej chwili własnego tchórzostwa. Bo kręcąc kierownicą, by uciec jak najdalej od eksplozji, kierowca dzipa narażał pasażera na ogromne niebezpieczeństwo. Też narażałam ludzi na ogromne niebezpieczeństwo, kiedy puszczały mi nerwy, ale nie tak rozmyślnie jak on.

W każdym razie doprowadził do tego, że dżip zaczął koziółkować. I to jak! Przeturlał się chyba ze trzy razy i wylądował na dachu, odwrócony do nas tyłem. Jego koła obracały się jak szalone.

126

Nie było czasu dłużej się temu przyglądać. Nagle Lee wrzasnął:

- Chowaj się!

I zdałam sobie sprawę, że za chwilę uderzymy w ogrodzenie.

Obydwoje padliśmy na ziemię. Rozległ się huk, trzask i kilka brzdęków, które przypominały uderzenie kuli o metal, ale w rzeczywistości towarzyszyły pękaniu przewodów pod wysokim napięciem. Okropny metalowy pisk. Jeden kabel strzelił nam nad głową jak bat. Gdybym nadal stała, uciałby mi głowę. Nie żartuję. Ale choć nie odważyłam się wstać, wiedziałam, że przebiliśmy się przez ogrodzenie.

Niewiarygodne: naprawdę udało nam się wydostać z lotniska. I najwyraźniej wszyscy przeżyliśmy. To wcale nie znaczy, że wyzbyliśmy się panicznego strachu przed śmiercią, która przecież nadal mogła nas spotkać w każdej chwili - co zresztą było bardzo

prawdopodobne. Najbardziej niesamowite było to, że spowodowaliśmy ogromne zniszczenia, zadając wrogowi ciosy, w które ledwie mogliśmy uwierzyć, a mimo to udało nam się uciec.

Zasadnicza różnica polegała teraz chyba na tym, że na chwilę dopuściłam do siebie myśl o przetrwaniu. Wydawała się niebezpieczna, mogła zrobić więcej złego niż dobrego, ale wkradła się do mojej głowy i tkwiła tam jak kwiatusek pośrodku asfaltowego podwórka.

Kiedy trzaskający, zawodzący, śpiewny dźwięk rozrywanych kabli ucichł, prześlizgnęłam się na koniec wywrotki i wyrztałam na zewnątrz. Było to trudne, bo Homer nadal jechał z pełną prędkością. Ale teraz sytuacja wyglądała inaczej, bo pędziliśmy drogą obok lotniska, która zaczynała się robić kręta i bieć pod górę. Wkrótce miała się zrobić jeszcze bardziej kręta i stroma, bo wiodła ku wzgórzom na północ od Wirrawee.

Byłam posiniaczona i poobijana od ciągłego podskakiwania, ale musiałam o tym zapomnieć, żeby się skupić. Rozpaczliwie chciałam zobaczyć, co jest za nami.

127

Dwa pozostałe dzipy siedziały nam na zderzaku. Chyba po opuszczeniu lotniska żołnierze przestali do nas strzelać, ale byli tuż-tuż. Jeśli wcześniej się nie wkurzyli, to teraz z pewnością byli wściekli. Wściekli i prawdopodobnie także wystraszeni. Co jednak wcale nie zmniejszało zagrożenia. Wystraszony człowiek potrafi być naprawdę brutalny.

Uniosłam karabin i stanęłam w rozkroku, by przyjąć odpowiednią pozycję do strzału. W tym momencie żołnierze na tylnym siedzeniu pierwszego dzipa podnieśli się i też unieśli karabiny, mierząc do mnie. Zastanawiałam się, dlaczego nie strzelają do nas cały czas. Może brakowało im amunicji. Nie mieli dużo czasu na zabranie większej

ilości. Nie daliśmy im szansy na zorganizowanie się. Może po prostu próbowali odzyskać równowagę po ostrym zakręcie. A może uznali, że kule nie przebiją metalowej wywrotki.

W każdym razie teraz zamierzali nadrobić braki. Przykucnąłam, gdy grad kul posypał się na tył ciężarówki. W stali zakwitł rząd kwiatów. Było okropnie niebezpiecznie. Mimo to musieliśmy coś zrobić.

Wychyliłam się, oddałam dwa szybkie strzały w ich przednią szybę i schowałam się z powrotem, nasłuchując odgłosów kraksy, której się spodziewałam.

Nic. Tylko warkot naszego silnika, grzmiące dudnienie każdej najmniejszej części od tłoków po pasek klinowy, pracujących jak jeszcze nigdy dotąd. Nawet gdybym w coś trafiła, niczego bym nie usłyszała.

Lee wyjrzał znad krawędzi. Pokonywaliśmy kolejną serię zakrętów i wyglądało na to, że ostrzał znowu ustał. Wtoczyła się na mnie jedna z beczek z benzyną i zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam rzucić następną. Wiedziałam, że nie będzie czasu na oddanie strzału, ale być może rozprysłaby się i wybuchła. Nawet jeśli dwie poprzednie się nie rozprysły.

128

Wtedy Lee coś krzyknął i przywołał mnie do siebie machnięciem ręki. Szybko przesunęłam się w jego stronę. Wskazał bolec na górze tylnej klapy. Natychmiast zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Stracimy osłonę - krzyknęłam, ale on wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Chyba miał na myśli to, że będziemy się martwili później.

Ja też wzruszyłam ramionami i przesunęłam się z powrotem na drugą stronę. Zaczęłam majstrować przy bolcu. Gdyby żołnierze zobaczyli

moją rękę, mogliby się domyślić, co zamierzamy, ale nie mieli szans w nią trafić. Zresztą pewnie i tak nie mogli jej zauważyć.

Lee wyjął już bolec po swojej stronie. Przez to zwiększył się nacisk na moją stronę i było mi trudniej wysunąć bolec z dziury. Kłapa składała się z dwóch części, a my skupiliśmy się na górnej. W pionie trzymał ją już tylko mój bolec i jeszcze jeden, pośrodku, który przytwierdzał ją do dolnej połowy. Zadrżały mi palce, kiedy zdałam sobie sprawę, jak niewiele czasu dzieli nas od chwili, w której ciężki kawał stali zostanie uwolniony i będzie mógł odfrunąć, dokąd tylko zechce.

Chociaż nie, to w zasadzie nie była prawda. Odfrunąłby tam, dokąd zabrałby go wiatr i prędkość naszej ciężarówki. Czyli prosto do tyłu.

Lee wyjął bolec po swojej stronie. Ale ten po mojej stawiał opór. Próbowałam być cierpliwa. Siłowałam się z nim i ciągnęłam go. W ogóle nie chciał się ruszyć. Może stalowa kłapa wiedziała, co ją czeka. Miałam wrażenie, że utknęła na dobre. Toczyłam rozpaczliwą walkę. Potrzebowałam jedynie, by bolec przesunął się o trzy centymetry i to by mi wystarczyło. Ale dolna część bolca wydawała się jakaś spuchnięta, jakby była za duża, by się wysunąć. Moje palce poczerwieniały, były obtarte i obolałe.

Potem, z nagłym pośpiechem i lekkim zgrzytem, bolec ustąpił.

129

Nadal klęczałam i poczułam się trochę głupio, trzymając go w rękach. Przez chwilę górna część kłapy trwała jakby w zawieszeniu. Potem nagle zniknęła. Zdmuchnęło ją jak kartkę papieru. Ja i Lee straciliśmy część osłony. Z czymś w rodzaju przerażenia zmieszanego z fascynacją czekaliśmy, co się stanie.

A stało się coś okropnego. Najwidoczniej nikt jadący w dziupie nie zauważył naszych małych palców majstrujących przy bolcach. Albo nikt się nimi nie przejął.

Gdy żołnierze zobaczyli lecącą klapę, zaczęli hamować, ale nie byli w stanie wiele zrobić. Ciężarówka pędziła ze sto na godzinę i dżip też. Stalowa klapa poszybowała w jego kierunku z podobną prędkością. Górne połowy facetów siedzących z przodu po prostu się rozpadły. Trzeba by z sześć plastikowych worków, by pozbierać to, w co się przemieniły. Kolesi z tyłu spotkał nie lepszy los. Mignęły mi dolne połowy dwóch ciał, które nadal siedziały z przodu, gdy dżip zjechał z drogi prosto na drzewo i wybuchł.

Na wojnie widuje się okropne rzeczy. Ja i Lee tylko spojrzeliśmy na siebie. Jeśli byłam równie blada i wstrząśnięta jak on, moja skóra zrobiła się całkiem biała. Pewnie nawet bielsza niż jego, biorąc pod uwagę moją anglosaską karnację. Chyba obydwójce osłupieliśmy na widok czegoś tak potężnego i totalnego. To jedna z najbardziej dramatycznych i przerażających scen, jakie kiedykolwiek widziałam. Nie wiem, dlaczego zrobiła na mnie znacznie większe wrażenie niż wybuch beczki z paliwem przed pierwszym dżipem. Może widzieliśmy już wiele eksplozji, w porównaniu z którymi kawał stali lecącej na samochód zdawał się nieść zimną, okrutną śmierć. Śmierć na skutek wybuchu była gorąca.

Nadal widzieliśmy drugiego dżipa. Żołnierze zaczęli do nas strzelać. Razem z Lee schowaliśmy się za dolną częścią klapy i na chwilę zamarliśmy w bezruchu. Potem ostrożnie wyjrzałam. Czy to moja wyobraźnia, czy może zostali lekko w tyle? Wcale bym im się nie dziwiła.

130

Kiedy pokonaliśmy parę wąskich zakrętów, na kilka sekund zupełnie straciliśmy ich z oczu.

Wjeżdżaliśmy pod górę i ciężarówka zwalniała. Chcąc zachować tak dużą odległość, kierowca dżipa musiał używać hamulców i prawdopodobnie to robił.

Nie wiem, jak Lee, ale ja czułam, że nie mam już w zanadrzu żadnych fajnych sztuczek. Droga nadal była zbyt kręta, byśmy mogli wykorzystać beczki z paliwem. Wzięłam karabin i położyłam się za dolną częścią klapy. Po chwili Lee zrobił to samo. Zrozumiałam, że szykujemy się do strzelaniny i że musimy zwyciężyć. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

Gdy znowu pojawił się dżip, oddałam trzy strzały. Usłyszałam też karabin Lee: wystrzelił chyba dwukrotnie. Tym razem również celowałam w przednią szybę - bo była największym i najlepszym celem - i zobaczyłam, jak się rozprysła, choć nie wiem, od czyjej kuli: mojej czy Lee. Utrata przedniej szyby najwidoczniej niewiele zmieniła. Kierowca był cały i zdrowy, a dżip jechał dalej. Został jednak jeszcze bardziej w tyle. Zaczęło mnie to martwić. Wiedziałam, że jeśli zwolni i będzie za nami jechał w bezpiecznej odległości, wpadniemy w ogromne tarapaty. Dokądkolwiek pojedziemy, cokolwiek zrobimy, będzie nas śledził. Kiedy się zatrzymamy albo spróbujemy się ukryć; czy nawet gdy skończy nam się benzyna, żołnierze będą tuż za nami. Zwyczajnie musieliśmy się ich pozbyć.

Znowu sprawdziłam magazynek. Zostały mi cztery kule. Spojrzałam na Lee i uniosłam brwi, pytając, ile zostało jemu. Uniósł jeden palec. Skrzywiłam się. To był koszmar. Znowu uniosłam karabin, przesunęłam się trochę, żeby zająć najwygodniejszą pozycję, i zmrużyłam oczy, patrząc przez celownik.

Tym razem zaczęłam, aż wyjedziemy na prostą. Kiedy pojawił się dżip, mogłam dobrze wymierzyć, mimo że był dość daleko. Dopiero gdy niewyraźna twarz kierowcy znalazła się w moim

131

polu widzenia, pociągnęłam za spust. Usłyszałam, jak Lee przeklina. Opuściłam karabin i zrozumiałam dlaczego. Kierowca zaczął jechać

zygzakiem, tak jak Homer na lotnisku. Moja kula minęła go pewnie o kilka metrów.

W ciągu dwóch następnych minut spróbowałam jeszcze dwa razy. Nie jestem pewna, czy udało mi się cokolwiek zniszczyć, ale widziałam, jak po jednym strzale coś oderwało się od dachu. Druga kula chyba trafiła faceta siedzącego z tyłu. Gdy w końcu ich zatrzymaliśmy, poczułam niemal rozczarowanie. Obydwoje czekaliśmy z karabinami przy policzkach, a gdy dżip na krótką chwilę wyrównał tor jazdy, wystrzeliliśmy razem, prawie równocześnie. Uzgodniliśmy, że będziemy celować w silnik, co przy takiej odległości dawało nam największe szanse. Gdy wystrzeliliśmy, nagle pojawiła się chmura białego dymu, a potem płomień. Dżip szybko się zatrzymał, jakby uderzył w mur, i zobaczyłam, że ze środka wyskakują dwaj żołnierze. Potem odwróciłam wzrok.

Opuściłam karabin i spojrzałam na Lee. Nadal byliśmy żywi! To wydawało się niemożliwe. Wystrzelaliśmy wszystkie naboje, ale nadal żyliśmy.

Chciałam się odprężyć. Nie, chciałam zupełnie się wyłączyć, paść w kącie, płakać, mówić, spać i dostać histerii - wszystko naraz albo chociaż jedno. Ale wiedziałam, że nadal jesteśmy w okropnym niebezpieczeństwie. Radia i telefony wroga pracowały pewnie na najwyższych obrotach, jak szalone dzwoniąc do wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci, do których tylko się dało. W jednym celu. Żeby nas zabić.

No więc nie było żadnego odpoczynku, żadnej szansy na złapanie oddechu. Przeszłam na przód przyczepy, żeby sprawdzić, jak sobie radzą nasi przyjaciele w kabinie. Z tego, co udało mi się dojrzeć, radzili sobie nieźle. Fi odwróciła się, spojrzała przez tylną szybę i zobaczyła mnie. Zaczęła bić brawo. Zrobiło mi się

miło i zdałam sobie sprawę, że Homer i Fi widzieli, jak pozbyliśmy się pościgu. Przynajmniej na jakiś czas.

Homer jechał przez kolejne trzy minuty. Łatwo było zgadnąć, co myśli: że musimy odjechać na bezpieczną odległość od ostatniego dżipa. Nie mogliśmy jednak pojechać za daleko, bo z drugiej strony prawdopodobnie zbliżali się już żołnierze. Gdyby się zjawili, bylibyśmy ugotowani. Dotąd mieliśmy szczęście. No, może nie tylko ono nam sprzyjało. Desperacja też potrafi wiele zdziałać.

miło i zdałam sobie sprawę, że Homer i Fi widzieli, jak pozbyliśmy się pościgu. Przynajmniej na jakiś czas.

Homer jechał przez kolejne trzy minuty. Łatwo było zgadnąć, co myśli: że musimy odjechać na bezpieczną odległość od ostatniego dżipa. Nie mogliśmy jednak pojechać za daleko, bo z drugiej strony prawdopodobnie zbliżali się już żołnierze. Gdyby się zjawili, bylibyśmy ugotowani. Dotąd mieliśmy szczęście. No, może nie tylko ono nam sprzyjało. Desperacja też potrafi wiele zdziałać.

10

Zebraliśmy się na wąskim, nieregularnym pasie trawy na skraju drogi. Nawet Kevin wysiadł z ciężarówki. Jasne, był w rozsypce, ale miał na tyle rozumu, by dojść do wniosku, że siedzenie w ciężarówce nic mu nie da. Ten pojazd dobrze nam służył. Może po wojnie przyjadę, odnajdę go i wstawię do ładnego garażu, w którym będzie mógł wygodnie mieszkać do końca swoich dni. Kiedy tylko by chciał, karmiłabym go pięknym gęstym czarnym olejem oraz poila benzyną bezołowiową klasy premium i wodą mineralną do chłodnicy. Ale teraz musieliśmy się pożegnać. Homer wprowadził ciężarówkę w zachwaszczone zarośla, gdzie rosły drzewa wysokie na mniej więcej pięć metrów. Nie była to idealna kryjówka, ale musiała wystarczyć.

Znowu złapałam swój plecak i zarzuciłam go na plecy. Homer i Lee mieli swoje plecaki, ale bagaż Kevina i Fi został gdzieś na lotnisku.

To była zła wiadomość - nie tylko dla nich, ale także dla reszty z nas, bo Kevin i Fi nieśli ostatnie zapasy żywności.

Choć wszyscy trzęśliśmy się ze strachu - zaciśnięte zęby szczękały nam tak bardzo, że prawie nikt nie mógł mówić - szybko osiągnęliśmy porozumienie.

— Musimy zostawić ciężarówkę.

Tak brzmiały pierwsze słowa Homera.

134

Nikt nie zaprotestował.

- Uciekamy do lasu? - zapytała Fi.

- To raczej nie wystarczy - powiedziałam. - Będzie nas ścigało mnóstwo żołnierzy, a jesteśmy wykończeni. Nie zdołamy uciec wystarczająco szybko.

- W takim razie co zrobimy? - zapytał Lee.

Znowu patrzyli na mnie. Nie znosiłam, kiedy to robili.

- Potrzebny nam helikopter - powiedziała Fi.

Wcale mi nie pomogła. Dalej łamałam sobie głowę. Nie tylko ją łamałam: rozłożyłam umysł na stole do klasyfikacji wełny, przeczesalam go palcami i sprawdziłam każdy supełek. A potem, ku swojemu zdumieniu, nagle wpadłam na pewien pomysł. Nie miał nic wspólnego z helikopterami. W dalekim zakamarku mózgu zapchanym mnóstwem bezużytecznych bzdur natknęłam się na pewną drobną, ale ważną informację.

Jak już wspomniałam, desperacja potrafi wiele zdziałać.

- Rzeka.

Nie musiałam mówić nic więcej. Moi przyjaciele spojrzeli na siebie - a przynajmniej Fi, Lee i Homer, bo Kevin stał jak robot, gapiąc się w ziemię - i już po chwili byliśmy w ruchu.

Prowadziła Fi. Lekkość dawała jej przewagę. Za nią szedł Lee, potem Kevin, którego specjalnie umieściliśmy pośrodku, a następnie ja i Homer, który ciężko człapał na końcu.

Padaliśmy z nóg. Ale prawie niczego nie nieśliśmy. W plecakach zostało nam niewiele, a z karabinów bez nabojów nie było żadnego pożytku. Dlatego mogliśmy przynajmniej poruszać się tak swobodnie, jak tylko pozwalały wycieńczone ciała.

Zabawne było to - naprawdę tak wtedy myślałam- że nie zrobiliśmy nic, co mogłoby nas wyczerpać fizycznie. Nie wspinaliśmy się po górach, nie przepłynęliśmy oceanów ani nie graliśmy w finałach Ligi Mistrzów. Nie braliśmy udziału w trójboju. W moim wypadku wysiłku wymagało jedynie przedostanie się z kabiny na

135

wywrotkę. Mimo to byłam tak wykończona, jakbym przebiegła maraton. Chyba stres, który przeżyliśmy, pozbawił nas wszystkiego: każdego grama energii, każdej kropli siły, prawie całego życia. Właśnie tak się czułam: jakbym to wszystko straciła.

Ale moje zmęczone nogi nadal się poruszały. Las, przez który szliśmy - oddalony od Wirrawee o zaledwie parę kilometrów - był rzadki i bardzo suchy. Rosły tu eukaliptusy, przeważnie średniej wielkości, o srebrzysto-oliwkowych liściach, które wypuszczają latem. Parę lat wcześniej szalał tu pożar i część pni nadal miała czarny kolor. Nie zauważyłam zbyt wielu krzaków. Gleba była kiepska, usiana małymi kamieniami, pozbawiona żyznej ziemi o barwie ciemnej czekolady. Wiem, co bym znalazła, gdybym zaczęła w niej kopać: kamienie niewiele większe od żwiru i rdzawy, suchy piach. Tworzył twardą nawierzchnię, po której jednak dość dobrze się biegło.

Normalnie spodziewałabym się już helikopterów. Nie tak dawno temu, kiedy zbliżaliśmy się do Wirrawee, by poszukać Nowozelandczyków, zjawiły się bardzo szybko. Ale teraz tylko sam Bóg wiedział, co się miało stać. Nie wiedzieliśmy, jak dużo udało nam się zniszczyć, ale na pewno sporo. Ani jeden samolot nie zdołał się wzbić w powietrze - tego byłam pewna - ale nie wiedziałam, ile maszyn ocalało. Możliwe, że żadna - nie licząc odrzutowca, z którym pędziliśmy na czołowe zderzenie.

Kiedy poprzednim razem zbliżyliśmy się do lotniska, okazało się, że najwidoczniej zainstalowano tam jakiś supernowoczesny system ochrony, który pozwalał wykrywać obecność ludzi z zadziwiającej odległości. Pewnie przekonał żołnierzy, że są bezpieczni. W powietrzu Nowozelandczycy z RNZAF przegrywali z kretelem i wycofywali się za Morze Tasmana. Już ich nie widywaliśmy. Dlatego na lotnisku nie spodziewano się większych kłopotów z powietrza. A system naziemny wydawał się bardzo skuteczny. Przechytrzyliśmy go fuksem. Mogłam sobie wyobrazić

136

rozmowę przy bramie wjazdowej między wartownikami a kierowcami ciężarówek wracających z wysypiska.

- Zatrzymywaliście się gdzieś?

-Nie.

- Widzieliście kogoś?

-Nie!

- Pojechaliście tylko tam i z powrotem?

-Tak.

- Okej, w takim razie wjeżdżajcie.

A gdy już znaleźliśmy się w środku, poszło w zasadzie łatwo. Może żołnierze czuli się tak pewnie, że w bazie nie zaprzęтали sobie głowy środkami bezpieczeństwa. To była dla mnie cenna lekcja: nigdy nie myśl, że udało ci się dopiąć wszystko na ostatni guzik, bez względu na to, jak bardzo się starałeś. Powinnam była się tego nauczyć na farmie. Razem z tatą przez wieki kładliśmy rury wzdłuż rowów wokół domu i szop, instalując je tam na stałe, a potem podłączając do nowiusieńkiej pompy. Miały nas chronić przed pożarami. Blokujesz rynny pionowe, a potem napełniasz rowy wodą. Testowaliśmy system co pół roku. Zero problemów. Potem wybuchł pożar, włączyliśmy pompę i nic nie zadziało. Później odkryliśmy, że pod obudowę pompy dostały się osy, które zrobiły tam gniazdo. Użyta przez nie glina unieruchomiła maszynę.

No więc rozumiałam, dlaczego wartownicy na lotnisku tak kiepsko się spisali. Miałam tylko nadzieję, że nie zostanie to odnotowane w papierach. Ich kariera wojskowa bardzo by na tym ucierpiała.

Gdy o nich myślałam, z oddali, od strony lotniska, dobiegł nas huk następnej eksplozji. Nie wiem, co to było. Weszliśmy na małe wzniesienie, gdzie z dawnej zagrody pozostały tylko płyty blachy i pozostałości ogrodzenia. Dalej, po lewej stronie, zauważyłam ogromną chmurę szarego dymu. Miała zabawny kształt,

137

W

wisiała nad Wirrawee jak ciężki stół, coś w rodzaju sztaby dymu. Ale rozciągała się na wiele mil. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Nadal nie było widać mściwych helikopterów, wściekłych odrzutowców śmigających z warkotem, żadnego ruchu na niebie. Musieliśmy zadać ogromne straty ich flocie powietrznej, skoro nie mogli nawet oderwać się od ziemi, by nas poszukać.

Nasze zmęczenie zaczęła zalewać radość. To, co zrobiliśmy, wydawało się niewiarygodne. Poczułam, że idę coraz szybciej, aż w końcu odniosłam wrażenie, że idę za szybko. Gdybym miała silnik, pewnie pracowałby na zbyt wysokich obrotach. Nawet Kevin przyspieszył kroku. Jakby nas napędzał syrop malinowy. Wymieniłam kilka uwag z Homerem, ale mówiliśmy cicho, bo nie byliśmy jeszcze głęboko w lesie. Musieliśmy jednak powiedzieć, jakie to fantastyczne i wspaniałe, jak wielkie mieliśmy szczęście.

Dla mnie było to chyba najlepsze źródło emocji. Przetrwaliśmy! Właśnie tak. Tak długo byłam pewna, że zginemy, a nagle odkryłam, że nadal żyję. Oddychałam! Czułam ciężkawy zapach eukaliptusa, gorąco policzków i pot ciekący spod pach, oblizywałam spierzchnięte usta suchym, spuchniętym językiem. Nagle życie wydało mi się cudowne. Pragnęłam dalej doświadczać tych emocji, najdłużej, jak się da. Naprawdę nie chciałam umierać. Cud codziennych chwil. Możliwość patrzenia na niebo, uśmiechania się na widok przedziałka na tyłku biegnącego przede mną Kevina albo zauważenia, że pryszcz na moim przedramieniu powoli znika - wszystkie te rzeczy wydawały się takie cenne. A jeszcze bardziej wyjątkowy był cud polegający na możliwości podejmowania decyzji, mierzenia się z problemami, szukania rozwiązań. Na lotnisku myślałam, że nie ma dla nas nadziei. Myślałam, że nie ma rozwiązania. Że jedynym wyjściem jest śmierć. Teraz zobaczyłam, że dzięki naszej determinacji zmieniliśmy rzeczywistość. Znaleźliśmy odpowiedzi tam, gdzie wcześniej ich nie było. Obiecałam sobie, że na zawsze zapamiętam tę lekcję.

138

I już wkrótce musiałam ją sobie przypomnieć. Mniej więcej po dziesięciu minutach biegu Homer nagle złapał mnie od tyłu za ramię.

- Ktoś idzie - szepnął.

Po chwili też to usłyszałam. Niedaleko za nami. Pościg nie starał się być cicho. Chyba uznano, że szybkość jest ważniejsza od ostrożności. Prawdopodobnie wiedzieli, że będziemy się spieszyć i że nas zgubią, jeśli się nie sprężą. Przeklęłam ich. Przeklęłam ich w sercu i w myślach. Nie było sensu marnować cennego oddechu. Ale do niedawna miałam nadzieję, że uda nam się dotrzeć do rzeki tak, by nas nie zauważyli. Jakimś cudem nas wytropili. Może dlatego, że taka trasa wydawała się najbardziej logiczna - po drugiej stronie drogi, przy której zostawiliśmy ciężarówkę, nie było drzew - a może okazali się wystarczająco bystrzy, by zauważyć nasze ślady. Pomyślałam jednak, że na tak twardej ziemi to mało prawdopodobne. Raczej nie zostawialiśmy śladów. Pewnie ułatwiliśmy im zadanie, idąc zgodnie z naturalnym ułożeniem terenu. Byliśmy zbyt zmęczeni i wystraszeni, by postąpić inaczej.

Próbowałam myśleć w biegu. Nie było łatwo. Potrafię iść i jednocześnie żuć gumę, ale mam problem z myśleniem w biegu. Brakowało mi do tego tlenu. Przynajmniej się dowiedziałam, czego potrzebujemy: czasu. Wykorzystanie rzeki zgodnie z naszym planem wymagało przewagi czasowej. W przeciwnym razie żołnierze czekali na nas na brzegu już sto metrów dalej.

Przyspieszyłam, minęłam drzewo i wyszłam na prowadzenie. Doszłam do wniosku, że musimy pobiec okrężną drogą, odważnie zakładając, że uda nam się zwiększyć dystans jeszcze o kilka minut. I znowu przyspieszyłam. Zanosilo się na wyścig o życie, sprint, i drugie miejsce na podium nie wchodziło w grę.

W miarę jak zbliżaliśmy się do rzeki, las gęstniał. Rosło więcej jeżyn i ciemne kępy gęstych zarośli. Za tym wszystkim widać

i39

było stromy brzeg, coś jakby mały klif, za którym prawdopodobnie płynęła woda.

Gdybyśmy nadal podążali zgodnie z nachyleniem terenu, skręcilibyśmy w lewo, czyli zwrócilibyśmy się z powrotem ku Wirrawee. Chyba nawet zauważyłam tam wąską ścieżkę. W dodatku zdawała się odbiegać od rzeki.

Nie wiedziałam, czy dzięki temu zyskamy wyraźną przewagę, ale lepsze było to niż nic. Bez wahania skręciłam w tamtą stronę, pędząc przez chwasty w ciemne zarośla. Pozostali pobiegli za mną. Nie mieli innego wyjścia. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - znowu działaliśmy w ten sposób, w zasadzie jak zwykle.

Musieliśmy biec ostrożnie. Jeśli ci ludzie naprawdę nas śledzili, szybko zauważyliby połamane gałęzie i pogniecione rośliny. Równocześnie musieliśmy się poruszać szybko. Więc trzeba było iść na kompromis. Mieliśmy z trzydzieści sekund, żeby zniknąć. Daliśmy nura w ciemne zarośla.

Przykucnęłam bardzo nisko w niewygodnej, pokracznej pozycji, na lekkim wzniesieniu. Częściowo zasłonił mnie złamany pień, a częściowo paprocie. Miałam nadzieję, że nie będę musiała tam sterczeć zbyt długo.

Nie śmiałam się rozejrzeć. Musiałam wierzyć, że pozostali też są dobrze schowani, zwłaszcza Kevin. Bóg jeden wiedział, co może strzelić do głowy temu facetowi. Prawdopodobnie skulił się do pozycji płodowej, tak jak ja. Czekaając, pomyślałam o nim. Przerazało mnie, że nie wiem, co się z nim dzieje, i że ktoś, kogo tak długo znałam, kompletnie się rozsypał. Skoro coś takiego przydarzyło się jemu, mogło się przydarzyć każdemu z nas.

Moje myśli przerwał tupot nóg. Przesądnie wierzyłam, że jeśli spojrzę w ich stronę, też zostanę zauważona. Ale nie mogłam się powstrzymać. "Wyjrzałam.

Było ich sześciu. Ciężkie mundury i karabiny chyba trochę ich spowalniały. Twarze wyraźnie lśniły od potu, a na koszulach

widniały duże mokre plamy: pod pachami i na plecach. Ale raczej za nami nie skręcili. Prawdopodobnie podążali zgodnie z ukształtowaniem terenu, tak jak wcześniej my. Odruchowo wbiegli na ścieżkę i popędzili dalej.

Gdy tylko ucichł odgłos ich butów, wstałam. Nie dałam sygnału pozostałym - po prostu uznałam, że sami zauważą, co robię, i pobiegną za mną. Wyskoczyłam z zarośli i zaczęłam się wspinać na małe urwisko.

Było trudniej, niż przypuszczałam. Z pierwszym odcinkiem poszło mi łatwo, ale potem zrobiło się bardziej stromo i grunt zaczął się kruszyć. Znowu pomyślałam, że zostawiamy wyraźny ślad, i miałam nadzieję, że pozostali są równie ostrożni jak ja. Ale nadal najbardziej martwiłam się o Kevina. Ciągle na niego zerkałam. Beznamiętnie wspinał się na szczyt i po paru minutach ku mojemu zdumieniu udało mu się mnie wyprzedzić. Nawet na mnie nie spojrzął. Po prostu gnał naprzód jak wielki niedźwiedź grizzly.

Mimo to nasza piątka dotarła na szczyt mniej więcej w tym samym czasie. Ogromnie mi ulżyło, gdy przeszłam na drugą stronę grzbietu i usłyszałam, a potem zobaczyłam to, co - jak miałam nadzieję - było naszą ostatnią deską ratunku: szeroką, piękną rzekę Heron.

Nadal trwało lato, więc woda płynęła dość szybko i była głęboka. W połowie stycznia jej poziom znacznie się obniżał, ale na starej rzece można było polegać, i tylko długa susza potrafiła ją naprawdę spowolnić.

Staliśmy nad prostym odcinkiem nurtu. Był szeroki mniej więcej na dwadzieścia metrów. Ostatnio nie padało, więc woda wyglądała dość czysto. Podobno mieszkały w niej dziobaki, choć po raz ostatni widziałam je tam w dzieciństwie. Teraz też żadnego nie zauważyłam.

Można by się spodziewać, że rzeka płynąca przez Wirrawee wpada do Zatoki Szewca, ale za sprawą jakiegoś geograficznego

141

J*

wybryku natury - dokładniej mówiąc Wzgórz Blackmana - wcale się tak nie działo. Heron płynął aż do Stratton, a potem w dół, do jeziora Murchison. To dość ważna rzeka, bo wodę z jeziora Murchison wykorzystują tamtejsze wielkie elektrownie.

Ale wtedy o tym nie myślałam. Chciałam tylko jak najszybciej wydostać się z okręgu Wirrawee. Szybkość i działanie były dla nas najważniejsze.

- Trzymajcie się razem — powiedziałam do przyjaciół. - Jeśli ktoś wpadnie w tarapaty, niech krzyknie. I uważajcie na Kevina.

- Nic mi nie jest - mruknął.

Ucieszyłam się, że w ogóle coś powiedział.

Ale ledwie to usłyszałam, bo byłam już w drodze. Nie wysiliłam się na spektakularny skok z rozpędu - głównie dlatego, że nie jestem w tym zbyt dobra. Zresztą chciałam się trzymać blisko brzegu, bo tak było bezpieczniej. No więc szybko weszłam po kolana, ustawiłam plecak przed sobą, położyłam się na wodzie i przepłynęłam parę metrów. Potem skręciłam w prawo, kierując się w dół rzeki.

Dziwnie się pływa w ubraniu. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. W Zatoce Szewca ja i Homer mieliśmy na sobie lekkie T-shirty i szorty. Teraz byłam w pełnym rynsztunku. Woda wypełniła mi buty, potem dzinsy. Pełzła po nogach. Wszystko robiło się coraz cięższe. Ale przynajmniej nie było za zimno. Biegłam tak długo i tak bardzo się bałam, że byłam rozgrzana, zestresowana i lepka, więc woda podziałała na mnie dobrze. Nie chodziło tylko o chłód, lecz o sposób,

w jaki zmywała z mojego ciała brud i pot. Upłynęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni się kąpałam.

Rzeka płynęła zdecydowanie, ale niezbyt wartko. Nie było w niej żadnych wirów ani wodospadów. Heron nie należał do tego rodzaju rzek. To naprawdę zabawne: przed wojną Wirrawee nie miało w sobie niczego dzikiego, dramatycznego ani widowiskowego. Byliśmy spokojną częścią świata. Większość ludzi

142

w naszym okręgu nie przejmowała się tym, co się dzieje w innych zakątkach. Chcieli po prostu mieć spokój, by żyć własnym życiem. Chcieli móc poślubić ludzi, w których się zakochali, wychowywać dzieci, uprawiać ziemię i spocząć na cmentarzu w Wirrawee pod wysokimi ciemnymi sosnami, gdzie po ich grobach biegałyby oposy, które także szukały jedzenia, dobierały się w pary i rodziły młode.

Tak żyli ludzie w średnim wieku i ci starsi. Mnie nie interesowała taka przyszłość. Chciałam podróżować po Azji, Afryce i Europie razem z Fi (dawniej razem z Corrie), a potem wrócić, pójść na studia, zdobyć ciekawą, efektowną pracę i poślubić ciekawego, efektownego faceta - najlepiej bogatego. Okej, może w wieku czterdziestu lat wróciłabym do Wirrawee, wykopałabym rodziców z farmy i przejęła ją. Wiele argumentów przemawiało za życiem w Wirrawee. Ale wcale mi się do niego nie spieszyło.

Rzeka Heron była typowa dla Wirrawee. Płynęła spokojnie, nie robiąc nic szalonego ani niespodziewanego. Nie było w niej krokodyli ani aligatorów, ani... O nie! Węże! Pijawki! Wyciągnęłam szyję i cicho zawołałam do pozostałych:

- Uważajcie na węże. I na pijawki.
- Wielkie dzięki, Ellie - odpowiedziała Fi.

To był koniec mojego spokoju i opanowania. Ze strachem zaczęłam się rozglądać w poszukiwaniu pijawek. Nauczyłam się ich bać. W dzieciństwie w ogóle się nimi nie przejmowałam. Jeśli któraś się do mnie przyssała, wychodziłam z wody i przypalałam ją zapalką. Jako paskudny, sadystyczny bachor czerpałam pewną przyjemność z obserwowania skręcających się, wijących, wysychających ciał, które w końcu odpadały od skóry. Ciekawe, kto odkrył, że przypalanie to najlepszy sposób na pozbycie się pijawki. To musiał być naprawdę czarujący człowiek.

Pewnego razu wyszłam ze stawu, wróciłam do domu i skierowałam się do swojego pokoju, żeby zostawić rzeczy. Potem

43

zauważyłam na korytarzu ślady krwi na dywanie. Pomyślałam, że zostawił je pies, może suka z cieczką.

— Mamo! - zawołałam. - Był tu któryś z psów?

Przyszła, żeby spojrzeć.

- Ojej - powiedziała. Potem mi się przyjrzała. - Co masz na nodze?

Oczywiście miałam pijawkę, przyczepioną tylko w połowie i wiszącą na zębie albo czymś w tym rodzaju. To przez nią po nodze płynęła mi krew. Nawet tego nie zauważyłam.

Ale Corrie nauczyła mnie bać się pijawek. Za każdym razem, gdy któraś się do mnie przyssała, moja przyjaciółka robiła wielkie zamieszanie - krzyczała i uciekała - aż po jakimś czasie sama zaczęłam się denerwować na ich widok i w końcu wpadałam w większą panikę niż Corrie. Dziwne, ale prawdziwe.

Później pan Kassar, nasz nauczyciel prowadzący kółko teatralne, opowiedział nam pewną totalnie obrzydliwą przygodę swojej

przyjaciółki na Filipinach. Kobieta miała paroletniego synka, który zawsze cierpiał na problemy z oddychaniem, dokuczał mu ból zatok i przeziębienia. Była z nim u kilku miejscowych lekarzy, którzy nie widzieli w tym nic złego, więc w końcu zawiozła go do specjalisty w wielkim mieście, który skierował małego na prześwietlenie. Okazało się, że przez cały czas w nosie dziecka mieszkała pijawka, tworząc coś w rodzaju stałego elementu wystroju, i z upływem miesięcy coraz bardziej rosła, korzystając ze swojego osobistego automatu z napojami. Obrzydliwa historia.

Zabawne było to, że na obozie w ósmej klasie do pana Kassa-ra też przyssała się pijawka. Przez chwilę pluskał się na płyciźnie, wyglądając jak mały wieloryb, a gdy wyszedł z wody, zobaczyliśmy, że z pleców zwisa mu wielka ciemnoczerwona pijawka. Tańczyliśmy wokół niego, krzycząc: „Spalimy ją! Przynieście benzynę! Niech pan się nie rusza, może nam pan zaufać!”.

Ale facet stchórzył i kazał nam zastosować sól. Nudy.

144

* *

Kiedy więc płynęliśmy rzeką, niespokojnie się rozglądałam, obserwując te części ciała, które było widać, i macając pozostałe. Przesuwałam ręką po odsłoniętym karku, a nawet sięgnęłam do kostek. Zaczęłam sobie wyobrazać, że pijawki dostają się pod moje ubranie, i o mało mi nie odbiło, bo potem czułam, jak pełzną mi pod nogawkami dzinsów albo pod koszulką.

To mogła być całkiem relaksująca podróż, ale moja głupia wyobraźnia wszystko popsowała. Sama obrzydziłam sobie wycieczkę. Tak naprawdę przemierzaliśmy się zbyt szybko, by pijawki mogły nas dopaść.

Bo naprawdę mieliśmy dobre tempo. Nie musieliśmy dużo pływać, tylko tam, gdzie był słaby prąd, bo rzeka skręcała albo się rozszerzała.

Przez większość czasu woda niosła nas spokojnym rytmem. Czasami dotykaliśmy dna, innym razem robiło się wąsko i głęboko, ale nawet wtedy nie mieliśmy poważniejszych problemów. Tylko ja i Homer byliśmy dobrymi pływakami, ale pozostała trójka też radziła sobie nieźle.

Płynęliśmy szybciej, niżbyśmy szli, ale poruszaliśmy się znacznie wolniej niż samochód. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Czułam, że decydując się na rzekę, zdobyliśmy dużą przewagę. To była tajemna droga, która zabierała nas daleko od lotniska. Była szybka i cicha i wiedziałam, że przy odrobinie szczęścia minie trochę czasu, zanim żołnierze o niej pomyślą. Może w ogóle nie przyjdzie im to do głowy.

Nie doceniłam ich.

Po chwili miła, ciepła i kojąca woda przestała być miła i kojąca. Moje ubranie przemokło, zrobiło się jeszcze cięższe i bardziej niewygodne, a w końcu zaczęło mnie ocierać. Mój plecak nabrał wody i choć nadal unosił się na powierzchni, musiałam go podtrzymywać ręką. Woda przestała być ciepła i w niektórych miejscach - na długich, ciemnych odcinkach pod drzewami - zrobiła się bardzo zimna. Chwilami płynęłam zawzięcie, ale uderzyłam

45

w parę podwodnych przeszkód i rąbnęłam obolałym kolaniem

o jakiś pień albo skałę, której w porę nie zauważyłam.

Mimo to płynęliśmy dalej. To było najlepsze rozwiązanie. Właściwie jedyne. Pokonaliśmy z piętnaście kilometrów w ciągu godziny, może więcej. Wtedy podpłynęłam do Homera, żeby pogadać. A raczej by się naradzić.

Do tamtej chwili nikt się nie odzywał, nie licząc mnie i moich słów o węzach i pijawkach. Milczeliśmy po części ze względów bezpieczeństwa, ale w większym stopniu chyba dlatego, że nadal

byliśmy wstrząśnięci po akcji na lotnisku. Potrzebowaliśmy czasu, by zebrać myśli, by oswoić się z tym, co osiągnęliśmy. By pogodzić się z faktem, że odtąd nasze życie będzie wyglądało inaczej. Oczywiście różnicą - w każdym razie dotyczącą najbliższej przyszłości - było to, że staniemy się najbardziej poszukiwanymi ludźmi w kraju. Wrogami publicznymi numer jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. Trochę kiepsko dla Kevina, który nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

Uznałam jednak, że pora znowu zacząć rozmawiać. Nie mogliśmy tak płynąć w nieskończoność. Musieliśmy coś zaplanować

1 pomyśleć. Ciągłe musieliśmy myśleć, jeśli chcieliśmy dożyć następnego dnia, a może nawet pojutrze. Dlatego podpłynęłam do Homera.

- Co wymyśliłeś? - zapytałam go.

Leniwie przewrócił się na bok, żeby mnie lepiej widzieć. Moim zdaniem Homer jest leniwy z natury, więc ten sposób podróżowania na pewno mu odpowiadał.

- Będziemy tak dryfowali w nieskończoność - odpowiedział z szerokim uśmiechem. - A właściwie dokąd płynie ta rzeka?

- Nigdy nie uważałeś na lekcjach? Heron wpada do jeziora Murchison.

- Przepływa przez Stratton?

- Właśnie.

146

- Tak myślałem. Wydawało mi się, że na moście w Stratton widziałem tabliczkę z nazwą.

Nastąpiła chwila ciszy, po której dodał:

- Jak myślisz, jak daleko od Stratton teraz jesteśmy?

- Nie wiem. Pewnie z czterdzieści kilometrów.
 - Tak, całkiem możliwe. Chociaż sam nie wiem. Wszystko zależy od rzeki, prawda? Jeśli biegnie prostszą drogą niż szosa, możemy mieć do Stratton tylko trzydzieści kilometrów. Jeśli trochę kluczy, możemy mieć sześćdziesiąt.
 - Chyba płynie dość prosto - powiedziałam, próbując sobie przypomnieć, jak to wygląda na mapie.
 - Widzisz - ciągnął Homer - problem w tym, że musimy dopłynąć najdalej, jak się da. Otoczą cały okrąg kordonem, który odetnie cholernie duży teren. Ale jeśli popłyniemy za daleko, znajdziemy się w Stratton. Więc wyjdziemy z wody przed Stratton czy po Stratton?
 - A może w Stratton? - dodałam.
 - No tak, o tym nie pomyślałem. Chyba istnieje taka możliwość. W każdym razie to ostatnie miejsce, które im przyjdzie do głowy.
 - Musielibyśmy zachować szczególną ostrożność - powiedział Lee, który podpłynął, żeby się do nas przyłączyć.
- Zabawnie było odbywać naradę wojenną w wodzie, płynąc rzeką, ale dzięki temu zapomniałam o zimnie, o bólu i o mokrym ubraniu ocierającym mi skórę.
- Tak - potwierdził Homer. - W Stratton jest pełno fabryk i tak dalej, więc pewnie dobrze je chronią.
 - Nie wiem, ile z tych fabryk nadal działa - powiedziałam. - Nowozelandczycy przez chwilę ostro je bombardowali.
 - Uratowali nam życie - zauważył Homer.
 - Nam tak, ale Robyn nie - powiedziałam, choć normalnie nie wspominałam o takich sprawach. Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

- Jestem głodny - jęknął Lee, nagle przerywając milczenie.
- Wiem. Ja umieram z głodu - powiedział Homer.

Poczułam, że ze mną jest podobnie, ale niewiele mogliśmy na to poradzić. Wyjaśniło się, dlaczego jest mi tak zimno i czuję tak wielkie zmęczenie. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy jadłam po raz ostatni, ale mi się nie udało.

- Więc jak? - zapytałam. - Ile jeszcze będziemy tak płynąć?
- Długo - odpowiedział Homer.
- Tak, myślę, że powinniśmy pokonać kolejne trzydzieści albo czterdzieści kilometrów - powiedział Lee. - O ile to możliwe. O ile wytrzymamy w wodzie tyle czasu.
- Możemy wylądować w Stratton - zauważyłam.
- Och, nie płynmy do Stratton - jęknęła Fi. Ona też do nas podpłynęła. - Nie cierpię tego miasta. Będzie zbyt niebezpiecznie.
- Podobno gdzieś w Stratton są moi rodzice - powiedział Homer.
- No tak - przyznała Fi. - Zapomniałam.

Nie odezwałam się, bo nie wiedziałam, co byłoby dla nas najlepsze. Ale chyba nikt z nas nie był tego pewien, więc po prostu długo płynęliśmy w milczeniu. W końcu, jak to często bywa na wojnie, los podjął tę decyzję za nas.

11

Po kolejnej godzinie w rzece całkowicie nasiąkłam wodą. Pomyślałam, że lepiej wyjść na brzeg, zanim zatonej jak wielka skała. Nie rozmawialiśmy już więcej i ta cisza mnie martwiła. Byliśmy zbyt zmęczeni. Nie twierdzę, że powinniśmy krzyknąć, śmiać się i szaleć, ale przydałoby się więcej życia. Było mi już naprawdę zimno. To

zadziwiające: kiedy masz pusty żołądek, tracisz mnóstwo energii, ciepła, wszystkiego.

Minęliśmy kilka zabudowań wzniesionych tuż nad rzeką -głównie domów letniskowych. Zauważyłam kilka szlaków pieszych. Gdy pokonaliśmy długi, szeroki zakręt, zdałam sobie sprawę, że zbliżamy się do brodu. Rzeką zrobiła się szersza i płytka. Poczułam, że ocieram się kolanami o żwir.

"Wstałam i przeszłam kawałek dalej, brodząc w wodzie. Byłam niewiarygodnie przemoczona. Woda dosłownie się ze mnie wylewała. Wcześniej myślałam, że w tej rzece nie ma wodospadów, ale jeden był: ja. Ważyłam pewnie ze sto kilo. Nie mogłam się doczekać, żeby wyjść z wody, więc słaniając się na nogach, wyszłam na brzeg. Co za ulga! Opadłam na trawę. Parę minut później dołączyli do mnie pozostali.

Ale gdy tylko rozłożyliśmy się wzdłuż brzegu, tuż przy drodze, usłyszeliśmy cichy warkot jakiegoś pojazdu. Brzmiał tak, jakby rozlegał się okropnie blisko.

149

- Szybko - zawołał Homer.

Wcale nie musiał nas poganiać. Ukryliśmy się wśród tego, co zdołaliśmy znaleźć: głównie w trawie i piachu na brzegu rzeki. Ja znalazłam powalony eukaliptus, który runął na drugie drzewo i utknął na nim, więc nie do końca leżał na ziemi. Schowałam się za pniem i pomyślałam, że jestem dość dobrze ukryta. Potem ostrożnie wyrzałam, mając nadzieję, że nie zobaczę niczego bardziej złowieszczego niż wiejski pikap.

Niestety, zobaczyłam coś znacznie gorszego. Kolejnego dżipa, kolejnego dużego, zielonego owada, który ciągle włąził w nasze życie.

Jechali nim czterej żołnierze, sami mężczyźni. Zatrzymał się tuż nad wodą.

Zrobiło mi się słabo. Zwyczajnie nie potrafiłam dłużej tego znieść. Naiwnie wierzyłam, że zatrzymali się, żeby odpocząć, ale nie. Od razu było widać, że przybyli z jakąś specjalną misją. Dwaj zajęli pozycje na brzegu rzeki — tam wysiedli z dżipa — a dwaj pozostali powoli przejechali rzekę w bród. Gdy tylko dotarli na drugą stronę, wysiedli i znaleźli dobre pozycje, z których mogli obserwować wodę.

Wpatrywali się w górę rzeki z takim skupieniem, że od razu było wiadomo, na co czekają. Przygotowali karabiny. Jakiś geniusz rozpracował naszą trasę ucieczki. Teraz prawdopodobnie rozsyłali żołnierzy na strategiczne miejsca wzdłuż rzeki.

Spojrzałam na nich ze strachem. Tak bardzo chciałam ich nienawidzić. Kiedy się kogoś nienawidzi, jest łatwiej. Można sobie wmówić, że cokolwiek się zrobi, będzie w porządku. Podokuczasz im, poszarpiasz się z nimi, zastraszysz ich: nie ma sprawy, przecież ich nienawidzisz, to zrozumiałe, zasłużyli sobie. Czasami w szkole Fi mówiła, że nie ma takiej osoby, której by nienawidziła. Zawsze się wtedy dziwiłam. Ja i Corrie potrafiłyśmy nienawidzić. Robyn też, mimo że była bardzo religijna.

150

Zastanawiałam się, czy teraz Fi nienawidzi - czy nienawidzi tych żołnierzy. Spojrzałam na nich jeszcze raz, próbując rozbudzić w sobie gorączkę nienawiści. Dwaj po mojej stronie stali odwróceny do mnie plecami, ale dwóch pozostałych widziałam dość dobrze. Mogli być ojcem i synem. Jeden miał około czterdziestki, był niskim człowiekiem o cierplivej, spokojnej twarzy i ciągle patrzył na kwiaty, jakby interesowały go bardziej niż woda. Drugi miał mniej więcej piętnaście lat. Chyba był na coś wkurzony. Często marszczył brwi, a

właściwie rzucał wściekle spojrzenia. Miałam wrażenie, że zastrzeliliby kwiat, gdyby tylko mógł.

Ale nawet jego nie potrafiłam znienawidzić. Jasne, był w złym humorze, ale w nie gorszym niż czasami ja. Wyglądał jak Steve, mój były chłopak, kiedy kłócił się ze swoją mamą. Albo jak Chris, kiedy dzwonek wzywający na lekcje rozlegał się akurat w chwili, w której docierał na początek kolejki w stołówce. A nawet jak ja, kiedy tata obwinał mnie za to, że lis dostał się do kurnika.

Nieczęsto mieliśmy okazję przyjrzeć się wrogim żołnierzom z bliska i przez dłuższy czas. Tylko gdy nas złapano i zamknięto w więzieniu w Stratton. I im dłużej przyglądałam się teraz dwóm żołnierzom, tym bardziej przypominali mi ludzi, których znałam.

No bo jak można nienawidzić kogoś, kogo nawet się nie poznało? To chyba najgłupsze, co można zrobić.

Popołudnie minęło dość dawno temu. Podejrzewałam, że od zmroku dzielą nas jakieś trzy godziny. Wydaje się, że trzy godziny to niewiele, ale nie wiedziałam, czy zdołamy wytrzymać tak długo w naszych niewygodnych małych kryjówkach. Wszyscy byliśmy kompletnie przemoczeni, wyczerpani i zziębnięci. Prędzej czy później ktoś mógł kichnąć, kogoś mógł złapać skurcz, komuś mogły puścić nerwy. Czułabym się żałośnie, gdyby po tym wszystkim, co zrobiliśmy, schwytały nas cztery zwyczajne żołnierzyki, ale było to całkiem prawdopodobne.

151

Spróbowałam wczuć się w ich role. W zasadzie to było bez sensu, ale z drugiej strony nie miałam nic lepszego do roboty. Dzięki temu czas mijał szybciej. Gdybym była na ich miejscu, pomyślałabym: „No tak, szanse, że ich złapiemy, są jak jeden do stu. Pewnie wcale nie popłynęli rzeką albo nie dotarli aż tak daleko, albo już dawno minęli ten punkt, albo złapał ich już ktoś inny... Ale szef kazał nam tu

siedzieć i obserwować rzekę, więc tak zrobimy, bo ci ludzie są bardzo niebezpieczni. Poza tym wpadlibyśmy w duże tarapaty, gdyby tędy przepłynęli, a my byśmy ich nie zauważyli".

Dżip stał na stromej pochyłości nad brzegiem, dość daleko od żołnierzy, i zaczęłam się zastanawiać, czy udałoby mi się do niego niepostrzeżenie podejść i czy cokolwiek by nam to dało. Zanim zdążyłabym uruchomić silnik i wrzucić bieg, podziurawiliby mnie jak sito. Dlatego dalej leżałam bez ruchu, spoglądając na dżipa i zastanawiając się, co robić. Było mi coraz zimniej.

Nagle kątem oka zauważyłam jakiś ruch. Jeszcze uważniej wpatrywałam się w samochód. A po mniej więcej dwudziestu sekundach mogłabym przysiąc, że zaczął się ruszać. Kilka razy zamrugałam, pewna, że to tylko przywidzenie. Ale nie, dżip naprawdę się poruszał. Pewnie zawiódł hamulec ręczny! Chociaż byłby to zadziwiający zbieg okoliczności. Może wcale nie chodziło o hamulec - może zadziałała siła mojego spojrzenia i umysłu. Może byłam złośliwym duchem, którzy przesuwają przedmioty.

Żołnierze po drugiej stronie rzeki zobaczyli to wcześniej niż ich koledzy, obaj w tej samej chwili. Rozpaczliwie krzyczeli i machali rękami, próbując zwrócić uwagę dwóch pozostałych. A ci, gdy tylko zauważyli, co się dzieje, rzucili karabiny i najszybciej, jak umieli, pobiegli na wzgórze.

Dżip staczał się ze wzniesienia, szybko nabierając prędkości. Zdecydowanie sunął w kierunku rzeki, oddalając się od drogi, i zbliżał się do miejsca, które wyglądało na dość głębokie. Nic dziwnego, że żołnierze starali się go zatrzymać. Biegli sprintem

152

po ścieżce, wykrzykując do siebie nawzajem polecenia, a ich dwaj koledzy po drugiej stronie weszli do wody, przyglądając się temu z niepokojem i wykrzykując własne rady.

Żaden z nich nie zauważył tego co ja. Szczupłego ciała Lee, który po cichu, ukradkiem, wynurzył się z zarośli i zabrał karabiny porzucone przez dwóch żołnierzy. Lee, który szybko wycofał się w krzaki i skierował lufę karabinu w stronę dwóch uzbrojonych żołnierzy. Lee, który leżał i czekał, gotów do nich strzelić, kiedy przyjdzie mu ochota. A po tym, co spotkało jego rodziców, czułam, że lada chwila pociągnie za spust.

Rozpędzony džip śmignął obok dwóch żołnierzy po naszej stronie rzeki. Obydwaj starali się go zatrzymać. Starszy biegł za nim przez jakieś dziesięć metrów. Złapał klamkę po stronie kierowcy i ciągnął za nią, próbując zatrzymać samochód własnymi siłami, ale nie miał szans. Jasne, džipy są lekkie, ale ten za bardzo się rozpędził. Wpadł do wody z głośnym pluskiem i szybko się zatrzymał, od razu tonąc w otoczeniu masy bąbelków. W końcu było widać tylko przednią szybę i górną część karoserii. Utknął w rzece na amen.

Później wydarzyło się coś fascynującego. Zrozumiałam, że nie jestem duchem, który potrafi przesuwac przedmioty: to Lee podkraść się w zaroślach i zafundował džipowi ten mały wypadek. Ale po chwili poczułam, że chyba jednak mam jakieś zdolności paranormalne, bo żołnierze zrobili dokładnie to, czego się spodziewałam. Zaczęli się zachowywać jak bohaterowie napisanej przeze mnie sztuki. Jakby przeczytali scenariusz. Gdyby sytuacja nie była aż tak poważna, uznałabym, że to zabawne.

Najpierw pomyślałam: „Na pewno nie będą chcieli się przyznać przed oficerami, że zrobili coś tak głupiego, więc spróbują sami wyciągnąć samochód”.

I właśnie tak się stało. Dwaj, którzy byli po drugiej stronie rzeki, przeszli ją w bród, dużo krzycząc, wymachując rękami i kłócąc

się. Zebrali się przy dziupie i stali, gapiąc się na niego. „Rozejrzyjcie się za jakimś drzewem, chłopaki - pomyślałam. - To wasza jedyna nadzieja”. I rzeczywiście zaczęli pokazywać najbliższe duże drzewo. Od razu było wiadomo, co mówią: „Moglibyśmy przywiązać do tego pnia linę albo łańcuch i wyciągnąć samochód z wody”.

Od czasu do czasu nadal spoglądali na rzekę, więc nie do końca zapomnieli, po co przyjechali. Ale najważniejszym obiektem ich zainteresowania było już coś zupełnie innego.

„Postanowię zdobyć wciągarkę - pomyślałam. - Dwaj z nich po nią pójdą, a dwaj tu zostaną”.

Mniej więcej minutę później, po kolejnej kłótni, dwaj żołnierze, którzy stali po mojej stronie rzeki, zeszli do miejsca, w którym porzucili karabiny. Nagle moje serce przeszył ból. Dlaczego nie mogli poszukać wciągarki bez karabinów? Teraz przez ich głupią dbałość o szczegóły, przez to, że są dobrymi, a nie niedbałymi żołnierzami, znowu znaleźliśmy się w paskudnej sytuacji. Lee będzie musiał zastrzelić ich wszystkich, zanim zdążą odpowiedzieć ogniem. Miał przewagę, bo dwaj z nich byli nieuzbrojeni, ale mimo to groziło nam straszne niebezpieczeństwo. Nawet gdyby pokonał tych czterech, nie wiedzieliśmy, ilu jeszcze żołnierzy może być tuż za wzgórzem. Może czekała tam cała armia. Poza tym miałam już dość zabijania. Na myśl o kolejnym rozlewie krwi czułam ucisk w żołądku, w gardle. Nie byłam w stanie znowu przez to przechodzić, nie dzisiaj, proszę.

Ale nie potrafiłam odwrócić wzroku. Wpatrywałam się w żołnierzy. Kiedy Lee zamierzał się wynurzyć z krzaków i zacząć strzelać? No, Lee, lepiej zrób to teraz, zanim podejdą jeszcze bliżej. Teraz, Lee! No dalej, pospiesz się, nie zostawiaj tego na ostatnią chwilę, musisz działać z zaskoczenia, nie zepsuj tego. Co ty wyrabiasz, Lee?

Żołnierze dotarli do miejsca, w którym zostawili karabiny, schylili się, podnieśli je i wrócili na pagórek.

Zatkało mnie. Byłam w szoku. Leżałam z rozdziawionymi ustami i gapiłam się na nich. Okej, mam zdolności paranormalne, ale to już przesada. Czyżby kręciła się tu jakaś karabinowa wróżka? Czy ta chłodna cienista polana była magicznym miejscem, zaczarowanym lasem? Nie wiedziałam. Nawet nie byłam pewna, czy żołnierze mają teraz karabiny, czy nie. Może Lee w ogóle ich nie zabrał. Może byłam na innej planecie. Może miałam halucynacje. Prawie się uszczypnęłam, ale ostatecznie zrezygnowałam. Wiedziałam, że poczułabym to uszczypnięcie, a już i tak byłam wystarczająco obolała po przygodach na lotnisku.

Dwaj żołnierze minęli kolegów i poszli dalej. Weszli na wzgórze i szli, aż zniknęli mi z oczu. Najwidoczniej to właśnie oni wyciągnęli krótsze zapalki.

Dwaj pozostali sterczeli nad dżipem i dyskutowali. Byli bardzo zaniepokojeni. Ich dowódca musiał być prawdziwym draniem. Chyba bali się wrócić bez samochodu. A może po prostu nie cieszyła ich wizja długiego spaceru z powrotem do bazy.

Wszystkie te wydarzenia tak bardzo mnie pochłonęły, że przestałam myśleć o zimnie, skurczach i niewygodzie. Nie myślałam też o przyjaciółkach. Dlatego o mało nie dostałam zawału, kiedy nagle Homer i Lee zaczęli podskakiwać w krzakach i machać do mnie.

Odbiło im. Kompletnie im odbiło. Przypomniały mi się reportaże sportowe, w których dzieciaki stoją za dziennikarzem przeprowadzającym wywiady i podskakują jak na sprężynie, machając do mamy i wykrzykując różne głupoty.

Miło mi poinformować, że Homer i Lee nie krzyczeli. I nie trzymali tabliczek z napisami „Cześć, mam!” albo „Klub Piłkarski Molong”.

Ale poza tym nie pominęli niczego. Skakali, jakby rozbili namiot na mrowisku i mrówki powłaziły im w spodnie.

55

To było głupie z ich strony. Ale żołnierze wyglądali na tak pochłoniętych dżipem i wypatrywaniem nas w rzece, że nie widzieli, co się dzieje za ich plecami. Homer i Lee mogliby się rozebrać i odstawić na golasa musical *The Sound of Music*, a tamci dwaj niczego by nie zauważyli.

Oczywiście miało to pewien sens. W zasadzie nie wiem, dlaczego użyłam słowa „oczywiście”, bo ci dwaj idioci nie potrzebowali żadnego powodu, by cokolwiek robić. Ale przesyłali reszcie z nas wiadomość. Potem zdałam sobie sprawę, że jednak nie przesyłają wiadomości reszcie z nas. Przesyłali ją mnie. Zobaczyłam, że Kevin i Fi są już za nimi. Zdążyli się oddalić od zagrożenia. Po tej stronie zostałam tylko ja.

Problem polegał na tym, że od samego początku byłam w gorszym położeniu niż oni. Wszyscy ukryli się wyżej nad brzegiem rzeki. Oznaczało to, że byli w stanie dostać się na górę, przejść przez grzbiet i uciec. Ze mną było zupełnie inaczej. Od szczytu wzgórza dzieliła mnie tak duża odległość, że ryzyko było po prostu zbyt wielkie. Czułam się okropnie, stercząc tam jako jedyna z nas, samotnie, ale wiedziałam, że muszę poczekać, aż coś się zmieni, zanim będę mogła uciec. Dobrze, że zostało tylko dwóch żołnierzy, ale nadal byli czujni.

Siedziałam tam przez następne pół godziny. Homer i reszta zrezygnowali z dalszych prób zwrócenia mojej uwagi. Ulżyło mi. Ostatnio nie lubiłam, gdy ludzie robili coś zbyt szalonego. Martwiłam się. Nawet nie byłam pewna, czy wiedzą, gdzie się ukrywam. Wszystko zależało od tego, czy ktoś zauważył, jak chowam się za powalonym drzewem.

W końcu dwaj żołnierze wrócili z wciągarką. Byłam pod wrażeniem. Nie wiem, jak zdołali ją znaleźć pośrodku pustki, ale jakoś znaleźli, mimo że była stara i poobijana. W dodatku wiedzieli, jak jej używać. Kiedy zaczęli ją ustawiać, oplatając łańcuchem duży stary eukaliptus, postanowiłam wykonać ruch. Gdybym

156

się na to nie zdecydowała, mogłabym nie dostać drugiej szansy. Zaczęłam pełznąć i gramolić się na górę.

Najgorsze były jeżyny. Zawsze mam wrażenie, że rosną po to, żeby nas kłuć. Mam z nimi na pieńku. Nie znoszę ich. Zaczepiałam o nie ubraniami, skórą i włosami. A im bardziej się na nie wściekasz i próbujesz się wyswobodzić, tym głębiej zatapiają swoje szpony. Ze sześć razy puściły mi nerwy, ale wcale mi to nie pomogło. One uwielbiają, kiedy człowiekowi puszczają nerwy.

Przynajmniej żołnierze byli cały czas pochłonięci pracą. Zauważyłam - bo kilka razy spojrzałam w ich stronę - że idzie im całkiem dobrze. Zanim zdążyłam dotrzeć do grzbietu wzgórza, wyciągnęli dżipa do połowy z wody.

Mniej więcej wtedy zdałam sobie sprawę, że mamy poważny problem. Przypuszczałam, że Homer albo Lee zwolnił hamulec ręczny, żeby dżip stoczył się do rzeki. To było w porządku. Martwiło mnie jednak co innego: jak zareagują żołnierze, kiedy przeprowadzą oględziny. Uznałam, że powinnam pogadać z Homerem i Lee - i to szybko. Gdy tylko przeszłam na drugą stronę grzbietu, zaczęłam biec. Zaledwie trzydzieści albo czterdzieści metrów dalej zobaczyłam Homera i pozostałych. Stanęli przede mną, bardzo zadowoleni z siebie.

- Udało się - powiedział Homer. - Chodźmy.
- O nie - zatrzymałam go. - Raczej nie.

- Dlaczego?

Za sekundę obejrzą dzipa i odkryją, dlaczego stoczył się ze wzgórza.

Wszyscy stali i wpatrywali się we mnie ze zdziwieniem.

- No tak - odezwał się Lee. Nagle zrozumiał.

Nie miałam wątpliwości, że żołnierze odkryją sabotaż. Mój umysł natychmiast przeskoczył do następnej myśli. Ci żołnierze musieli umrzeć, zanim zdążą powiedzieć innym, że jesteśmy na tym terenie. Znowu śmierć. Mieliśmy problem, a ostatnio

57

w takich sytuacjach odruchowo myślałam, że najlepszym rozwiązaniem każdego problemu jest zabijanie.

Przynajmniej tym razem to nie ja miałam ich zabić. Tego byłam pewna.

- O co chodzi? — zapytała Fi. - Dlaczego nie możemy po prostu uciec?

- Żołnierze zauważą, że ktoś zwolnił hamulec - wyjaśniłam. - I domyślą się, że to sprawka któregoś z nas.

- Przecież mógł się zwolnić przez przypadek - powiedziała Fi.

- Raczej nie.

- Dlaczego? - upierała się.

Nie miałam ochoty wysilać się na odpowiedź, ale w końcu powiedziałam:

- To po prostu niemożliwe. Nie kiedy w układzie hamulcowym jest odpowiednie ciśnienie.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem Fi powiedziała:

- A gdyby się zepsuł jeszcze raz?

Znowu zapadła cisza, tym razem dłuższa, i nagle do mnie dotarło, o co jej chodzi. Słuchałam tylko jednym uchem, próbując znaleźć jakiś sposób na powstrzymanie żołnierzy. Związać ich, wziąć jako zakładników, zastrzelić? Nawet nie mieliśmy broni!

Ale wtedy zrozumiałam, do czego zmierza Fi. Bez słowa wbiegłam na wzgórze, a na sam szczyt podkrađłam się na czworaka. Wiedziałam, że może mnie spotkać paskudna niespodzianka, jeśli stanę twarzą w twarz z żołnierzem, ale mieliśmy tak mało czasu, że musiałam zaryzykować. Podczołgałam się kilka ostatnich metrów, a potem wyrztałam znad krawędzi.

Wyciągnęli dżipa z wody. Stał na brzegu, mokry, ubrudzony i żałosny. W środku byli dwaj żołnierze, trzeci gmerał przy antenie z tyłu, a czwarty odpinał hak wciągarki od haka holowniczego. „To mój odpowiednik - pomyślałam z uznaniem, przemądrzale, patrząc na tego ostatniego. - Odwalałabym nudną robotę

158

i odłączała łańcuch, podczas gdy pozostali dobrze by się bawili, oglądając wyłowionego dżipa”.

Facet miał jednak kłopot. Próbował odłączyć łańcuch jedną ręką, trzymając w drugiej karabin w pogotowiu i ciągle się rozglądając. Obok niego koleś bawił się anteną. Wysuwał ją i chował, wykrzykując polecenia do mężczyzny na przednim siedzeniu. Wyglądali na bardzo przejętych i zaniepokojonych. Zachowywali się zdecydowanie inaczej niż przed kilkoma minutami. Jakby ktoś wrzucił im za koszułę rozżarzone węgle.

Powiąztałam fakty. Odkryli, że ktoś celowo zwolnił hamulec. Uznali, że to nie był przypadek. Wiedzieli, że jesteśmy w pobliżu. Próbowali wezwać posiłki.

Ale coś nam sprzyjało. Chyba mieli tylko jedno radio: to w dziapie. Zniszczyła je woda. Ten fakt działał na naszą korzyść.

Teraz wszystko zależało od ich następnego ruchu. Czy uda im się uruchomić radio? Czy odpalą dzipa i popędzą po wsparcie? A może najpierw zaczną nas szukać?

Wszystko mogło się sprowadzać do tego, który scenariusz oznaczałoby dla nich najmniejszy kłopot. Przyznanie się do tego, że zepchnęliśmy ich samochód do wody, gdy oni stali z założonymi rękami, byłoby dość żałosne. Ale gdyby wrócili z nami, żywymi lub martwymi, nikt by się nie przejął mokrym dziptem.

Ciągle rozmawiali, czasami nawet krzyczeli. Chyba dyskutowali o tych samych sprawach, o których myślałam. Wszyscy czterej ciągle niespokojnie się rozglądali. Byli bardzo świadomi naszej obecności.

Ich następnym ruchem była próba odpalenia silnika. Nie mieli pojęcia, jak należy to robić. Jak na ludzi, którzy potrafili obsłużyć wciągarkę, wydawali się zaskakująco bezradni, kiedy przyszło uruchomić mokry silnik. Jeden z nich siedział na miejscu kierowcy i przekręcał kluczyk w stacyjce, a pozostali stali obok, rozglądając się za nami i na zmianę wykrzykując rady dla kierowcy.

59

Kiedy zrozumieli, że samochód nie zapali, przeszli do planu B. Wtedy dostałam swoją szansę.

Plan B polegał na przeszukaniu terenu. Podejrzewam, że nie podobała im się perspektywa powrotu do bazy, dopóki nie zrobią chociaż tego. I chyba myśleli, że kiedy będą nas szukać, samochód wyschnie.

Ruszyli w górę rzeki. Działali metodycznie. Najwyraźniej zostali przeszkoleni w tym zakresie. Dwaj stali z tyłu i lustrowali wzrokiem

teren, trzymając karabiny w pogotowiu. Dwaj pozostali przedzierali się przez krzaki, rozgarniając gałęzie karabinami. Tata dostałby szału na ten widok. Zawsze utrzymywał nasze strzelby w idealnym stanie. W ciągu tych wszystkich lat przeciągnęłam przez ich lufy tysiące wyciorów. Wystarczyła jedna drobinka brudu i musiałam zaczynać od nowa.

Ale teraz, kiedy żołnierze byli jeszcze dość daleko, nadeszła pora, bym wykonała swój ruch. Wykorzystałam dzipa jako osłonę i sprintem zbiegłam do połowy wzgórza, gdzie rosła pierwsza kępa krzaków. Przystanąłam tam i dysząc, wyjrzałam spomiędzy gałęzi. Jak na razie szło mi dobrze. Żołnierze nadal przeszukiwali teren.

Znowu się pochyliłam i odczekałam chwilę. Potrzebowałam następnego zastrzyku energii, następnego haustu tlenu. Ale kiedy podniosłam głowę, poczułam ucisk w żołądku. Najmłodszy żołnierz, ten piętnastolatek, szedł prosto na mnie. Gapiłam się na niego z przerażeniem. Jeszcze bardziej przywarłam do ziemi, jak kolczatka, wijąc się, jakbym chciała wywiercić dziurę w piachu. Spojrzenie żołnierza błędziło po krzakach jeżyn, ale kojarzyło mi się ze snopem laserowego światła zmierzającego w moją stronę. Za chwilę miało mnie dosięgnąć. Żołnierz mnie zobaczy. Wytrzeszczy oczy. Otworzy usta. Krzyknie. Zginę.

Uratował mnie plusk. Głośny, wyraźny plusk wody. Pośrodku największego rozlewiska rozchodziły się promieniście wysokie

160

fale. Raczej za duże jak na rybę. Zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie dziobak. Chłopak zmarszczył brwi - marszczył je prawie bez przerwy - i zwrócił się w stronę rzeki. On i jego koledzy byli tak zdenerwowani, że nawet gdyby liść spadł z drzewa, podskoczyliby ze strachu. Zrobił krok w stronę wzgórza, ale wtedy drugi żołnierz wykrzyczał kilka ostrych, wściekłych słów. Chłopak

zmarszczył nos, jakby ktoś puścił baka. Mamrocząc pod nosem, wrócił do kolegów.

Pomyślałam, że powinnam jak najlepiej wykorzystać to ułaskawienie. Po raz drugi ruszyłam biegiem, trzymając się tak blisko ziemi, że żwir omal nie podrapał mi brzucha. Zamierzałam się zatrzymać jeszcze raz, ale ostatecznie z tego zrezygnowałam. Ostatnie metry były przerażające. Jakoś udało mi się dotrzeć do dżipa i przykucnąć za nim po bezpiecznej stronie. Wyrzałam zza tylnego światła po lewej, żeby spojrzeć na żołnierzy. Trącali karabinami wystające korzenie wierzby. Byli daleko od naszych wcześniejszych kryjówek, więc nie martwiłam się, że pozostawiliśmy jakieś obciążające ślady. Prawdopodobnie gapili się na norę wombata. Sięgnęłam do dżipa i zwołam hamulec ręczny. „Jesteś geniuszem, Fi” - pomyślałam. Powoli zaczęłam się wycofywać. Żołnierze nadal skupiali się na wierzbach. W mgnieniu oka znalazłam się na szczycie wzgórza. Po raz ostatni przeczołgałam się na drugą stronę i znowu byłam wśród przyjaciół.

Moje wysiłki zostały nagrodzone kilkoma klepięciami w ramię. Ale Lee też był z siebie dumny.

- Spodobał ci się mój rzut kamieniem? - zapytał.
- Kamieniem? Jakim kamieniem?

Po chwili zrozumiałam.

- Aha. Myślałam, że to dziobak. Boże, okropnie ryzykowałeś.

Postanowiliśmy zostać i zobaczyć, co się stanie. Sprawa była dla nas zbyt ważna. Gdyby ci goście nie dali się nabrać, gdyby byli pewni, że jesteśmy w pobliżu, musielibyśmy zmienić całą strategię.

161

Jeśli jednak udałoby nam się ich wykołować, zapewnilibyśmy sobie sporo czasu i przestrzeni. Dlatego musieliśmy mieć pewność.

A zdobycie tej pewności zajęło nam pół godziny. W tym czasie żołnierze, pracując ostrożnie i metodycznie, przeszukali cały teren aż do drogi. Potem w końcu postanowili odpocząć. Ruszyli z powrotem w stronę dżipa.

Zanim cokolwiek się wydarzyło, minęło kolejne pięć minut. Przez ten czas obserwowaliśmy sytuację z naszego punktu widokowego, pocąc się i modląc. Gdyby siła woli mogła sprawić, że ci żołnierze zrobią to, czego chcieliśmy, poruszałiby się trzykrotnie szybciej. Ale najwidoczniej nawet nasze połączone siły nie były w stanie niczego zmienić. Żołnierze zapalili papierosy, stali i rozmawiali, ale nadal byli bardzo czujni i trzymali karabiny w gotowości. Miałam wrażenie, że tracą entuzjazm. Nie znaleźli nic, co mogłoby ich pobudzić do działania.

Dopiero kiedy jeden z nich wyrzucił niedopałek i podszedł do dżipa, wydarzenia nabrały rozpędu. Usiadł na siedzeniu kierowcy i ponownie spróbował przekręcić kluczyk w stacyjce. Tym razem dżip też nie zapalił. Facet siedział dalej. Jeden z jego kolegów coś zawołał, ale ten za kierownicą tylko wzruszył ramionami. Przez parę minut siedział i gapił się przez szybę.

Nie widziałam, jak spogląda na hamulec ręczny. Ale nagle usłyszałam jego okrzyk zaskoczenia. Wręcz szczęścia. Wyskoczył z samochodu, wołając pozostałych. Poczułam, że Fi nerwowo ściska mnie za rękę. To było dla nas bardzo ważne. Zwłaszcza dla niej, bo to ona wpadła na ten pomysł. Po prostu musiało się udać. Byliśmy zbyt zmęczeni, zbyt wykończeni, by rozpoczynać kolejną długą rundę uciekania i ukrywania się. Musieliśmy zdobyć ten dodatkowy czas.

Cokolwiek powiedział tamten mężczyzna, skłonił pozostałych, żeby zajrzeli do dżipa. Zaczęli dyskutować z wielkim ożywieniem. Ale jedno było pewne: ich nastrój się zmienił. Byli

odprężeni, weselsi, śmiali się. Wiedziałam, że wcale nie chcą nas znaleźć - nie chcieli tego równie mocno, jak my nie chcieliśmy zostać znalezieni. Dla nich byliśmy groźnymi, uzbrojonymi partyzantami. Totalnie niebezpiecznymi, totalnie śmiercionośnymi. Zadziwiające. Ale rozumiałam, dlaczego mogli tak myśleć. Byli tylko szeregowymi żołnierzami, przywykłymi do pucowania butów, maszerowania na placu defilad, sprzątania w koszarach przed kontrolami i popołudniowego ćwiczenia strzelania do celu. Nikt ich nie przygotował na to, co robiliśmy. Nikt ich nie przygotował na piekło, które rozpętaliśmy na lotnisku.

Teraz myśleli, że już nie muszą nas szukać. Mieli dżipa z popsutym hamulcem. To im odpowiadało. Znowu byli szczęśliwi.

Rozpoczęli kolejną dyskusję. Ale co najmniej dwóch chciało już wracać. Zapadał zmrok, więc chyba kończyli robotę. Dwaj pierwsi zaczęli się przeprawiać przez bród i nawoływać dwóch pozostałych, starszego faceta i nastolatka, żeby poszli z nimi. Ci nie byli zbyt chętni, ale po chwili ruszyli za kolegami. Nasza piątka patrzyła z niepokojem, jak brną przez rzekę, rozpryskując wodę. Już wkrótce wdrapywali się na przeciwległy brzeg. Ale odetchnęliśmy, dopiero gdy minęli szczyt i zniknęli nam z oczu. Położyliśmy się na ziemi i zaczęliśmy się śmiać. Ulga była ogromna, wszechogarniająca. Przetrwaliśmy, nikogo nie krzywdząc ani nie zabijając. To było naprawdę coś.

12

Nikommu z nas nie spieszyło się z powrotem do wody. Im ciemniej się robiło, tym bezpieczniej było w rzece - zasadzki na niewiele by im się zdały, skoro nie mogliby nas zobaczyć - ale po pierwszym odcinku było nam tak zimno i źle, że nie paliliśmy się do powtórki. Zamiast tego postanowiliśmy zejść jak najdalej brzegiem, a potem trochę

pospać. Co dość zabawne, nikt nawet nie wspomniał o jedzeniu. Chyba nie było sensu. Wiedzieliśmy, że nie natkniemy się na złote łuki McDonalda, więc na co by się zdały narzekania? Ale wiedziałam, że nasz poziom energii bardzo spadł i wkrótce będziemy musieli coś zjeść.

Mozolnie szliśmy brzegiem. Było ciężko. W kilku miejscach rosły wielkie kępy jeżyn, które ciągnęły się co najmniej przez sto metrów. W innych robiło się zbyt stromo. W końcu, gdy reszta z nas przedzierała się przez kolejną przeszkodę, gdzie kępa drzew zmusiła nas do nadłożenia drogi, Lee zsunął się do wody i popłynął. Pokonanie tego odcinka zajęło mu trzydzieści sekund, a nam dziesięć minut. Kiedy wyszliśmy zza drzew, Lee czekał na nas wygodnie rozłożony na trawie. To nam wystarczyło. Przy następnej kępie jeżyn wszyscy weszliśmy do wody.

Płynęliśmy przez półtorej godziny. Zniknęło słońce i znowu zrobiło się potwornie zimno. Musieliśmy wyjść z wody. Nikt z nas

164

nie miał pojęcia, gdzie jesteśmy, ale od dwudziestu minut nie widzieliśmy żadnych śladów zabudowań, a gęste zarośla po obu stronach rzeki przekonały nas, że jesteśmy bezpieczni.

Wygramoliliśmy się z wody. Byliśmy tak zziębnięci, zbolali i głodni, że gdy Homer wspomniał o rozpaleniu ogniska, żadne z nas się nie sprzeciwiło. Spojrzał przy tym prosto na mnie, dość wojowniczo, jakby oczekiwał, że zacznę się burzyć, ale ja nie miałam siły się odezwać. Zresztą po namyśle, kiedy rozeszliśmy się po polanie w poszukiwaniu drewna, uznałam, że to dobry pomysł. Pozostanie w mokrych ubraniach byłoby niebezpieczne. Rano mielibyśmy nowe zmartwienie: kilka przypadków zapalenia płuc.

No więc Lee sięgnął do swojego wodoodpornego plecaka i wyjął zapalki. Kiedyś powiedział, że pewnego dnia docenię jego wodoodporny plecak, i jak zwykle miał rację.

Rozpaliliśmy malutkie ognisko i otoczyliśmy je ciasnym kręgiem, żeby ukryć płomień. Dorzucaliśmy suche gałązki, żeby nie było dymu. Sporo rozmawialiśmy, ale cicho, na wypadek gdyby ludzie byli bliżej, niż myśleliśmy. Pierwsze pytanie zadałam Lee:

- Przyśniło mi się czy podkradłeś karabiny tamtym dwóm żołnierzom?
- Tak, musiało ci się przyśnić. Nawet ich nie tknąłem.

Przez chwilę naprawdę mu wierzyłam, co najlepiej świadczy o tym, jak bardzo byłam zmęczona.

- Właśnie, że je podkradłeś! — powiedziałam z oburzeniem.
- No dobra, podkradłem. Jak sobie chcesz.
- Oj, Lee, daj spokój. Powiedz mi, co się stało. Jak to zrobiłeś?

W końcu Homer się nade mną zlitował.

- To była spontaniczna akcja. Wyglądało na to, że mamy spore szanse wyjść z tego bez strzelaniny, ale tylko jeśli odłożymy karabiny na miejsce. No więc zaryzykowaliśmy.

Słyszając tak proste wyjaśnienie, poczułam ulgę.

165

Rozmawialiśmy o lotnisku. Każde z nas opowiadało swoją wersję wydarzeń. Mówiliśmy o tym, co zrobiliśmy, gdzie popełniliśmy błędy oraz jakie to wszystko było zaskakujące i niesamowite. Nie szaleliśmy i nie krzyczeliśmy, nie świętowaliśmy zwycięstwa. Po prostu cicho rozmawialiśmy. Wiedziałam, że prawdopodobnie sprawialiśmy przykrość Kevinowi, analizując całą akcję w jego obecności, ale

trudno. Musieliśmy to zrobić. Nie próbowaliśmy posypywać jego ran solą, lecz ostatnie wydarzenia były tak doniosłe, tak emocjonujące, tak nagle i niespodziewane, że nie zdążyliśmy ich jeszcze ogarnąć.

Tamtego ranka zrobiliśmy coś, co mogło być jedną z najważniejszych akcji tej wojny. Wiedzieliśmy, że z lotniska w Wirrawee wróg kontrolował tysiące kilometrów kwadratowych ziemi. Położyliśmy temu kres. Eksplozje i pożary były tak potężne i wydarzyły się na taką skalę, że mogły nawet zniszczyć wszystkie samoloty.

Gdy rozmawialiśmy o dużym hangarze, Lee powiedział:

- Powinniśmy spróbować nawiązać łączność z pułkownikiem Finleyem.
- Tak, dobry pomysł — podchwycił Homer z nagłym entuzjazmem.

Lee ciągnął dalej:

- Może w Nowej Zelandii jeszcze nie wiedzą, co się stało. A muszą się dowiedzieć, bo mogliby to wykorzystać. Mogliby zbombardować wszystko, co tylko zechcą.
- Na pewno już o tym wiedzą - powiedziała Fi. - Było tyle dymu! Pewnie dotarł aż na drugą stronę Morza Tasmana.

Chyba najbardziej martwiła się tym, że jeśli włączymy radio, możemy zdradzić swoje położenie. Nowozelandczycy wyjaśnili nam, jak łatwo kogoś takiego namierzyć, i zaznaczyli, że powinniśmy używać radia tylko w wyjątkowych sytuacjach. Szczerze mówiąc, w zasadzie też chciałam porozmawiać z pułkownikiem, tyle że z zupełnie innych powodów. Chciałam znowu usłyszeć

jakiś znajomy głos dorosłego człowieka, a jeszcze bardziej pragnęłam, żeby ktoś powiedział: „Fantastycznie! Dobrze się spisaliście. To było super!”.

Już dawno nie słyszałam żadnej pochwały z ust dorosłej osoby.

- Będziemy ostrożni — powiedziałam do Fi.

Spojrzała na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Jesteś żalosna”.

Uzgodniliśmy, że na nawiązanie połączenia przeznaczymy najwyżej cztery minuty. Może się wydawać, że to niewiele, ale nowozelandzka armia pełniła dwudziestoczterogodzinne dyżury na częstotliwości, z której korzystaliśmy, więc byliśmy w dość dobrej sytuacji i nie groziły nam większe zakłócenia.

Nadal byliśmy mokrzy. Z naszych ubrań unosiła się para, ale ognisko było za małe, żeby nas wysuszyć. Postanowiliśmy pójść poszukać miejsca, z którego można by nadawać. Mieliśmy nadzieję, że spacer trochę nas rozgrzeje. Nawet Kevin trochę się rozchmurzył na myśl o rozmowie z Nową Zelandią, i dość chętnie się do nas przyłączył. Za kolejnym zakolem rzeki wdrapaliśmy się na wzgórze, od czasu do czasu coś szepcząc, ale przeważnie byliśmy cicho i skupialiśmy się na własnych myślach.

Na górze Lee wyjął radio. Był taki pewny, że nie uległo zniszczeniu podczas ataku w bazie, że nawet go jeszcze nie sprawdził. Kiedy je włączył, bardzo się denerwowałam. Gdyby było popsute... Nie, nawet nie chciałam o tym myśleć. Izolacja, strach i samotność związana z brakiem radia byłyby wręcz nie do zniesienia. Czasami myślałam, że jedyne, co trzyma mnie jeszcze przy życiu, to świadomość, że nie jesteśmy sami. Przez Morze Tasma-na biegła niewidzialna linia, która przypominała nam, że ktoś jest po naszej stronie, że walczy tak jak my, poświęcając się tej samej sprawie.

Małe czerwone światełko rozbłysło bez problemu. Jak na razie, wszystko szło zgodnie z planem. Lee wysunął antenę. Pstryknął przełącznikiem i zaczął nadawać. Nasze hasło brzmiało tak

167

samo jak hasło Iaina i nowozelandzkich komandosów: Lomu. Lee powiedział je cztery albo pięć razy, a potem przełączył się na odbiór.

Nie musiał długo powtarzać. Po drugiej serii „łomów” padła odpowiedź, która o mało go nie ogłuszyła. Mówiła kobieta. Nie rozpoznaliśmy jej głosu, ale odzew brzmiał tak, jak powinien: Zinzan. Zdaje się, że to były nazwiska rugbystów.

- Pułkownik chce wiedzieć, czy byliście aktywni. Odbiór -zaczęła.
- Tak, bardzo. Odbiór - szybko odpowiedział Lee.
- Tak myśleliśmy. Dotarły do nas pewne ciekawe wieści. Dołączyliście do Keas? Odbiór.

Musiałam się chwilę zastanowić. Potem sobie przypomniałam. Keas było kryptonimem Iaina, Ursuli i ich grupy. Ale Lee już odpowiadał:

- Nie, nadal jesteśmy sami. Niestety nie mamy o nich żadnych wieści. Odbiór.
- Ale zaatakowaliście ich cel? Odbiór.
- Zgadza się. Odbiór.
- Wiecie, ile jednostek uległo zniszczeniu? Odbiór.
- Niezupełnie. Przypuszczamy, że co najmniej trzydzieści. Maksymalnie pięćdziesiąt albo i więcej. Możliwe, że zniszczyliśmy wszystkie. Odbiór.

- Tak myśleliśmy. Ale niektóre budynki nadal stoją i musimy wiedzieć, co w nich jest. Możecie nam pomóc? Odbiór.
- Poznaliśmy tylko zabudowania w północno-zachodniej części. Odbiór.
- Tak, mówcie. To nam bardzo pomoże. Odbiór.
- Okej. Nowy blaszany hangar, mniej więcej sto metrów na pięćdziesiąt, niedaleko linii energetycznej, jest pusty, jeśli nie liczyć kilku ciężarówek. Naprzeciwko niego stoi drewniany budynek w kształcie litery L. To koszary. Na południe od hangaru jest

168

magazyn z częściami samolotów i tego typu rzeczami. To wszystko, co wiemy. Odbiór.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem znowu odezwał się głos.

- Dziękuję. To wspaniale. Martwił nas ten pierwszy budynek. Jak oceniacie trafność waszej oceny? Odbiór.
- Co? - Lee spojrzał na mnie.
- Chyba pyta, jak bardzo jesteśmy pewni, że hangar jest pusty - powiedziałam szybko.
- A, w porządku - uspokoił się Lee. Potem odpowiedział przez radio: - Mamy stuprocentową pewność. To była nasza kryjówka. Odbiór.

Znowu nastąpiła cisza, a potem kobieta zapytała:

- Czy straciliście jakichś ludzi? Odbiór.
- Miło, że w końcu się zainteresowała - mruknął Homer za moimi plecami.
- Nie, nikogo. Odbiór - powiedział Lee.

- Macie dla nas coś jeszcze? Odbiór.
- Nie. Odbiór.

Zaczęłam czuć coś jakby pustkę. Chciałam pochwał i zachwytów. Wyglądało na to, że zawsze dostajemy od nich tylko chłodne opanowanie kojarzące się z głosem nagrany na sekretarkę.

- Kończ - powiedziałam do Lee.

Połączenie trwało już dość długo.

Ale kobieta odezwała się ponownie.

- Możecie się z nami połączyć jutro o tej samej porze? Pułkownik chce z wami pomówić osobiście. Odbiór.

Wreszcie coś. Widocznie nadal byliśmy dość ważni, skoro pułkownik Finley chciał nam poświęcić kilka chwil swojego cennego czasu.

Powlekliśmy się do naszego małego ogniska i dołożyliśmy do ognia. Zdążyliśmy już podeschnąć, więc właściwie nie było to konieczne. Ale poczuliśmy się lepiej. Nagle dopadło mnie potworne

169

zmęczenie. Rozmowa przez radio sprawiła, że złapałam doła. Mimo to usłyszałam, jak zgłaszam się na ochotnika do pełnienia pierwszej warty. Bardzo wspaniałomyślnie. Wszyscy byli mi wdzięczni - i słusznie. Popęzli do swoich małych kryjówek, żeby spróbować pospać. Nie wiedziałam, czy im się uda. A już z pewnością nie wiedziałam, czy mnie uda się nie zasnąć. Czułam się potwornie pokrzywdzona, bo nie mogliśmy liczyć na to, że pogrążony w depresji Kevin będzie pełnił wartę, więc choć obiecaliśmy go obudzić, po cichu uzgodniliśmy, że zostawimy go w spokoju.

Może całonocny sen sprawi, że Kevin znowu stanie się normalny.

Noc była dla mnie jakby pusta. Kevin najwyraźniej nie przejął się tym, że został pominięty przy przydzielaniu warty - nie wiem, czy w ogóle to zauważył, w każdym razie nic nie powiedział - i nie mam pojęcia, czy komukolwiek udało się zasnąć. Ja miałam wrażenie, że nie zmrużyłam oka. Rano byliśmy tak głodni, że burczenie w naszych brzuchach brzmiało niemal śmiesznie. Dziwne, że nie zwabiło chmary wrogich żołnierzy. Ale musieliśmy się ruszyć. Wiedzieliśmy, że poszukiwania potrwać jeszcze długo. W zasadzie mogły być jeszcze bardziej intensywne niż dotychczas. Żołnierze zwyczajnie musieli nas znaleźć, dla swojego własnego dobra. Pozwolenie, byśmy siedzieli w lesie i szykowali następny atak, mogło ich bardzo dużo kosztować. Nasza ostatnia akcja pozbawiła ich pięćdziesięciu albo i stu milionów dolców, więc ile straciliby następnym razem? Z pewnością byli gotowi poświęcić kilka tygodni na poszukiwania. Wiedziałam, że tak myślą.

Już przed świtem wlekliśmy się przez las, usiłując się nie potykać, być cicho, nie przysypiać i zachować czujność.

Tamtego ranka zobaczyliśmy pierwszy helikopter, ale poleciał na zachód, bardzo nisko nad ziemią, i od razu się od nas oddalił, więc nie wiem, czy uczestniczył w poszukiwaniach.

170

Wtedy byliśmy już z powrotem w wodzie. To przestało być zabawne, ale pozostawało dobrym sposobem przemieszczania się: szybkim, cichym i odpowiednio dyskretnym. Martwiłam się, że coraz bardziej oddalamy się od Piekła, gdzie pozostała reszta naszych rzeczy i gdzie czułam się stosunkowo bezpieczna. Ale trudno. Jak mówią słowa piosenki: „Gdyby życzenia były rybami, wszyscy zarzucalibyśmy sieci w morzu”. Albo, jak mawiała moja babcia ze Stratton: „Gdyby życzenia były końmi, żebracy jeździliby konno”.

Wpadłam na pomysł, że picie dużej ilości wody wypełni mój brzuch i złagodzi głód, ale nie pomogło. Sprawilo tylko, że spuchłam zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Gdybyśmy byli bohaterami książki, zrobilibyśmy pewnie coś w stylu leśnego harcerskiego survivalu, na przykład zbudowalibyśmy z młodych gałązek sidła na króliki, wykopalibyśmy jakieś korzonki, korzystając z pradawnej wiedzy Aborygenów, albo nałapalibyśmy pstrągów na łaskotki. Nie radziłam sobie w lesie aż tak dobrze, choć jako dziecko kilka razy próbowałam zbudować sidła na króliki. Nigdy nie działały. Poza tym nie mieliśmy czasu, by całymi dniami siedzieć i czekać, aż jakiś wyjątkowo głupi królik wpakuje się w nasze sidła po wypiciu kilku głębszych z kumplami. Bo tylko w takim wypadku mógłby w nie wpaść. Pijany królik byłby zresztą już zamarynowany, więc łatwiejszy do przyrządzenia. Oszczędziłby nam mnóstwa zachodu.

Pewnego popołudnia starszy facet o imieniu Alf, który pracował w naszym gospodarstwie, złapał dwanaście pstrągów dzięki temu, że łaskotał je po brzuchu. Nie chciałam w to uwierzyć, ale tata w końcu mnie przekonał. Połów odbył się w dość nietypowych okolicznościach. Panowała susza i jeden ze strumieni płynących przez nasze ziemie - tak mało ważny, że nawet nie miał nazwy - przestał płynąć i zmienił się w kilka małych sadzawek. Alf zauważył, że w niektórych sadzawkach są pstrągi, które ukrywają

171

się jak najbliżej brzegu, by schronić się w cieniu. No więc wsadził rękę do wody, wyciął stary numer z łaskotkami i powyjmował pstrągi jednego po drugim.

Nie wiem, jaką rolę pełniło łaskotanie. Chyba je hipnotyzowało. Na festynie w Wirrawee był facet z Tasmanii, który dawał pokaz z udziałem węży i jaszczurek. Jedną z jaszczurek wystarczyło sześć razy pogłaskać po brzuchu, by zapadła w głęboki sen. Totalnie się odprężyła. Kładł ją na ziemi, a ona leżała jak stary pijak prawie do

końca pokazu. Pewnego razu się obudziła i zaczęła biegać w kółko, więc złapał ją, jeszcze raz pogłaskał i stało się dokładnie to samo co wcześniej: natychmiast zapadła w śpiączkę.

Oczywiście, mnie też darzyło się zahipnotyzować kilka kur -chyba każde dziecko, które ma do czynienia z kurami, prędzej czy później tego próbuje. Zabawne widowisko. Stawiasz kurę na ziemi, opuszczasz jej głowę i rysujesz kreskę dziobem, a w następnej sekundzie ptak odpływa. Można je ustawić w zagrodzie upo-zowane na Elvisa, udające, że zrzucają piórka albo że zakochały się na zabój w kogucie. Żaden problem.

Wiele lat temu moja babcia ze Stratton miała psa, którego można było zahipnotyzować. Trzeba było zrobić to samo co z kurą. Chodził w kółko z wysuniętym łbem i sterczącym prosto ogonem. Cały czas w zwolnionym tempie. Najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Tarzalibyśmy się ze śmiechu, ale kiedy ktoś głośno się śmiał albo hałasował, czar pryskał. Wystarczyło trzaś-nięcie kuchennych drzwi albo warkot silnika samochodu, by go wybudzić. Pies - wabił się Cob - nagle odzyskiwał przytomność. Do jego oczu wracało życie, energicznie potrząsał całym ciałem, a potem siadał i porządnie się drapał. Przez cały czas wyglądał trochę głupawo, jakby wiedział, że zawiódł psi gatunek swoim niewystarczająco godnym zachowaniem.

W końcu tata zabronił nam to robić. Powiedział, że taka hipnoza szkodzi psu. Pewnego dnia znalazł Coba, który sam wprawił

172

się w hipnotyczny trans i w zwolnionym tempie krążył po podwórku. Dlatego tata powiedział, że powinniśmy przestać. Cob zaczynał się uzależniać, nie mógł się obyć bez swojej działki hipnozy.

Bardzo dziwne.

O tego rodzaju głupotach rozmyślałam, płynąc rzeką. Minęło mi tak kilka godzin. Rozmyślałam i marzyłam o dawnych czasach, o czasach przed wojną. Nastął chłodniejszy dzień i tym razem w wodzie było cieplej. Nie lubiłam, kiedy trzeba było wstawać i przechodzić płytsze odcinki. Wiatr na mojej skórze wydawał się wtedy taki zimny.

Oczywiście kątem oka rozglądałam się w poszukiwaniu żołnierzy - ale tylko kątem oka. Mniej więcej w porze lunchu - a raczej w porze, w której jedlibyśmy lunch, gdybyśmy go mieli - sytuacja się zmieniła.

Ale nie za sprawą żołnierzy.

- To gorsze rite czterdziestogodzinny post na cele dobroczynne - poskarżyła się Fi.

- Mhmm - przytaknęłam. Nie miałam siły mówić. Ale często myślałam o jedzeniu, a zwłaszcza o zapachach grillowa-nia. Doszłam do wniosku, że w tym momencie uznałabym je za najlepszy zapach na świecie. Marzyłam o lekko przypieczonych kielbaskach, smażonych cebulkach i górach sałatki ziemniaczanej.

W następnej chwili byłam już zupełnie przytomna.

- Kryj się - syknęłam na nią.

Za późno. Byliśmy już zbyt daleko na zakręcie, a w dodatku na wąskim i głębokim odcinku rzeki, gdzie woda płynęła dość szybko. Z przodu zobaczyłam Lee wynurzającego się przy prawym brzegu. Zauważył niebezpieczeństwo i zanurkował. Najwidoczniej zamierzał się wydostać z wody, więc trąciłam Fi łokciem i poszłam za jego przykładem. Przeklełam się za to, że nie byłam ostrożniejsza. Omal nas nie złapano. Powinnam była bardziej cenić swoje życie.

Problem polegał na tym, że w końcu dotarliśmy na przedmieścia Stratton. Szykowałam się na to od dłuższego czasu i choć nie chciałam tam płynąć, z ulgą przyjęłam zmianę w monotonnej

podróży. Mieliśmy przed sobą duży most z betonu i stali szeroki na cztery pasy jezdni. Dobrze go znałam, mimo że jeszcze nigdy nie oglądałam go z tej strony. Dalej było widać szereg wspaniałych domów wzniesionych nad rzeką. Przypuszczałam, że zostały już zajęte przez oficerów wrogiej armii. W Wirrawee pozajmowali najlepsze domy.

Po tej stronie mostu stała fabryka, która produkowała łożyska kulkowe. W każdym razie przed wojną. Nie wiedziałam, co wytwarza teraz. Była celem, który z radością zbombardowaliby Nowozelandczycy, ale na razie stała nietknięta. Ktoś z niej korzystał, bo zauważyłam parę osób, które stały i rozmawiały przy ceglanej ścianie z przodu. A zanim zanurkowałam, zobaczyłam ciężarówkę wycofującą obok budynku.

Dopłynęłam do brzegu na jednym oddechu, co było całkiem niezłym osiągnięciem, choć wolałabym tego nie robić zbyt często.

Wynurzyłam się tuż przed Fi. Widziałam, że Homer i Kevin już się gramolą na brzeg, więc wyglądało na to, że wszyscy jesteśmy bezpieczni. Wylazłam i ruszyłam za nimi, przemoczona jak mors. Łała się ze mnie woda. Kiedy wyszłam z rzeki, jej poziom opadł chyba o pół metra.

Leżeliśmy razem w zaroślach, z trudem łapiąc oddech. Byliśmy tak zmęczeni i głodni, że nie mieliśmy siły na niespodzianki, na podejmowanie tak ogromnego wysiłku. To było okrutne.

Najwyraźniej nasza podróż rzeką dobiegła końca - przynajmniej na razie. Nie mieliśmy innego wyjścia. Byliśmy w Stratton, czy to nam się podobało, czy nie. Znaleźliśmy się tam po raz drugi w ciągu tej wojny i miałam nadzieję, że będzie lepiej niż poprzednio, kiedy otarłam się o śmierć, a Robyn przekroczyła jej cienką granicę.

Nie mieliśmy pojęcia, co robić. Rozmawialiśmy ściszonymi głosami, leżąc i trzęsąc się z zimna. Jak zwykle mieliśmy pecha i trafił nam się pierwszy zimny dzień od wieków. W zasadzie

175

wszyscy chcieliśmy wrócić do Piekła - jedyne bezpiecznego miejsca, jakie znaliśmy — ale od razu było wiadomo, że na razie nie ma na to szans.

Myślałam, że zaczekamy do zmroku i popłyniemy dalej, ale pozostali, zwłaszcza Lee i Fi, nie bardzo tego chcieli. Fi na początku nie chciała iść do Stratton, ale teraz zupełnie zmieniła zdanie. Może w miastach czuła się bezpieczniej. Rzeczywiście, dalsze płynięcie rzeką bez żadnego celu i planu wydawało się trochę bezmyślne.

W pewnej chwili wspomniałam o mojej babci i Lee zapytał:

- Może pójdziemy do niej?
- Chyba moglibyśmy. Ale nie wiem, czy to ma jakiś sens.
- Jasne, pewnie nie ma. Ale przynajmniej znasz teren. Skrótów i różne kryjówek. Moglibyśmy się poruszać z trochę większą pewnością. Lepsze to niż nic.
- Daleko jeszcze? - zapytała Fi.
- Jakies pięć kilometrów. Ale to ładny dom, więc mogli go zająć.
- Stoi na przedmieściach, tak? - upewniła się Fi. - Tam się raczej nie zapuszczają.

Nikt więcej się nie odezwał i najwidoczniej żadne z nas nie miało lepszych pomysłów. W końcu Homer podjął decyzję.

- Moim zdaniem w Stratton będziemy bezpieczni - powiedział. — Przecież nie mogą nas szukać w całym mieście, nawet jeśli podejrzewają, że tu jesteśmy.

Wyglądało na to, że mojej babci trafią się odwiedziny wnuczki i jej niesfornych nastoletnich przyjaciół. Przed wojną babcia, która była bardzo dystyngowana, uznałaby to za koszmarną perspektywę. Teraz, gdziekolwiek była - i o ile wciąż żyła - nie miałaby pewnie nic przeciwko temu.

Wątpiłam, czy nadal żyje. Gdy wybuchła wojna, miała z siedemdziesiąt pięć lat, ale była bardzo krucha. Nazywałam ją swoją

176

kościstą babcia. Kiedy ją przytulałam, wyczuwałam twarde kości. Oczywiście była miła i fajna - chyba wszystkie babcie takie są, pewnie nakazuje im to jakieś prawo - ale nie znosiła zamieszania, więc jeśli mi wciskała pięćdziesiąt dolców na nową koszulę, nie wolno mi było powiedzieć niczego więcej niż tylko: „Dziękuję, babciu”.

To ja ją ścisikałam na powitanie. Godziła się, ale to nie było w jej stylu.

Właściwie nie miałam pojęcia co dokładnie się stało z mieszkańcami Stratton, kiedy wybuchła wojna. W niektórych miastach ludziom pozwalano powoli wracać do domów, gdzie potem mieszkali pod ścisłym nadzorem, ale ponieważ Stratton było ważnym ośrodkiem przemysłowym, usunięto wszystkich cywilów. Próbowałam sobie wyobrazić babcie w obozie jenieckim, ale w takim miejscu położyłaby się chyba i umarła. Jej duma za bardzo by ucierpiała. Nie tylko ucierpiała - zostałaby jej odebrana, pobita, stratowana podkutymi buciorami i rozwalona kopniakami na kawałki.

Być może wysłali ją do któregoś z gospodarstw - tak jak rodziców Homera - ale pewnie uznali, że jest na to za stara. Możliwe, że mieli rację. Ale z jej energią nigdy nic nie wiadomo.

Nie wyruszyliśmy od razu. Zamiast tego skupiliśmy się na kwestii jedzenia. Jak moglibyśmy je zdobyć? Rozmowa nie trwała długo, bo nikt nie miał żadnego pomysłu. Siedzieliśmy i mówiliśmy o naszych nadziejach, a nie o praktycznych aspektach zadania. „Może znajdziemy sklepy, do których będzie można się włamać”. „Może zostało kilka domów, których jeszcze nikt nie splądrował”. „Może uda nam się skontaktować z grupą więzionych robotników”.

Bardzo szybko mi się to znudziło.

- Oj, dajcie spokój, marnujemy czas - powiedziałam po dwudziestej mało konkretnej sugestii.

177

Pierwsza połowa drogi do domu mojej babci okazała się nudna. Były to jedne z wielu chwil w czasie tej wojny, podczas których zgrzytałam zębami z nudów. Lee poczęstował nas gumą do żucia ze swojego wodoodpornego plecaka, ale niczego więcej nie miał. Przeklełam go w myślach za to, że nie zabrał więcej jedzenia. Nie byłam zbyt sprawiedliwa, bo przecież sama niczego nie wzięłam.

Guma do żucia sprawiła, że poczułam jeszcze większy głód. Fi twierdziła, że żucie zawsze tak działa. Podobno żołądek odbiera sygnały z ust, że jedzenie jest w drodze, ale nic do niego nie wpada, więc coraz bardziej się denerwuje. To całkiem możliwe. W każdym razie teoria brzmiała dobrze.

Mimo że do domu babci mieliśmy tylko pięć kilometrów, wybraliśmy drogę, która ciągnęła się co najmniej przez dziesięć. Kiepsko ją znałam, więc starałam się wybierać spokojniejszą trasę. Ostatecznie obeszliliśmy całe przedmieścia Stratton.

Okazało się to całkiem sprytne. Mniej więcej w połowie drogi zatrzymaliśmy się, żeby odpocząć w rogu wielkiego pustego parku. Znowu rozmawialiśmy o akcji na lotnisku. Fi głośno się zastanawiała,

czy nasz atak cokolwiek zmienił. Wtedy, zupełnie jakby pułkownik Finley wybrał tę chwilę, by zrobić na nas wrażenie i dać Fi odpowiedź, otrzymaliśmy wymowny dowód. Daleko na wschodzie rozległ się niski warkot. Przez chwilę nie potrafiliśmy rozpoznać, co to takiego, a potem Lee powiedział:

- Samoloty.

Zerwaliśmy się na równe nogi i ostrożnie wystawiliśmy nosy z zarośli. Byliśmy w dobrym punkcie, wysoko nad Stratton, skąd roztaczał się widok na dzielnicę handlową. I jeszcze zanim zobaczyliśmy pierwszy samolot, na przedmieściach po wschodniej stronie nastąpiła seria wybuchów. Czerwone błyski, jakby olbrzymi aparat zaczął pstrykać zdjęcia, a następnie znajome chmury w kształcie grzybów brudnego dymu koloru gliny. Po chwili

178

usłyszeliśmy bum, bum, bum i warkot samolotu nabierającego wysokości. Lee wskazał w stronę słońca.

- Tam są - powiedział.

Niektórzy mówili, że Nowozelandczycy z radością zrzucali na nas bomby. Że czekali na to od lat, odkąd po raz pierwszy wygraliśmy mistrzostwa Bledisloe Cup. No tak, tym razem naprawdę sprawiali takie wrażenie. Nie wiem, ile ton spuścili na Stratton, ale dali czadu. Bombardowanie trwało z dziesięć minut. Atakowali falami: dwa samoloty naraz pędziły po niebie jak bąki, zrzuciły ładunek, a potem z warkotem odlatywały w dal. Widzieliśmy spadające bomby. Nie wielkie i zaokrąglone, ze śmigielkami z tyłu jak w kreskówkach, ale raczej przypominające czarne patyki. Było ich mnóstwo. Gdy para samolotów zniknęła, uderzały bomby, rozlegał się ogromny huk, trzęsła się ziemia i ukazywała się kolejna czerwona kula ognia, a potem jej cień z dymu.

Widziałam, jak zawala się jeden budynek. Był duży i wyglądał na fabrykę. Mury nagle złożyły się i osunęły na ziemię jak mdlejący człowiek. To było straszne i jednocześnie fascynujące.

Biorąc pod uwagę, że jakiś czas temu Nowozelandczycy zupełnie zrezygnowali z ataków z powietrza, ten nalot dowodził, że znowu otworzyliśmy dla nich niebo nad Australią. Spojrzeliśmy na siebie ze zdziwieniem i szeroko się uśmiechnęliśmy. Oczy Homera płonęły dumą. Pomyśleć, że przyczyniliśmy się do czegoś tak wielkiego! A wszystko za sprawą jednej rozmowy przez radio. Bomba na telefon. Samolot na telefon. Nalot na telefon. Trochę trudno było w to uwierzyć. W końcu przyłapałam się na tym, że z nadzieją czekam na chwilę, w której samoloty wreszcie znikną i nie będę musiała dłużej o tym wszystkim myśleć.

Kiedy nalot faktycznie się skończył, bez ociągania znowu ruszyliśmy w drogę. Uznaliśmy, że to odpowiedni moment, żeby się przemieścić. Nie zapowiadało się na to, by na ulice miało szybko wylec wielu ludzi. Przez jakiś czas dobrze nam szło.

79

Mimo to dotarliśmy na Doncaster Crescent dobrze po zachodzie słońca. Znowu musieliśmy zwolnić tempo. Dobijało mnie to i wkurzało. Gdy tylko doszliśmy do obszarów zasiedlonych, okazało się, że na ulicach panuje spory ruch. Nie aż taki jak przed wojną, ale dość duży. W porównaniu z tym, do czego byliśmy przyzwyczajeni, przypominał Nowy Jork. Ludzie pędzili ulicami, omijając sterty gruzu i śmieci. Nie wydawali się szczęśliwi. Chyba z chęcią wynosili się w inne miejsce. Nikt się nie uśmiechał. Sposób, w jaki pospiesznie przemykali ulicami, miał w sobie coś wręcz podejrzanego. Nie zapuszczaliśmy się do tych części miasta, które zostały mocno lub niedawno zbombardowane, ale każda ulica wyglądała tak, jakby została już kiedyś zniszczona.

Wszystkimi pojazdami kierowali żołnierze, jakby tylko oni mieli do tego oficjalne prawo. Przeważnie były to ciężarówki i większość z nich jechała w konwojach złożonych z sześciu albo ośmiu samochodów. Raczej nie pozostało zbyt dużo paliwa na rekreacyjne wycieczki.

Dlatego dotarcie do West Stratton zajęło nam całe wieki, a każdemu pokonywanemu metrowi towarzyszył strach. Musieliśmy długo czekać, by w chwili spokoju móc pokonać kolejne trzydzieści albo czterdzieści metrów do następnej osłony. Miałam wrażenie, że moja głowa zmieniała się w zraszacz ogrodowy, bo cały czas obracała się w prawo i w lewo, do przodu i do tyłu. Męczyło mnie to fizycznie, ale co gorsza wykańczało psychicznie. Po nalocie przestaliśmy się do siebie odzywać. Byliśmy bardzo skupieni, nasze nerwy napięły się jak postronki.

Miałam nadzieję - a wręcz tego oczekiwałam - że w West Stratton będzie inaczej. I rzeczywiście: West Stratton było zbyt daleko od dzielnicy handlowej, by wzbudzić zainteresowanie wrogich żołnierzy. Wyglądało na opuszczone i nie działał tam prąd.

Dopiero gdy się zbliżaliśmy do domu, pozwoliłam sobie na luksus pomyślenia o babci. Już wyraźnie czułam, że nie ma jej

180

wśród żywych. Jej duch, który przez tak wiele lat wypełniał ten dom, wydawał się po prostu nieobecny.

Bo jedną z zadziwiających cech mojej babci było to, że jej kruche ciało skrywało ducha zdolnego wypełnić swą siłą cały duży stary dom. Przysięgam: można było stanąć w najdalszym kącie najwyższego piętra, a i tak wyczuwało się jej obecność. Jakby babcia była we wszystkich pokojach, chodziła wszystkimi korytarzami, siedziała w każdym zakamarku. Myślę, że mamie bardzo ulżyło, kiedy

babcia wyprowadziła się z farmy do Stratton. Nie wiem, czy farma była wystarczająco duża, by pomieścić je obie.

Dostaliśmy się do ogrodu i na paluszkach weszliśmy po schodkach, zbliżając się do drzwi. Ogródek kwiatowy okropnie zarósł i prawie się ucieszyłam, że babcia nie może tego zobaczyć. Potem skarciłam się w myślach za tę radość z jej nieobecności. A jeszcze później wyjaśniłam sobie samej, że po prostu próbuję podnieść się na duchu po stracie babci, więc byłam usprawiedliwiona.

Czasami takie myśli mnie wykańczały. Przez nie życie robi się bardzo skomplikowane.

Trudno było iść werandą i unikać skrzywienia desek. Drewno, z którego zbudowano dom, zaczynało się starzeć. Co dziesięć sekund stawiałam kolejny krok, modląc się, by nie obudzić śpiącego żołnierza. Wyobrażałam sobie, jak wyskakuje przede mną, gotowy do strzału. Zaglądałam do okien, ale niczego nie było widać. Panowała zupełna ciemność, totalny bezruch.

Musiałam założyć, że w domu jest pusto. Mogłam mieć tylko nadzieję, że gdzieś głęboko w spiżarni czeka puszka pieczonej fasoli albo słoik z marmoladą. Babcia dobrze gotowała, ale nigdy nie radziła sobie z dżemami. Słyszałyśmy w całej rodzinie z wyjątkowej twardości. Nazywaliśmy je betonem i często żartowaliśmy, mówiąc, że można na nich połamać zęby. Ale teraz - tak,

181

tak - przyjąłabym słoik babcinego betonu z otwartymi ramio-

nami.

Wróciłam do pozostałych, którzy czekali w najdalszym zakątku ogrodu. W słabym świetle wydawali się chudzi, bladzi i nieszczęśliwi.

Wiedziałam, że w dużej mierze to skutek braku energii związanego z brakiem jedzenia, i obiecałam sobie, że gdy tylko dostaniemy się do domu, załatwię jakąś żywność. Nie wiedziałam jak, ale czułam, że muszę coś zrobić.

- Chyba jest okej - szepnęłam. - Nikogo tam nie ma. Wejdzmy od tyłu. Tamtędy będzie łatwiej.

Nie było prądu, więc nie przejmowałam się alarmem. Generator awaryjny padł już pewnie wiele miesięcy temu. Pomyślałam jednak, że kuchenne drzwi będą słabsze niż solidne ciemne dębowe drzwi wejściowe. Zaprowadziłam przyjaciół na tyły. Kevin co chwila deptał mi po piętach i musiałam się ugryźć w język, żeby się nie odwrócić i nie krzyknąć: „Na miłość boską, Kevin, nie mógłbyś patrzeć, jak leziesz?!”. Chyba byłam równie zmęczona jak pozostali.

W ogrodzie za domem rosły warzywa. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że w ubiegłym roku niektóre z nich mogły się rozsiać same. Na jakiś czas byłam gotowa przerzucić się na wegetarianizm. Czułam taki głód, że zjadłabym nawet duszone liście eukaliptusa. Zjadłabym korę z drzewa, świerszcze albo kompost. Byłam taka głodna, że zjadłabym nawet pikle z big

maca.

Prowadząc przyjaciół w stronę kuchennych drzwi, spojrzałam na ogródek i pomyślałam, że nadal prezentuje się całkiem nieźle. W każdym razie lepiej niż ten od frontu.

Kiedyś w tylnych drzwiach była szyba. Ale zobaczyłam, że to już przeszłość. Szybko zajrzałam przez prostokątną dziurę, która po niej została, lecz z powodu ciemności nadal niczego nie widziałam. Tyle że przestałam się przejmować. Od razu było widać,

że dom jest opuszczony. Poruszałam klamką w górę i w dół. Czułam, że zamek ledwie się trzyma i że drzwi ustąpią po jednym porządnym pchnięciu. Oparłam o nie ramię i popchnęłam, ale nic nie wskórałam.

- Mocniej - powiedział czyjś zniecierpliwiony głos za moimi plecami.

Nie chciałam jednak być zbyt brutalna: w domu babci wydawało się to niegrzeczne. Wtedy ktoś wcisnął mi do ręki jakiś twardy przedmiot. Spojrzałam w dół i zobaczyłam kielnię. Kiedyś jej używałam, pomagając tacie poprowadzić betonową ścieżkę w ogrodzie. Teraz wsunęłam ją w szparę między drzwiami a futryną, robiąc z niej dźwignię. Zniszczenia, których dokonaliśmy w szkole w ramach ćwiczenia przed włamaniem do supermarketu, na coś się przydały. Usłyszałam trzask drewna i drzwi ustąpiły.

Od razu je otworzyłam i zdenerwowana weszłam do środka.

Dokładnie w tej samej chwili usłyszałam świst. Coś mignęło obok mojej dłoni, lecąc tak blisko i szybko, że po drodze uszczypnęło mnie w skórę, a potem roztrzaskało się o ścianę obok. Fi, która była tuż za mną, krzyknęła i wycofała się. Chyba przewróciła Kevina, który stał za nią. Przypominało to kostki domina. Ale skupiłam się na kuchni. Nadal się nie ruszałam, nie licząc gwałtownego cofnięcia ręki, a nawet to było czystym odruchem. Potem odzyskałam zmysły i wykonałam ruch, szybko przykucając.

W sąsiednim pomieszczeniu, czyli w jadalni, rozległ się tupot stóp przypominający uderzenia gradu o blaszany dach. Po chwili z drugiego końca domu dobiegł nas brzęk tłuczonego szkła.

Skuliłam się, przerażona. Przez chwilę myślałam, że babcia nadal jest w domu. Ale byłam pewna, że nie żyje. Żegnałam się z nią w myślach od pół godziny, próbując przywyknąć do świata, w którym jej nie ma. Potem pomyślałam, że to mógł być duch. Ale który duch robiłby aż tyle zamieszania?

Pomacałam podłogę wokół siebie. Szybko natrafiłam na przedmiot, który omal nie uderzył mnie w rękę. To był pogrzebacz -długi i ciężki. Podniosłam go, krzywiąc się. Miałam szczęście, że nie pogruchotał mi kości ręki. Miałam szczęście, że nie trafił mnie w twarz.

Na paluszkach ruszyłam przed siebie. Coś zachręściło mi pod stopami. Usłyszałam, że pozostali idą za mną, równie ostrożnie. Ich obecność dodawała mi otuchy. Żałowałam tylko, że nie ma światła.

W domu było pusto. Stwierdziliśmy to dopiero po dwudziestu minutach, ale przynajmniej zyskaliśmy pewność, że mamy go tylko dla siebie. Dom był jednak mocno zniszczony. Z zewnątrz wydawał się nietknięty, ale w środku panował bałagan: potłuczone talerze, roztrzaskane meble, porozrzucane ubrania babci. W toalecie było pełno tego, co zazwyczaj łąduje w toaletach. Przypominało to bałagan pozostawiany przez dzieci. Ktoś urządził sobie biwak w domu mojej babci.

Poruszanie się po domu w ciemności przypominało tor przeszkód. Z dziesięć razy uderzyłam się w piszczel.

Wróciliśmy do kuchni i opracowaliśmy plan działania. Podjęliśmy decyzję o pozostaniu w domu. Chciałam zostać, by móc posprzątać i zabezpieczyć budynek. Pozostali się zgodzili, bo byli zbyt wykończeni, by szukać innego miejsca. Ktokolwiek tam obozował, bał się nas bardziej niż my jego, a to było pocieszające.

Zgromadziliśmy arsenał, przynosząc wszystko, co udało się znaleźć: pogrzebacze, laski, noże. Odkryliśmy, jak najlepiej zabarykadować drzwi. Gdyby ci ludzie wrócili, musieliby stoczyć z nami walkę.

Nie zawracaliśmy sobie głowy teoriami na temat tego, co się dzieje w Stratton. Uznaliśmy, że na to przyjdzie jeszcze czas. Wytypowaliśmy Fi i Kevina, by poszli się rozejrzeć w ogródku warzywnym. Lee, Homer i ja zgłosiliśmy się na ochotnika do

przezesania ciemnych, złowrogich uliczek i sprawdzenia, co uda się tam znaleźć. Mieliśmy zacząć razem, a w razie potrzeby rozdzielić się i spotkać w domu za godzinę.

No więc ruszyliśmy. Nadal byłam głodna, ale potrzeba działania pomogła mi przewyciężyć skurcze żołądka. W nocy było jeszcze zimniej niż w dzień, a ulice naprawdę wydawały się ciemne i złowrogie. Szliśmy powoli, trzymając się mroku przy płotach. Nie wiedzieliśmy, gdzie rozpocząć poszukiwania jedzenia. Lee zaproponował włamanie do następnego domu. To wydawało się niebezpieczne i prawdopodobnie niewiele by nam dało, ale nikt nie miał lepszego pomysłu. Postanowiliśmy, że na początek sprawdzimy kilka ulic, a jeśli nie znajdziemy niczego obiecującego, wybierzemy jakiś dom i się do niego włamiemy.

- Mam nadzieję, że nikt inny nie czai się z pogrzebaczem — szepnęłam.

Kilka razy wyraźnie czułam, że wokół są jacyś ludzie. Nie bardzo ufam swoim instynktom, ale kilkakrotnie przystanąłam i dałam sygnał pozostałym, przekonana, że ktoś nas śledzi. W dzielnicy, która wcześniej wydawała się zupełnie pozbawiona życia, zapanowała całkiem inna atmosfera. Może im późniejsza pora, tym więcej się tam działo. Czułam się nieswojo, jakby towarzyszyły mi jakieś dziwne, chore zjawy.

Jeśli chodzi o jedzenie, brakowało nam wspaniałych pomysłów.

- Wiecie co, jedzenie nie rośnie na drzewach - szepnął w pewnym momencie Homer.

Dopiero później zrozumiałam, że próbował zażartować. Byłam zbyt zmęczona, żeby załapać, a co dopiero by się śmiać.

Minęliśmy duży park, który wyglądał tak złowieszczo, że postanowiliśmy do niego nie wchodzić.

Po niespełna godzinnych bezowocnych poszukiwaniach - o, ja też wysiliłam się na żarcik, który okazał się niewiele lepszy niż ten Homera - wybraliśmy dom, do którego mieliśmy się włamać.

185

Nie różnił się od innych domów w West Stratton i pewnie dlatego zwrócił naszą uwagę. Miał ceglany fornir i małą werandę, murek z przodu, garaż z boku i okrągły ogródek po drugiej stronie. Nuda, ale ładna i solidna. Na paluszkach podeszliśmy do tylnych drzwi. Nawet po ataku pogrzebaczem nie zaprzataliśmy sobie głowy środkami bezpieczeństwa. Te budynki miały w sobie coś, co krzychało: „Jesteśmy puste!”, choć oczywiście w wypadku domu mojej babci nie do końca się to sprawdziło.

Ale w tym owszem. Tylne drzwi były zupełnie wepchnięte do środka, a dokładniej mówiąc wyważone. Leżały na podłodze w kuchni. Na ich widok poczułam się dziwnie. Wiedziałam dlaczego. 'Od frontu dom wydawał się taki solidny. Taki niezawodny, bezpieczny, pewny. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że zna się całą jego historię i historię jego właścicieli. Pewnie byli spokojnymi, odpowiedzialnymi ludźmi. On pracował w biurze, kolekcjonował wina, jeździł magną i pasjonował się ogrodnictwem. Ona pracowała w recepcji w gabinecie lekarskim, robiła dobre sałatki, słuchała Paula Simona i chodziła na zebrania rady szkoły.

A potem idziesz do tylnych drzwi, znajdujesz je na kuchennej podłodze i zaczynasz się zastanawiać.

Weszliśmy do środka. Tym razem też się okazało, że przed nami zajrzało tu zbyt wiele osób. Szafki i szuflady były pootwierane, a rzeczy porozrzucane, ale wyglądało to lepiej niż u mojej babci. Przeszukano tylko główną sypialnię. Pewnie właśnie tam większość ludzi chowa cenne przedmioty.

Nie znaleźliśmy jedzenia, tylko kilka obrzydliwych spleśniałych stert odpadków w kuchni.

Poddaliśmy się i wróciliśmy do domu mojej babci. Fi i Kevin siedzieli przy stole w kuchni i w ciemności kroili ziemniaki. Okazało się, że znaleźli też trochę brokułów, na które od razu się rzuciliśmy. Fi szybko podsumowała stan ogródka warzywnego.

186

-Na pomysł z ziemniakami wpadł Kevin - powiedziała, uśmiechając się do niego jak matka, która właśnie nauczyła swoje dziecko liczyć do dziesięciu. - W ogródku rosną tylko małe młode ziemniaki, ale Kevin powiedział, że jeśli pokopujemy głębiej, możemy znaleźć trochę z ubiegłego sezonu i nadal będą się nadawały do jedzenia. Oto one: znaleźliśmy ich całkiem sporo.

Wtedy wszyscy uśmiechnęliśmy się do Kevina, jakby nauczył się liczyć do stu. Nie okazał takiej radości jak my, ale wykrzywił usta, co przy odrobinie dobrej woli można było uznać za uśmiech.

Chrupałam brokuły, a Fi ciągnęła dalej:

- Problem w tym, że wszystkie warzywa są jeszcze młode. Jest za wcześnie na zbiory. Ale rośnie ich tam całkiem sporo. Dynie, sałata i cukinie. Rozejrzemy się rano, kiedy będzie lepiej widać.

- Zamierzasz ugotować ziemniaki? - zapytał Homer.

Domyślałam się, jakie ma zdanie na temat diety warzywnej.

- Jak uważacie? Moglibyśmy rozpalić w kominku w jadalni i zmienić go w grill. Obejrzeliśmy go i chyba się nadaje.

- Powinno być bezpiecznie - powiedział Homer. - Musimy tylko uważać, żeby nie pokazał się dym.

- A zapach? - zapytałam. - Nie wiem, jak wy, ale ja potrafię wyczuć płonące drewno na kilometr. Chyba nie chcemy, żeby wrócili nasi goście.

- Jadalnia jest pośrodku domu - powiedziała Fi. - To może ograniczyć rozchodzenie się zapachu.

Nie przekonała mnie.

- Ci ludzie nie wrócą - powiedział Homer. - Po co mieliby to robić? Są setki domów, w których mogą przebierać. Pewnie nie chcą kłopotów.

Pomyślałam, że my też możemy przebierać w setkach domów, ale nie powiedziałam tego na głos, bo znów poczułam emocje związane z wizytą w domu babci.

- Jest coś do jedzenia w spiżarni? - zapytał Lee.

187

- Ojej! - zawołała Fi. - Wyobraź sobie, że zupełnie zapomnieliśmy tam zajrzeć.

Na chwilę się ożywiliśmy i pobiegliśmy do spiżarni, myśląc, że być może znajdziemy tam jakiś ukryty skarb w postaci różnych smakołyków. Niestety. Stało tam tylko pół butelki octu, nie-otwarty słoik chutneya, pół słoika zwietrzałej kawy i paczka żelatyny. Oraz szafka z przyprawami, w której większość małych słoiczków nadal była prawie pełna, i rząd znajomych babcinych niebiesko-białych pojemników. Otworzyłam je po kolei: mąka, zero cukru, pół szklanki ryżu, odrobina cukru pudru, dość dużo soli i to wszystko.

Przygnębiający zestaw.

W końcu ugotowaliśmy ziemniaki. Mieliśmy tak mało energii i tak kiepski humor, że postanowiliśmy zaryzykować. Fi i Lee stanęli na czatach na ulicy, a ja i Homer zajęliśmy się gotowaniem. Nie jestem

pewna, co byśmy zrobili, gdyby Fi i Lee przybiegli z wieścią o zbliżającym się patrolu albo o bandzie dzikich lokatorów. Chyba nie byłabym w stanie zostawić ziemniaków dla kogoś innego. Może przegoniłabym intruzów pogrzebaczem.

Ostatecznie zjedliśmy posiłek, w dodatku ciepły. Ziemniaki i brokuły z solą i chutneyem popiliśmy kawą. Potem wyszliśmy do ogródka za domem i spróbowaliśmy się połączyć z Nową Zelandią. Za każdym razem, kiedy o tym myślałam, ogarniała mnie radość. To była linia życia łącząca nas z normalnym światem, ze zdrowiem psychicznym, ze spokojnym, palącym fajkę pułkownikiem Finleyem w jego wypełnionej książkami kancelarii w Wellington. Po każdym połączeniu spodziewałam się czarów i cudów. Nie jestem pewna, jakich dokładnie ani dlaczego w ogóle miałam takie oczekiwania. Może dlatego, że już sama możliwość połączenia się z Nową Zelandią wydawała mi się cudem.

No cóż, tym razem srodze się zawiodłam. Przeznaczaliśmy na rozmowę sześć minut i jak zwykle przekroczyliśmy narzucony sobie limit. Po dwunastu minutach prób Homer się rozłączył.

188

Usłyszeliśmy tylko różne trzaski: głośne, ciche, gwizdzące, pstrykające, szemrzące, gwałtowne. Może zawiniła pogoda. Może to były zakłócenia atmosferyczne. A może - co gorsza - ktoś korzystał z naszej częstotliwości. Byłam zawiedziona i poczułam ulgę, gdy w chłodnym nocnym niebie znowu zaległa cisza.

Homer jako pierwszy stanął na warcie. Posprzątaliśmy w dwóch pokojach. Znaleźliśmy w bielizniarce dość czystych koców i prześcieradeł, by sobie pościelić. To była noc prawdziwego luksusu.

14

Przyniosłam Fi śniadanie do łóżka: zimne ziemniaki z chutneyem.

Rzuciła na nie jedno spojrzenie i powiedziała:

- Oj, poląłeś je chutneyem.
- Przecież lubisz chutney.
- Nie, nie lubię. Wczoraj go nie jadłam.

Na dole Homer i Lee zdążyli się już rozejrzeć. Przekonaliśmy się, że toaleta nie działa, ale o dziwo kran funkcjonował bez zarzutu, więc spłukaliśmy toaletę kilkoma wiadrami wody i zostawiliśmy wiadro w łazience dla osoby, która zechce skorzystać z toalety.

W końcu Kevin znalazł coś, co najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. Może pomogło mu nasze uznanie z poprzedniego dnia. W każdym razie poszedł do ogródka i zaczął kopać w poszukiwaniu warzyw. Uzbierał sporą stertę ziemniaków. Niektóre były w połowie zgniłe, a wiele już kiełkowało, ale część wyglądała w porządku. Pozostałe mogliśmy okroić. W głębi ogródka było mnóstwo suchych białych patyków, wokół których kiełkowały nowe rośliny. Myślałam, że to słoneczniki bulwiaste, które są dość nudnym pożywieniem, lecz teraz wydawały się rarytasem. Podpowiedziałam Kevinowi, żeby je obejrzał, i zostawiłam sprawę w jego rękach. Nigdy nie byłam zapaloną ogrodniczką, więc widząc Kevina w tak dobrej formie, wolałam mu nie przeszkadzać.

190

Razem z Fi i Homerem namówiliśmy Lee, żeby stanął na warcie, a sami weszliśmy na wzgórze za West Stratton, żeby sprawdzić, co się dzieje. Przemieszczanie się po przedmieściach w ciągu dnia było niebezpieczne, ale nie mogliśmy sobie pozwolić na siedzenie w miejscu i powolne umieranie. Musieliśmy coś zrobić.

W Stratton nie było tak dobrego punktu widokowego jak w Wirrawee. To chyba jedyna rzecz, którą Wirrawee miało, a Stratton nie. Ale uznaliśmy, że ze wzgórza uda nam się zobaczyć wystarczająco dużo. Było oddalone od domu mojej babci o ponad kilometr i mieściło się już w innej dzielnicy. Nazywano ją Winchester Heights, a jeśli ta nazwa brzmi pretensjonalnie, to doskonale pasuje do zabudowań. Do ogromnych nowych domów, z których każdy kolejny jest większy i wspanialszy niż poprzedni. Nie ma tam żadnych ciekawych dzikich ogrodów ani dziwnych tajemniczych miejsc i małych zabawnych budynków gospodarczych. Na budowę tych domów przeznaczono miliard cegieł i milion dachówek, które moim zdaniem w większości poszły na marne.

Sytuacja wyglądała zupełnie inaczej niż w West Stratton. Wrócił ruch z poprzedniego dnia. Była to dobra i zarazem zła wiadomość. Dobra dlatego, że przeszły mi dreszcze, które cały czas czułam w domu babci: wrażenie, że jestem obserwowana albo śledzona. Tutaj zagrożenia były dobrze widoczne, oczywiste. Złą wiadomością było to, że dzielnica zdecydowanie wyglądała na zamieszkaną. Najwyraźniej najeźdźcy nie potrafili się oprzeć tym wspaniałym nowym domom. Okolica przypominała mi nowe oblicze Wirrawee, gdzie w domach już dawno mieszkały rodziny. Nie „nasze” rodziny, ale gdyby ktoś o tym nie wiedział, na pewno by nie zgadł, że to obcy ludzie. Na sznurach schły te same ubrania, na ulicach stały zaparkowane te same samochody, te same kwiaty rosły w tych samych zadbanych ogrodach. Czułam się tak,

191

jakbyśmy wyszli z mrocznego świata West Stratton i znaleźli się w amerykańskim reality show.

Ja i Homer spojrzeliśmy na siebie, ukryci nad strumykiem. Byliśmy w małym parku u stóp wzgórza.

- Nie ma sensu tam wchodzić - powiedział Homer beznamiętnym głosem.
- Zgadzam się.
- Och, dzięki Bogu - ucieszyła się Fi. - Biorąc pod uwagę wasze ostatnie wyczyny, myślałam, że będziecie chcieli tam wpaść i wziąć wszystkich jako zakładników.
- Hmm, niezła myśl - powiedział Homer.

Najostrożniej, jak umieliśmy, wróciliśmy do West Stratton.

Kiedyś były tam niemodne, choć przyjemne stare przedmieścia. Ale wiele się zmieniło. Znowu zaczęłam się niespokojnie rozglądać. Moja szyja wyginała się jak sprężyna śrubowa w samochodzie.

- Nie masz wrażenia, że dzieje się tu coś dziwnego? - mruknęłam do Fi, kiedy przykucnęliśmy za szopą w czyimś ogródku.

Nawet mnie samej takie pytanie wydawało się głupie. Byliśmy przecież w strefie działań wojennych, napadnięto na nasz kraj. Fi obrzuciła mnie takim spojrzeniem, jakby sama zamierzała to powiedzieć. Ale ku mojej uldze odparła tylko:

- Tak, dziwnie tu. Czuję się tak, jakbym wypila za dużo toniku.

Nigdy nie piłam toniku, ale wyglądało na to, że obie zauważyłyśmy problem.

- Nie wiem, o czym mówicie - mruknął Homer. - Ja niczego nie czuję. Oprócz głodu.

Fi i ja szeroko się do siebie uśmiechnęłyśmy.

Wyszliśmy zza szopy i przemknęliśmy na skróty w stronę drogi prowadzącej do domu mojej babci. Gdy się na niej znaleźliśmy, doznałam największego poczucia zagrożenia od wybuchu

wojny. Nie wiem, dlaczego od razu się nie zatrzymałam. Chociaż nie, wiem: dlatego że Homer i Fi szli dwadzieścia metrów przede mną i było już za późno. Mogłam ich zawołać, ale narobiłabym hałasu. Mogłam się zatrzymać, ale nie chciałam się od nich oddzielić. Mogłam... Och, sama nie wiem. Problem w tym, że zamiast coś zrobić, potulnie szłam dalej. Chyba tak naprawdę nie miałam wystarczającego zaufania do swojej intuicji i nie chciałam wyjść na idiotkę przed Homerem.

Okolica wyglądała na bezpieczną. Była to jedna z tych wąskich uliczek, z których w dawnych czasach korzystał powóz zabierający zawartość wychodków. Nowoczesny samochód miałby kłopot z przemieszczaniem się. Uliczka była krótka, ale z obu stron otaczały ją wysokie płoty. Dzięki nim nie obawialiśmy się ataku z boku. Całe moje napięcie skupiło się w tej małej przestrzeni.

W połowie drogi nie wytrzymałam. Zawołałam cicho: „Pospieszcie się”, i zaczęłam biec. Fi też pobiegła, zanim zdążyłam dokończyć zdanie, więc wiedziałam, że ona również wyczuła niebezpieczeństwo. Ale gdy tylko przyspieszyłyśmy, uliczka eksplodowała. Przerazający widok. Jak wtedy, gdy podnosi się obornik przyklejony do wełny i okazuje się, że pod spodem kłębią się czerwce. Jak łajno sroki, które z nienacka spadło ci na ramię. Jak wtedy, gdy po podniesieniu pnia widzisz, że pod spodem jest nie jeden wąż, lecz całe gniazdo, matka z młodymi, które wiją się i miotają.

Wyskoczyli z za płotów. Chyba uznaliśmy - przynajmniej podświadomie - że uzbrojeni żołnierze w pełnym rynsztunku nie mogliby wyskoczyć z za wysokich płotów jak gimnastycy na trampolinach. To jedyne usprawiedliwienie dla naszego wpakowania się w tę głupią uliczkę. Nie wiedzieliśmy jednak, jak wiele się zmieniło w Stratton, w całym naszym kraju. Bo to nie byli żołnierze w pełnym rynsztunku. To były dzieci.

Dzieci w różnym wieku. Najmłodsze mogły mieć z sześć, siedem lat, ale były tak kościste i niedożywione, że trudno było

93

zgadnąć. Najstarsze prawdopodobnie miały z dwanaście albo trzynaście. Sześcioro zeskoczyło z płotów, a dwoje stanęło na końcu uliczki, przed nami. Wcale nie byłam zaskoczona, kiedy się odwróciłam i zobaczyłam, że kolejne dziecko odcięło nam drogę ucieczki.

Wszystkie były uzbrojone. Jedno miało nawet łuk i strzałę. Dwoje trzymało karabiny. Odbezpieczyło je, gdy tylko ich nogi dotknęły ziemi. Dzieci trzymały nas na muszce. Reszta miała noże. Myślałam, że od razu nas zastrzelą. Wyglądały naprawdę przerażająco. Jak szalone. ✓

Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. To nie byli żołnierze. To nasi rodacy, dzieciaki, z którymi normalnie jeździ się szkolnym autobusem, z którymi wygłupia się na miejskim basenie. I właśnie one nas teraz atakowały. To było złe, okropnie i odrażająco złe. Spojrzałam na nie z rozpaczą. Wbiłam w nie wzrok. Szukałam czegoś znajomego. Chciałam napotkać jedną przyjazną parę oczu, do których mogłabym powiedzieć: „Cześć, to tylko my! Pogadajmy. Przeszliśmy przez to samo co wy. Możemy sobie pomóc”.

Niczego takiego nie znalazłam. Tylko wściekłe spojrzenia dzikich, przerażających oczu. Jasne, w niektórych z nich zauważyłam więcej strachu niż wściekłości, ale pewnie tylko mi się przywidziało. Zresztą i tak nie było czasu się nad tym zastanawiać.

Krzyczały, żebyśmy położyli się na ziemi. Homer i Fi już leżeli. Jakiś chłopiec mierzył do mnie z karabinu tak agresywnie, tak złowrogo, potrząsając nim tak gwałtownie, jakby za chwilę miał pociągnąć za spust. Jego palec zaciskał się już na nim stanowczo zbyt mocno, więc szybko padłam na ziemię. „Boże - pomyślałam głupio - czy właśnie

taki będzie mój koniec? Zastrzelą mnie na tej bezimiennej uliczce ci sami ludzie, którym chcieliśmy pomagać?"

Leżałam na bruku. Nigdy w życiu nie było mi bardziej niewygodnie. Lufa karabinu tak mocno uderzyła mnie w tył głowy, że chyba przecięła skórę. Czyjeś ręce zaczęły mi grzebać

194

w kieszeniach. Przypominały małe szpony. Gotowałam się ze złości, wściekła na własną bezsilność.

- Odwróć się - rozkazał dziewczęcy głos, więc się odwróciłam.

Dziewczyna przeszukała kieszenie mojej koszuli.

Próbowałam coś wymyślić, znaleźć sposób na załagodzenie

sytuacji. Nie było łatwo. Usłyszałam, jak Fi mówi: „Przestań, ty mały kretynie”, a Homer: „Spokój!” Dziwne. Takie słowa kierowało się do dzieciaków w szkolnym autobusie, kiedy zaczynały się rzucać kanapkami albo robiły głupie miny do przechodniów. Nikt nie zwracał się w ten sposób do agresywnych łobuzów.

Skupiłam się na jednej ze starszych dziewczyn. Mogła mieć dziesięć, dwunastę lat. Wybrałam ją nie dlatego, że wydawała się miłsza, ale dlatego, że była dziewczyną, więc doszłam do wniosku, że zachowa się rozsądniej.

- Dlaczego to robicie? - zapytałam. - Przecież jesteśmy po waszej stronie.

- Spierdalaj - powiedziała i odwróciła wzrok.

- Nie macie nic do jedzenia? - zapytał mnie jakiś chłopak.

Po raz pierwszy któreś z nich przemówiło głosem, który można było uznać za normalny. Chłopak wydawał się bardzo młody, a jego głos brzmiał tak bezradnie i nieszczęśliwie, że zrobiło mi się go trochę żal.

Nadal leżąc na bruku, przecząco pokręciłam głową.

- Dopiero tu dotarliśmy - powiedziałam. - Mieszkaliśmy w lesie. Nie wiemy, gdzie co jest.

Pomyślałam, że jeśli uda się nawiązać z nimi rozmowę, będzie jakaś nadzieja. Że może zdołamy załagodzić sytuację.

- Musicie mieć coś do jedzenia - powiedziała dziewczyna.

Nie widziałam, jak wygląda. Stała dość daleko z tyłu.

- Nie, przysięgam — powiedziałam.

- Nie jedliśmy od trzech dni - skłamał Homer.

- Łamiecie mi serce - syknęła ta sama dziewczyna.

- Chcesz chusteczkę, bekso? - zapytał inny głos.

Byłam pewna, że właśnie tak ze sobą rozmawiają. Powstrzymywali w ten sposób małe dzieci od płaczu i okazywania słabości. W końcu przetrwali. Jak długo? Traciłam rachubę czasu, ale chyba jakieś dziesięć miesięcy, najprawdopodobniej bez opieki dorosłych. Słabość szybko by je zgubiła.

- Cały czas jesteście sami? - zapytałam. - Był z wami ktoś dorosły?

Jakiś chłopiec zaczął odpowiadać, mówiąc: „Mieliśmy parę...”, ale dziewczyna mu przerwała. Warknęła coś, co brzmiało jak „Odwrót”, ale mogło oznaczać cokolwiek. I nagle zniknęli. Może i byli niedożywieni, ale poruszali się szybko jak szczury. W jednej chwili byli tuż obok, potem usłyszeliśmy tupot, a w następnym momencie pozostała po nich tylko pusta uliczka i cisza.

Podnieśliśmy się. Fi otarła łzę i pociągnęła nosem. Homer wyglądał na wściekłego.

- Małe gnidy - powiedział. - Wszystko mi zabrały.

Wychodząc z uliczki przeszukaliśmy kieszenie, żeby sprawdzić, co straciliśmy. Potem znaleźliśmy kryjówkę na podwórku splądrowanego baru mlecznego. Dzieci zabrały Homerowi cenny scyzoryk. Fi i mnie też. Ale Homer zachowywał się tak, jakby tylko on coś stracił.

Zabrały wszystko, co miałam w kieszeniach: długopis, dwa pa-nadole w foliowej torebce, ostatni tampon, nowozelandzki kompas, zdjęcie moich rodziców, pierścionek, który dostałam od Ro-byn na dwunaste urodziny i który nosiłam w kieszeni, bo tam wydawał mi się bezpieczny. Nawet moją chusteczkę do nosa. I co najgorsze: zegarek, który babcia podarowała mi na gwiazdkę.

Zostaliśmy doszczętnie obrobieni przez zgraję dziesięciolatków.

Na wszelki wypadek poszliśmy do domu babci okreśną drogą. Nie wiedzieliśmy, czy dzieci nas nie obserwują. Nie chcieliśmy, żeby się dowiedziały o naszej kryjówce, chociaż wcale bym

196

się nie zdziwiła, gdyby już znały nasze nazwiska, daty urodzenia, grupy krwi i wyniki w szkole. Działały z przerażającą skutecznością. Zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie one urzędowały w domu mojej babci, ale uznałam, że było ich na to zbyt wiele.

Kiedy wróciliśmy i opowiedzieliśmy Lee, co się stało, na początku nam nie dowierzał, a potem złapał doła.

- Nie do wiary - powtarzał. - Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy. Nie do wiary. Boże, co z nami będzie? Nawet jeśli w końcu wygramy tę wojnę, cały kraj wyląduje w domu wariatów.

Siedzieliśmy ponuro przy stole w jadalni, skąd mieliśmy widok na ulicę. Nikt nie miał siły spierać się z Lee.

- Co teraz? - zapytała w końcu Fi. - Musimy ułożyć jakiś plan. Nie możemy tu siedzieć przez pół roku. Mamy sporo do zrobienia.

Mówiąc to, patrzyła prosto na mnie. A ja potrafiłam myśleć tylko o tym, jak bardzo się zmieniliśmy. I to na wiele subtelnych sposobów. P.w. - przed wojną - Fi nigdy nie przejęłaby inicjatywy. Zwłaszcza w obecności Homera i Lee. Zaczekałaby, aż zostaniemy same, a potem omówiłybyśmy sprawę na osobności. To taka drobnostka i dawniej pewnie nawet bym jej nie zauważyła, ale teraz zauważyłam i zrobiło mi się trochę smutno. Zmieniło się tyle rzeczy, że jeszcze bardziej kurczowo trzymałam się tego, co pozostało niezmienione.

- Moim zdaniem powinniśmy tu zostać jeszcze kilka dni - powiedziałam. - Jasne, wszyscy chcemy wrócić do Piekła, ale dopóki sytuacja się nie uspokoi, lepiej trzymać się z daleka od Wirrawee.

- Będziemy tu mieli problem z jedzeniem - zauważył Lee.

- Tak, i z bezpieczeństwem.

- No właśnie, zagrażają nam tu nie tylko żołnierze i dzicy lokatorzy, ale nawet te cholerne małe szczury.

- Z drugiej strony... - zaczął Homer.

Nie dokończył zdania i przez chwilę nie wiedzieliśmy, o co mu chodzi, aż nagle zrozumiałam i powiedziałam:

197

- A, twoi rodzice.

- Tak. Wiem, że szanse są jak jeden do miliona...

Co do tego miał rację.

- Nie musimy podejmować decyzji już teraz - powiedziałam. - Wieczorem powinniśmy znowu spróbować nawiązać łączność z pułkownikiem Finleyem. Może coś by nam podpowiedział.

- Jasne, bo to Święty Mikołaj - prychnął Lee.
- A może akurat.

Miałam na myśli to, że pułkownik nam pomoże, ale moje słowa zabrzmiały dwuznacznie.

- Stąd do Piekła jest daleko - zauważyła Fi.
- Tam mamy przynajmniej jedzenie.

-Oby.

-Jak można zdobyć jedzenie w Stratton? - zastanowił się Homer.

- Warzywa z ogródka starczą nam na tydzień. To żadne rarytasy, ale przynajmniej nie umrzemy z głodu. A im dłużej trwa lato, tym więcej warzyw będzie można zebrać.
- Super - powiedział Homer.

Nie był stworzony do wegetarianizmu.

- Tamte dzieciaki pewnie nie mają pojęcia, że w ogródkach rosną warzywa - powiedziała Fi. - Prawdopodobnie myślą, że produkuje się je na zapleczu supermarketu. W okolicy jest mnóstwo ogródków, w których moglibyśmy coś znaleźć.

Pomysł był dobry, choć w głosie Fi usłyszałam coś, co kazało mi podejrzewać, że chciałyby posadzić tamte dzieciaki przy długim stole i nakarmić je zieleniną. Przerazająca myśl.

- Przecież nie utknęliśmy w centrum Nowego Jorku - powiedziałam. - Jeśli pójdziemy wzdłuż strumienia, za godzinę znajdziemy się w lesie.
- Tak - przyznał Homer. - To prawda. Gdybyśmy na jakiś czas urządzili tu bazę, moglibyśmy coś upolować. Nie mam nic

przeciwko kilku dniom wegetarianizmu, jeśli wiem, że na mecie czeka sześć kotletów jagnięcych.

- Aż sześć?! - zawołała Fi, jakby zrobiło jej się słabo.
- Tylko że musimy znaleźć bezpieczniejszy sposób gotowania - powiedziałam. - Moim zdaniem rozsiewanie zapachu ognia w całej dzielnicy jest bardzo niebezpieczne.
- Zwłaszcza że w pobliżu są tamte dzieciaki - zauważyła Fi.
- Właśnie. Są straszne. Będziemy musieli jakoś sobie z nimi poradzić.
- Mam pomysł - odezwał się Kevin.

Omiał nie udławiłam się językiem.

- No? - podchwyciliśmy skwapliwie.

Zbyt skwapliwie. Przez chwilę myślałam, że znowu się wycofa. Ale w końcu wydusił kilka słów.

- Boucher. Hodowla pstrąga.
- Co to za miejsce? - zapytałam.

Dość często mijałam ten drogowskaz, ale nigdy nie skręcałam. Staw był oddalony od Stratton o jakieś osiem kilometrów.

- Byłam tam - powiedziała Fi.

Szkoda, że się odezwała, bo nagłe ożywienie Kevina wydawało mi się tak wielkim wydarzeniem, że wołałam, -by mówił dalej. Ale Fi przejęła pałeczkę.

- To supermiejsce. Mają tam duży staw pełen pstrągów, dają ci wędki i cały sprzęt, a ty łapiesz tyle ryb, ile chcesz, a potem patroszysz je w małej szopie, zabierasz do domu i zjadasz. Patroszenie jest ohydne, ale ładnie się uśmiechnęłam do pana Bouchera i zrobił to za mnie.

- Jesteś beznadziejna, Fi - powiedziałam.

- Typowa kobieta - mruknął Lee. - Wszystkie udajecie feministki, dopóki nie chcecie, żeby facet was w czymś wyręczył. Wtedy robicie maślane oczy, mówicie cieniutkim głosem i wkładacie krótkie spódniczki.

199

Tego typu komentarz w ustach Lee był tak oklepany i przewidywalny, że żadna z nas nie wysiliła się na odpowiedź.

- W każdym razie to dobry pomysł, Kevin - powiedziałam. - Gdyby nam się udało złowić kilka pstrągów, od razu poczulibyśmy się lepiej.

- Robisz to specjalnie, Ellie? - zapytał Lee. - Bo brzmi to strasznie sztucznie.

- Co? - zdziwiłam się.

- No, przecież wiesz. Ten głos nauczycielki z podstawówki. „To uroczy pomysł, Kevin. Mądry z ciebie chłopczyk”.

Kevin zrobił taką zadowoloną minę, że miałam ochotę mu przyłożyć.

Od dawna się nie kłóciliśmy - byliśmy zbyt zajęci - ale nadrobiliśmy te braki z nawiązką. Czasami miałam wrażenie, że Lee uwielbia się kłócić.

Poszłam na górę. Nie planowałam spać, ale kiedy położyłam się na łóżku, odpłynęłam jak w narkozie.

15

Po tej kłótni dochodziłam do siebie przez kilka dni. Normalnie nie chowam długo urazy. Ale poczułam się szczególnie zdradzona przez Lee. Uważałam, że jest mi coś winien. Szczerze mówiąc, w zasadzie myślałam, że skoro ze sobą spaliśmy, to coś znaczy. Okej, wiem, że dla chłopaków ma to mniejsze znaczenie niż dla dziewczyn - w każdym razie tak twierdzą wszyscy moi przyjaciele - ale mimo to uważałam, że powinien się zachować inaczej.

Fi też się za mną nie wstawiła. To zabolalo. Byłyśmy tylko my dwie przeciwko trzem facetom, więc myślałam, że powinnyśmy dbać o siebie nawzajem. Ja stanęłabym po jej stronie, gdyby Lee, Homer albo Kevin zaczęli jej dokuczać.

No więc jakiś czas chodziłam naburmuszona. Przeważnie robiłam coś, co było dla mnie bardzo ważne. W zasadzie nikomu nie zdradziłam pozostałych powodów, dla których chciałam zostać w domu babci. Oczywiście rozsądnie było się tam ukryć i nie próbować jeszcze wracać do Piekła. Najważniejszym powodem było jednak ogromne pragnienie, by zająć się rzeczami babci, wysprzątać jej dom, przywrócić go do przyzwoitego stanu. Oznaczało to pozbieranie wszystkich jej listów i papierów, które leżały porozrzucone po domu, wsadzenie ich do małej lodówki samochodowej i zakopanie w ogrodzie. Oznaczało to owinięcie

201

jej najlepszych ubrań w folię, którą udało mi się znaleźć - bardzo pomocne okazały się zasłonki do prysznicza - i ukrycie ich w ciemnym schowku pod werandą. Oznaczało to zebranie resztek jej biżuterii i ozdób i ukrycie ich między zwojami różowego muślinu na strychu.

Nie mogłam ukryć rozgoryczenia, patrząc na żałosny stosik biżuterii. Mieścił się w jednej ręce. Babcia posiadała wiele cennych i pięknych przedmiotów, które pewnego dnia miały trafić do mnie. Kiedy byłam mała, często je wyjmowała, wkładała na mnie i opowiadała mi ich historie. Był tam srebrny naszyjnik ze szmaragdami, perły, biała jadeitowa broszka, ciężka złota bransoletka, co najmniej dwanaście pierścionków. W jednym z nich tkwił rubin wielkości pestki brzoskwini.

Teraz wszystkie te skarby skurczyły się do kilku popsutych kolczyków, czterech bransoletek, broszki z porcelany i pustego medalionu.

Odkurzenie, zamiatanie i porządkowanie tego wszystkiego pochłonęło mnóstwo czasu i energii. Było tak dużo do zrobienia, że nie miałam czasu na odpoczynek, więc w zasadzie prawie nie widywałam przyjaciół. Zresztą kiedy się spotykaliśmy, zachowywali się podobnie jak ja: jakby się wyłączyli. Kevin naprawdę zrobił kawał dobrej roboty w ogródku: pielął, podlewał i nawoził. Fi została naszą szefową kuchni, a Homer zadziwiająco dobrze spisywał się jako jej pomocnik. Ale wszyscy często siedzieliśmy w różnych częściach domu i gapiliśmy się w pustkę. Niespodziewanie natykałam się na przykład na Homera albo na Fi, którzy bezwładnie siedzieli w fotelach i wyglądali tak, jakby przed chwilą dostali w głowę kafarem. Nie ruszali się godzinami. Ze mną było tak samo. Zwijałam się w kłębek w dużym starym fotelu z brązowej skóry, który stał przy sekretarzyku, i ssałam kciuk, gapiąc się na tapetę. Po jakimś czasie odkrywałam, że minęły trzy godziny, ale nie wiedziałam, co się z nimi stało. Może trafiły w otchłań,

202

w której zbierają się stracone godziny, do której odsyła się myśli i uczucia niepasujące do żadnej kategorii.

Dopiero po kilku dniach zdałam sobie sprawę z czegoś jeszcze: że prawie nie widuję Lee. Ja znikłam psychicznie, ale on zniknął fizycznie. Na początku myślałam, że wychodzi do ogrodu, idzie do szopy albo wchodzi na drzewo. Potem Fi powiedziała, że Lee zapuszcza się trochę dalej. Leżałyśmy skulone na szerokim łóżku w pokoju gościnnym. Było bardzo wcześnie, pewnie dopiero wpół do dziewiątej wieczorem, ale tak właśnie wyglądało nasze życie. Długie godziny warty, brak elektryczności i bezsenność kilku ostatnich tygodni - to wszystko zmieniło nas w grzecznych chłopców i dziewczynki, którzy wcześniej kładą się spać.

- Wiesz, co się dzieje z Lee? - zapytała Fi.
- Nie. Co masz na myśli?
- Trochę zdziczał. Chyba chodzi samotnie do miasta.
- Naprawdę? Po co?

Zadając to pytanie, poczułam lekkie ukłucie strachu. Znając Lee, nie chodził do miasta po to, by zajrzeć do biblioteki.

Nie czekając, aż Fi odpowie na pytanie, dodałam:

- O co mu chodzi? Chyba zrobiliśmy już tyle, że na jakiś czas powinno mu wystarczyć. Kiedy da sobie spokój? Pewnie, jak go zabiją.

Nagle poczułam tak wielką złość i gorycz, jakbym ponownie połknęła zawartość żołądka, która podeszła do gardła. Tak smakuje wojna.

- Nie możesz mieć do niego pretensji - powiedziała Fi. - Wyobraź sobie, że dowiedziałybyś się tego samego co on. O rodzicach. To zadziwiające, że jeszcze mu całkiem nie odbiło.
- Więc uważasz, że trochę mu odbiło?

- Och, nie. Po prostu... zawsze był odrobinę inny. Jasne, to wszystko, przez co przeszli jego rodzice, żeby się tu dostać, na pewno na niego wpłynęło. Byłoby dziwnie, gdyby nie wpłynęło.

203

- Zawsze wydaje się taki skupiony - powiedziałam. - Dawniej patrzyłam, jak gra na skrzypcach w szkolnej orkiestrze. Wyglądał, jakby nic innego dla niego nie istniało.

- O tak. Można dużo powiedzieć o ludziach na podstawie instrumentu, na którym grają, nie uważasz?

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam.

- Gitarzyści są wyluzowani - powiedziała Fi. - Jak hippisi albo coś w tym rodzaju. Tacy niekonwencjonalni. A wszyscy pianiści są perfekcjonistami.

- Wszyscy perkusiści to debile. Jak Matt Cohen. Po prostu lubił robić dużo hałasu. A w dodatku dzięki lekcjom gry na perkusji dwa razy w tygodniu mógł wcześniej wychodzić ze szkoły.

- Więc jacy są skrzypkowie?

Musiałam się zastanowić.

- Chyba bardzo wrażliwi - powiedziałam w końcu - i jakby poważni. Kiedy Lee grał, wydawał się skupiony i jednocześnie oddalony o miliony kilometrów.

- Nadal jesteś w nim zakochana - powiedziała nagle Fi.

Wiedziała, co robi: próbowała mnie wybadać, podpuszczała

mnie, była ciekawa, co powiem. Zamierzałam rzucić jakiś głupi, zabawny tekst, ale się rozmyśliłam. Zamiast tego poważnie się zastanowiłam. Nie myślałam o tym od wieków, nie chciałam, ale teraz

spróbowałam się zdecydować: kocham go czy nie? Kocham, nie kocham. Gdzie były stokrotki, kiedy człowiek ich potrzebował?

Po jednej stronie były jego piękne oczy i niespieszny uśmiech, długie, smukłe brązowe ciało, inteligencja i uczciwość, siła. Zarówno ta wewnętrzna, jak i zewnętrzna. Po drugiej stronie było to, że czasami potrafił być bardzo oziębły i brutalny. Nawet bardziej niż ja, a pod tym względem ostatnio nie działo się ze mną najlepiej.

204

Między tym wszystkim tkwiła też ta okropna rzecz, którą zrobiłam z Adamem w Nowej Zelandii, której tak bardzo się wstydziłam i która zdecydowanie zniechęciła mnie do chłopaków.

W każdym razie ja i Lee byliśmy za młodzi na długoletni związek. Coś takiego mogłoby się udać w dawnych czasach, w pokoleniu moich rodziców. Moja mama miała w dniu ślubu osiemnaście lat, a tata dwadzieścia trzy. Ja tak nie chciałam.

Najważniejszym czynnikiem jak zawsze była wojna. Czasami miałam wrażenie, że wszystko się do niej sprowadza. Nie mogłam się skupić na związku, gdy otaczały nas płomienie, śmierć i nienawiść. Czasami przez wiele dni nie myślałam ani o Lee, ani o nikim innym, nie marzyłam o żadnym chłopaku, nie wyobrażałam sobie siebie w niczyich ramionach i nie przejawiałam najmniejszego zainteresowania całowaniem i byciem całowaną. Przez tę inwazję miałam skończyć jako jałowa, zimna, samotna staruszka.

Teraz odwróciłam się do Fi, przekręcając całe ciało i znajdując wygodniejszą pozycję dla głowy na poduszkach.

- Może nadal go kocham. Nie mam pojęcia. Wiem, łatwo tak powiedzieć, ale naprawdę nie mam pojęcia.

- Wiesz, w pewnym sensie jesteś w dobrym położeniu. Nie masz rywalek. Jeśli Lee chce się z kimś związać, ma tylko ciebie. I chyba nadal cię lubi.

Zignorowałam ostatnie zdanie i skupiłam się na poprzednich.

- Jesteś jeszcze ty.

- O nie, dziękuję. Bardzo go lubię i uważam za jedną z najbardziej fantastycznych osób, jakie znam, ale nigdy mnie nie interesował w takim sensie.

- Może Lee i Homer dojdą do wniosku, że są gejami i zaczną ze sobą kręcić.

- Może i tak. Ale to będzie nasza wina.

- Wielkie dzięki. Więc cały jego los spoczywa w moich rękach? O życiu erotycznym nie wspominając?

205

- Myślisz, że się masturbują? - zachichotała Fi.

- No jasne. Jestem pewna, że parę razy omal nie przyłapałam Homera na gorącym uczynku. A pewnego dnia w Piekło, kiedy Kevin myślał, że jesteśmy nad strumieniem, słyszałam ciekawe odgłosy dobiegające z jego namiotu.

- To takie śmieszne. I naprawdę obrzydliwe. Nie wyobrażam ich sobie w takiej sytuacji.

Lekko się zarumieniłam i wtuliłam twarz w poduszkę. Czasami Fi zachowywała się tak, jakby przyszła na świat sto lat za późno. Należała do XIX wieku. Też mi niewiniątka. Walczyła na wojnie, zabijała ludzi, a mimo to leśny chochlik wiedział o życiu więcej niż ona.

- A co z tobą? - zapytałam, żeby zmienić temat.

Ale Fi źle mnie zrozumiała. Oderwała głowę od poduszki i zapytała:

- Chcesz wiedzieć... czy to robię?
- Nie! Nie chcę wiedzieć, czy to robisz, czy nie. Pytam, czy nadal się w kimś podkochujesz? Nadal myślisz o Mikeu?

Komandos Mike był Maorysem - a może pochodził z Samoa, nie byłam pewna - który przyleciał z nami do Australii razem z innymi Nowozelandczykami.

Głowa Fi znowu spoczęła na poduszce i jej głos się zmienił, posmutniał.

- Nie. Chyba już nigdy ich nie zobaczymy.

Przekłęta wojna. Nie było można od niej uciec. Próbowałam coś wymyślić, zmienić temat po raz drugi, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Ku mojemu zaskoczeniu Fi mnie wyręczyła.

- Ale w głębi serca kogoś kocham - powiedziała.
- Serio? Kogo?
- Przecież wiesz. Tego samego co zawsze: zawsze kochałam tylko jego.

206

- Homera? Mówisz o Homerze?

Nie odpowiedziała, co oczywiście było najlepszą odpowiedzią, jakiej potrzebowałam. Położyłam się i w myślach pokręciłam głową. Jedno musiałam przyznać: Fi była nieprzewidywalna.

- Naprawdę dalej podoba ci się Homer?
- „Mamy tylko jednego rabina, a on ma tylko jednego syna”.

Fi cytowała Skrzypka na dachu, musical, na którego punkcie obie miałyśmy fioła przez bardzo krótki czas w ósmej klasie.

- Odbiło ci - powiedziałam. - Chyba jesteś jedną z tych osób, które mają talent do wybierania sobie najgorszych chłopaków na świecie. Tak jak Sally. Założę się, że z sześć razy wyjdiesz za mąż i weźmiesz rozwód.

- Więc uważasz, że to nie wypali? Myślisz, że mu się nie podobam?

Ton głosu mojej przyjaciółki powinien był mnie ostrzec, ale jak kretyńka mówiłam dalej:

- No wiesz, moim zdaniem Homer na nikogo nie patrzy w taki sposób... To go po prostu w ogóle nie interesuje. Pewnie któregoś dnia się ocknie i kogoś poślubi, ale na pewno nie będzie to kobieta, którą zna od dawna, tylko ktoś zupełnie nowy.

Fi nie odpowiedziała. Cisza trwała mniej więcej dwie minuty. Nadal nie czułam, że powiedziałam coś złego, aż w końcu usłyszałam coś jakby kaszel przeplatany łkaniem, który dobiegał z drugiej strony łóżka. Wreszcie zrozumiałam to, co nawet półgłówek pojałby natychmiast: Fi płakała.

Przeraziłam się.

-Fi! O Boże, przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy... O nie, czasami naprawdę potrafię być głupia. Och, Fi, naprawdę aż tak go lubisz?

Nie odpowiedziała.

- Fi, nie zwracaj uwagi na to, co powiedziałam. Nie wiem, dlaczego nie zrzuciliście mnie z ciężarówki z przyczepionym do szyi

liścikiem do schroniska dla zwierząt. Fi, pamiętaj, że kiedy coś mówię, musisz myśleć: „No tak, ale to tylko Ellie, dobrze, mogę to zignorować”. Powinnaś trenować. To nie takie trudne. Sama też się nauczyłam. Więc każdy może. Serio.

- Ale masz rację, wiem, że masz rację. Właśnie dlatego płaczę.

- Nie, nie mam racji. To zwykła zazdrość. Tak długo kum-pluję się z Homerem, że nie potrafię go sobie wyobrazić z kimś innym. Z inną dziewczyną. To znaczy wcale go nie chcę dla siebie, nie w takim sensie, ale z drugiej strony nie chcę, żeby miała go inna dziewczyna.

- Mówisz tak tylko po to, żeby mnie pocieszyć.

- Jasne, że chcę cię pocieszyć, ale i tak mówię prawdę. Nie lubię, kiedy Homerem interesują się inne dziewczyny. Myślę wtedy: „Spadaj, on jest mój”. Nawet w stosunku do ciebie czuję coś takiego.

- Masz szczęście, tak dobrze się dogadujecie. Czujecie się ze sobą tak... swobodnie. Patrząc na was, żałuję, że nie mam brata.

-Wiesz co, jeśli chcesz dowodu na to, że moje słowa były kompletnie nieprawdziwe - zaczynałam zbierać argumenty -przypomnij sobie, jak się w tobie zakochał na początku, kiedy biwakowaliśmy w Piekle. Boże, roztapiał się jak... O, pamiętasz, jak włożyliśmy do mikrofalówki jajo wielkanocne?

W końcu udało mi się wydobyć z niej nieśmiały chichot. Pewnego roku musiałyśmy pomalować mnóstwo jaj wielkanocnych, więc w końcu zaczęłyśmy się wygłupiać. Jajo włożone do mikrofalówki stopiło się w obrzydliwy czarny i toksyczny płyn. Wypełniło kuchnię dymem i smrodem, który utrzymywał się wiele godzin.

Powtórzyłam Fi wszystko, co powiedział o niej Homer, kiedy czcił ziemię, po której stąpała. O tym, jaka jest doskonała, że nie jest dla niej wystarczająco dobry, i dodałam, że strasznie się czerwienił na jej

widok. A to, czego nie pamiętałam, zmyśliłam. Czułam się jak matka opowiadająca dziecku bajeczkę na dobranoc.

208

- Szkoda, że już taki nie jest - westchnęła Fi, kiedy skończyłam.
- Fi, wierz mi, te uczucia nadal w nim siedzą. Nie zniknęły. Nie trzeba wiele, by je wskrzesić.
- Tak myślisz?
- Oczywiście. Jesteś tym, czego mu trzeba. To byłoby najlepsze dla was obojga.

Czasami czuję, że marnuję swój talent. Powinnam coś sprzedawać. Zbiłabym fortunę. Szczerze mówiąc, wcale nie byłam taka pewna, czy Homer i Fi stworzyliby udaną parę - nawet pomijając moją zazdrość - ale zanim Fi zasnęła, chyba udało mi się ją przekonać, że mają przed sobą przyszłość.

Cztery godziny później wyszłam zmienić Lee na warcie. Po rozmowie z Fi byłam ciekawa, co się z nim dzieje, chciałam się dowiedzieć, co kombinuje. Ale niczego się nie dowiedziałam. Marzył jedynie o śnie i bez względu na to, jakimi słowami zachęcałam go do rozmowy, ciągle ziewał i wycofywał się między drzewa. W końcu musiałam mu dać spokój. Ale znowu zaczęłam zwracać na niego uwagę i przez parę następnych dni obserwowałam go z zaciekawieniem. Fi miała rację. Naprawdę zniknął na długie godziny, a po powrocie wydawał się wykończony. I nie tylko wykończony. Dopiero wieki później zrozumiałam, o co chodzi, lecz powoli to do mnie dotarło. Był czymś przejęty. Naprawdę coś kombinował. Był czujny, prawie tryskał energią, jak collie, który cały dzień pilnował owiec, ale myśli, że za rogami czeka następne duże stado.

Postanowiłam zapytać o to Homera.

- Jak myślisz, dokąd chodzi Lee, kiedy znika na całe godziny?

Homer wydawał się zaskoczony, ale niezbyt zainteresowany

- Naprawdę często gdzieś znika? Tak, chyba rzeczywiście masz rację, chociaż zanim o tym wspomniałaś, niczego nie zauważyłem. Ale wiesz, jaki jest Lee. Kto był samotnikiem, pozostanie samotnikiem.

209

Był to kolejny tekst zupełnie nie w stylu Homera. Przed wojną nigdy bym czegoś takiego od niego nie usłyszała.

- Wiesz, po prostu się martwię. Jeśli robi coś, co mogłoby nam zaszkodzić... Chyba powinien nam powiedzieć, dokąd chodzi.

Mówiąc to, sama się przeraziłam: zachowywałam się jak własna matka. Wojna potrafi bardzo zmienić punkt widzenia.

- Dlaczego? Co twoim zdaniem kombinuje?

- Nie mam pojęcia. Ale ma obsesję na punkcie zemsty za śmierć rodziców. Znajac Lee, można pomyśleć, że się wymyka i wysadza w powietrze fabryki.

- Wątpię. Dlaczego sama go o to nie zapytasz?

Łatwo powiedzieć. Szczera rozmowa z Lee nie była niczym łatwym. Może Homer kiedyś z nim tak rozmawiał, chociaż nie zauważyłam. W każdym razie nie łączyło ich to, co mnie i Lee. Zdecydowanie nie. Rozmowa z Homerem wcale mi nie pomogła.

Ale półtora dnia później Lee był w zaskakująco dobrym humorze, więc pomyślałam, że mogę spróbować bezpośredniej taktyki Homera. Siedzieliśmy na ławce w ogrodzie, patrząc, jak Kevin przekopuje starą rabatę i rozrzuca kompost.

- No więc gdzie się podziewasz, kiedy stąd znikasz? - zapytałam Lee.

Najwyraźniej nie miał mi za złe tego pytania. Wzruszył ramionami i odgarnął włosy z oczu.

- Tak sobie łążę.

- Tutaj niedaleko? A może po mieście? Albo poza miastem.

- Po prostu sobie łążę - powtórzył.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- I tak, i nie.

Czekałam, aż powie coś więcej. Zastanawiałam się, czy się nie pomyliłam: może jednak miał mi za złe tę ciekawość. Kusiło mnie, żeby dążyć dalej, żeby spytać: „Nie uważasz, że jak na razie zrobiliśmy wystarczająco dużo? Jesteś pewny, że nie narażasz

210

nas na niebezpieczeństwo?”. Ale uznałam, że nie przyjąłby tego najlepiej. Zamiast tego powiedziałam:

- Więc nadal coś kombinujesz, tak?

- Dlaczego nie powiesz, co naprawdę myślisz? — zapytał.

- A może ty mi powiesz, skoro jesteś takim ekspertem od mojego mózgu?

Spojrzał na mnie spokojnie. Ja już gotowałam się ze złości. A on był chłodny jak paczka miętówek.

- Myślę, że wściekasz się dlatego, że chcesz wiedzieć, co dokładnie robię, a ja nie chcę ci powiedzieć.

- Nic mnie nie obchodzi, co robisz - odparłam. - Jak dla mnie, możesz popłynąć aż do Nowej Zelandii. Ale nie powinieneś działać na

własną rękę. To nie w porządku. Mógłbyś nas narazić na niebezpieczeństwo. Co będzie, jeśli na przykład pewnego dnia nie wrócisz i przyjdzie nami cię szukać? Nie będziemy wiedzieli, gdzie zacząć. A jeśli przeprowadzisz jakąś samotną akcję, żołnierze cię wyśledzą i nagle znowu będziemy musieli uciekać, choć nie zapytałeś nas o zdanie? Co jeśli...

- Co jeśli to, co jeśli tamto... - przerwał mi zniecierpliwiony. - Mogłabyś tak cały dzień. A jeśli słońce wybuchnie? Wszyscy zginiemy. Wiem, co robię. Powinnaś dla odmiany spróbować się zająć własnymi sprawami.

Zerwał się z miejsca, pomaszerował do Kevina, złapał motykę i zaczął wściekle atakować suchą, twardą glinę na końcu ogródka.

16

Szliśmy cichą boczną uliczką otoczoną starymi domami z cegły. Rok temu były pewnie ładne i zadbane, ale teraz wyglądały na dość mocno zapuszczone. Jedno mnie jednak zaciekawiło: przykucnąwszy w cieniu różanego krzewu obsypanego mnóstwem małych żółtych kwiatków, zobaczyłam pełno owadów! Większych i mniejszych pszczoł, ważek i motyli. Os, szerszeni i kilka innych, których nie potrafiłam zidentyfikować. Kosarze podrygiwały na gałęzi krzewu. Byłam prawie pewna, że rok temu nie było tu tylu owadów. Pomyślałam, że dobrze się dzieje. Nie mam nic przeciwko kilku owadom raz na jakiś czas. Kiedy są w pobliżu, czuję, że świat nie jest jednak w aż tak kiepskim stanie. Dopiero gdy ilość owadów urasta do plagi - takiej jak ta, która dwa lata temu zaatakowała nasze pola - przestaję je lubić.

Lee dał mi znak ręką, a po drugiej stronie uliczki Homer też ruszył naprzód. Fi ubezpieczała tyły. Zostawiliśmy Kevina w domu babci. Wydawał się zadowolony z możliwości pracy w ogródku, a my musieliśmy mieć nadzieję, że będzie tam bezpieczny. Szliśmy na wieś

w poszukiwaniu jagnięcia, które miało zaspokoić głód mięsa nękający Homera.

Było jeszcze dość wcześnie, więc poruszaliśmy się bardzo ostrożnie.

212

Po powrocie zamierzaliśmy jeszcze raz spróbować nawiązać łączność z pułkownikiem Finleyem. Chcieliśmy zabrać ze sobą radio, ale pamiętaliśmy o tamtych dzieciakach. Nie mieliśmy karabinów, a gdyby dzieci znowu nas napadły i okradły - no cóż, nie mogliśmy sobie pozwolić na utratę radia.

Strach przed takimi małymi gnojkami był wkurzający, a nawet krępujący. Ale musieliśmy traktować to zagrożenie poważnie. Boże, jeszcze jak! Trzęsące się palce na spuście karabinów, odbezpieczona broń, dzikość i panika w oczach - było czego się bać.

Tamte dzieci przypominały mi horror, w którym istoty z obcej galaktyki przejmowały kontrolę nad ludźmi. Albo jedną z tych historii o odurzonych narkotykami nastolatkach skaczących z balkonów w przeświadczeniu, że fioletowe małpy pełzną im po nogach. Zastanawiałam się, czy te dzieciaki też były naćpane, ale raczej nie. Chociaż pewnie i tak bym nie poznała. Nigdy nie widziałam nikogo, kto byłby pod wpływem czegoś mocniejszego niż trawka.

Dotarłam do następnego zakrętu. Mieliśmy przed sobą kolejną wąską uliczkę, podobną do tej, w której nas napadnięto. Pozwoliłam, by moje spojrzenie uważnie się po niej przesunęło. Nie wiedziałam, kogo obawiałam się bardziej: żołnierzy czy tamtych dzieciaków.

Znowu spojrzałam na główną uliczkę, ale moją uwagę przykuło coś na ziemi. Spojrzałam w dół. Zatrzymałam się i wbiłam w to wzrok. Potem spojrzałam trochę dalej i zobaczyłam coś jeszcze. Cicho gwizdnęłam, żeby zwrócić uwagę Homera.

Kiedy chciał, Homer poruszał się szybko i cicho. Zaskakujące jak na takiego wielkiego faceta. Może w poprzednim życiu był baletmistrem.

Chociaż raczej nie.

Gdy zobaczył to co ja, zareagował identycznie. Uniósł brwi i spojrzał na mnie, a potem nagle na uliczkę.

213

- Chodźmy - powiedział. - Któreś z nich nas obserwuje.
- W porządku - powiedziałam. - Ale zamierzam odzyskać swoje rzeczy.
- No jasne. Ja też.

Ominęliśmy to miejsce i pobiegliśmy za resztą. Spotkaliśmy się pod wiatą garażową obok domu na końcu uliczki.

- Na co patrzyliście? - zapytał Lee.
- Na zdjęcie moich rodziców - powiedziałam.
- Na moją szczęśliwą króliczą łapkę - powiedział Homer.
- Na moją chusteczkę do nosa.
- Na rzeczy, które ukradły wam tamte dzieciaki?
- Właśnie.
- Więc o co chodzi? Wyrzuciły je tam?

Homer próbował rozgryźć sytuację.

- Albo spotkały się w tej uliczce, żeby podzielić łup i wyrzucić śmieci. Chyba że szykują na nas zasadzkę.
- Wątpię - powiedziałam. - To niezbyt dobre miejsce na zasadzkę.

- Czemu tego nie wzięliście? - zapytała Fi.
- Zauważyłem, że jedno z nich nas obserwuje - powiedział Homer do Lee i Fi. - Chyba mają tu gdzieś kryjówkę. Chcę je wytropić.
- Po co? - zapytała Fi.

Myślałam, że Homer odpowie: „Bo chcę je sprać na kwaśne jabłko i odzyskać swoje rzeczy”, ale on zaskakiwał mnie przez całe życie i chyba będzie to robił aż do śmierci.

- Szkoda mi tych biednych małych gnojków - powiedział.

Fi oparła się o ścianę wiaty i powachlowała dłonią.

- Homer — powiedziała - przysięgam, nigdy cię nie zrozumiem.

Ulżyło mi, że nie jestem w tym odosobniona.

214

- Więc co proponujesz? - zapytał Lee. - Mamy pójść je nawrócić? Zbawić ich dusze? Otworzyć sierociniec i otoczyć je opieką?

Ostatnio Lee często bywał agresywny.

- Nic z tych rzeczy - odpowiedział Homer. Raczej się nie zniechęcił. - Ale pomyślałem, że moglibyśmy spróbować im jakoś pomóc.
- To brzmi tak - wtrąciła się Fi - jakbyś chciał wskoczyć do klatki z lwami i zaproponować im nasze wątroby na podwieczorek.
- Słuchajcie - powiedział Homer - a może zrobimy coś takiego: zostawimy tam nasze rzeczy i pójdziemy po jagnię. Zanim wrócimy, zrobi się ciemno. Wtedy trochę się rozejrzemy. Jeśli próbują się na nas zacząć, do tego czasu na pewno zrezygnują. Prawdopodobnie ukrywają się gdzieś niedaleko. Po prostu chcę się rozeznać w sytuacji. Jeśli się dowiemy, gdzie mieszkają, będziemy mogli mieć je na oku i pomyślimy, jak je trochę oswoić. Wiem, że są niebezpieczne, ale to

wynika ze zwyczajnej złości. Musimy być ostrożni, ale nie powinniśmy tak łatwo dawać za wygraną.

To była najdłuższa przemowa, jaką Homer wygłosił od wieków. Bywały chwile, kiedy trudno go było uciszyć, ale dawno odeszły do przeszłości.

- Nie podoba mi się pomysł zostawienia jedyne go zdjęcia moich rodziców na ziemi - zaprotestowałam. - Najpierw myślałam, że już nigdy go nie zobaczę. Nie chcę ryzykować, że znowu je stracę.

- Przecież nie zadadzą sobie trudu, żeby je stąd zabrać - przekonywał Homer. - Nie będzie padało. Zdjęcie jest tutaj bezpieczne, przynajmniej dzisiaj.

- A może to my się zczaimy - zaproponował Lee. - Przegonimy je stąd raz na zawsze.

215

- Jasne - westchnął Homer. - Ale coś mi mówi, sam nie wiem dlaczego, że powinniśmy im dać jeszcze jedną szansę. Gdyby byli wśród nich twoi młodsi bracia i siostry, na pewno chciałbyś im pomóc.

Przypomniałam sobie o czymś, o czym niezbyt często myślałam: że kiedy Homer miał osiem lat, jego mama urodziła trzeciego syna, który przeżył tylko parę dni.

Dlatego go poparłam. Wyruszyliśmy za miasto, znaleźliśmy pastwisko pełne owiec i ubiliśmy śliczne, świeżutkie półrocze jagnię.

Dawniej u babci zawsze było można znaleźć ostre noże.

Prawdopodobnie pozostały jej po życiu na farmie - wszyscy rolnicy bardzo dbają o noże. Teraz w domu został jedynie nożyk do owoców i noże stołowe.

Dlatego ubój był niechlujny. Wyrzuciliśmy mnóstwo dobrych rzeczy. Byliśmy zbyt zmęczeni i ciągle kłóciłam się z Homerem, jak powinniśmy to zrobić. Chciałam zakopać wnętrzności, żeby nie dopadły ich lisy i dzikie psy, ale Fi powiedziała:

- A co się stanie, jeśli je zjedzą?

Pomyślałam, że ma rację. Była to kolejna zmiana, którą wprowadziliśmy do naszych zasad. Tata by mnie zabił.

Wróciliśmy do Stratton naprawdę późno. Uznałam, że dziecięcy gang raczej nie będzie aktywny o tej porze. Chyba nadal trzymałam się obrazu świata, w którym dzieci chodzą spać o wpół do dziewiątej. Ale gdy dotarliśmy do szerokiej alei niedaleko uliczki, w której widzieliśmy nasze rzeczy, znowu poczułam, że ktoś nas obserwuje, śledzi, że małe cienie nie odступują nas na krok. Szłam na końcu i co chwila oglądałam się za siebie. Trzy razy zauważyłam jakiś ruch, jakby dziki kot uciekł przed światłami samochodu. Wiedziałam, że dzieci mogą nas znów zaatakować, zwłaszcza że na pewno widziały Homera niosącego worek z jagnięciem. Może zauważyły kropelki krwi kapiącej na ścieżkę. Może poczuły

216

zapach świeżego surowego mięsa. Wcale bym się nie zdziwiła. Te małe dzikusy prawdopodobnie miały węch dzikiego kota albo psa.

Ale ułożyliśmy plan. Po pierwsze szliśmy rozproszeni, w odległości mniej więcej siedemdziesięciu pięciu metrów od siebie. To utrudniało zaatakowanie nas. Po drugie, poruszaliśmy się w nieregularnym rytmie, czasami pokonywaliśmy pół przecznicy biegiem, innym razem bez ostrzeżenia przechodziliśmy na drugą stronę ulicy albo szliśmy na skróty przez czyjeś podwórka. Mimo że w chwili tamtego ataku dzieci wydawały się dobrze zorganizowane, przypuszczaliśmy, że pogubią

się w sytuacji, kiedy niczego nie można przewidzieć. Za pierwszym razem ułatwiliśmy im zadanie, wchodząc w wąską uliczkę. Nie zamierzaliśmy powtórzyć tego błędu.

Odbyliśmy szybką naradę na środku stadionu. Powiedziałam reszcie, że moim zdaniem ktoś nas śledzi. Zgodziliśmy się, że nic na to nie poradzimy. Byliśmy bardzo ostrożni i mieliśmy nadzieję zostać obserwatorami, a nie obserwowanymi - myśliwymi, a nie zwierzyną. Nie potrafiłam jednak pozwolić, by zdjęcie moich rodziców nadal leżało na ziemi. Nadeszła pora, by zapomnieć o wielkich planach Homera. Szybko sprawdziliśmy pobliskie podwórko, potem Homer, Lee i Fi utworzyli kordon, a ja pozbierałam nasze rzeczy. Tworzyły małą żalostną kupkę.

Potem wróciliśmy do domu mojej babci. Dochodziła północ. Ja i Homer przez dziesięć minut próbowaliśmy nawiązać łączność z Nową Zelandią, a Lee znowu rozpałił ogień w jadalni. Ponownie ryzykowaliśmy, ale pokusa w postaci grillowanej młodej jagnięciny była trudna do odparcia.

Próba nawiązania łączności zakończyła się kląpą. Najbardziej prawdopodobne wydawało się to, że ktoś zaczął nas zagłuszać, choć nie byliśmy do końca pewni.

Napchaliśmy się poledwicą i niedogotowanymi ziemniakami. Nie, oczywiście przesadzam: kiedy człowiek przez jakiś czas głoduje,

217

najwidoczniej kurczy mu się żołądek, bo potem nie może dużo zjeść - a nawet nie chce. Dlatego zjadłam tyle, ile mogłam, a potem poszłam przejąć wartę od Fi, żeby ona też mogła się pożywić.

Kiedy do niej podeszłam, od razu powiedziała:

- Są tutaj.

- Te dzieciaki?

-Tak.

- Jesteś pewna?

- Tak. I chyba wiedzą, że ja tutaj jestem. Pewnie zwabił je zapach pieczenia.

„Jak muchy” - pomyślałam.

Kiedy Fi poszła do domu, usiadłam cicho na najniższej gałęzi drzewa pieprzowego, nasłuchując i wyęzając wzrok. Już wkrótce się przekonałam, że Fi miała rację. Wokół czały się albo bardzo duże koty, albo małej i średniej wielkości istoty ludzkie. To było dość dziwne. Czułam się niepewnie. Zastanawiałam się, czy nie moglibyśmy ich zwabić zapachem jedzenia. Jeśli Fi miała rację co do ich ignorancji w kwestii produktów spożywczych, pewnie trudno byłoby im się oprzeć polędwicy jagnięcej. Moglibyśmy je zaprosić na grilla. Wyobraziłam to sobie i ponuro się uśmiechnęłam. To byłaby dziwna impreza. Trochę inna niż te, które urządzaliśmy nad rzeką w czasie pokoju.

Elementem naszej strategii trzymania warty w takiej sytuacji był ciągły ruch, więc po chwili zeszałam z gałęzi i ruszyłam na patrol, skradając się przez ogródek. Ale noc mijała powoli. Przez tych małych gnojków nie miałam zegarka i czułam się tak, jakby od wielu godzin nikt nie przyszedł mnie zmienić. W końcu zjawił się Lee, przecierając oczy.

- Przepraszam - powiedział. - Moja wina. Padłem ze zmęczenia.

Wtedy byłam już całkiem rozbudzona i chciałam pogadać, ale Lee nie był w nastroju, więc się poddałam i poszłam na górę spać.

Potem oczywiście odkryłam, że nie mogę zasnąć. Tak wyglądała większość moich nocy. Znowu zaczęłam myśleć o tych dzieciach i po chwili - nie planując tego i w zasadzie niewiele myśląc - wstałam i znowu zeszłam na dół.

Chyłkiem przeszłam przez płot, mając nadzieję, że Lee mnie nie zauważy, a potem ruszyłam ulicą, trzymając się najciemniejszych miejsc. Po ciepłym dniu nastał orzeźwiający chłód. Przedmieścia w końcu wydawały się wolne od brutalności życia. Może nawet mali ulicznicy ze Stratton byli już w łóżkach.

Poszłam prawie prosto ku uliczce, w której znaleźliśmy nasze rzeczy. Nadal było tam cicho. Szłam bardzo ostrożnie. W połowie uliczki skręciłam w lewo. Przesuwałam się na paluszkach. Wcale nie chciało mi się spać. Wszystkie moje zmysły były wyostrzone, każda część ciała zupełnie rozbudzona.

I prawie natychmiast usłyszałam dźwięk. Przez chwilę myślałam, że to kot zawodzący w ten okropny sposób, który czasami dociera do naszych uszu. Potem zdałam sobie sprawę, że to płaczące dziecko.

Trwało to jakiś czas. Dziecko musiało być małe, ale nie płakało tak, jakby ktoś je zranił albo przestraszył. Jego płacz był jakiś taki zmęczony. Odnosiło się wrażenie, że dziecko płacze już długo, może przez całą noc. Przez całą wojnę.

Próbowałam sprawdzić, skąd dobiega ten głos. W nocy jest z tym kłopot, bo znacznie trudniej zlokalizować źródło dźwięku. W domu czasami musiałam iść za szczekaniem dzikiego psa, beczeniem wystraszonego jagnięcia albo wyciem rodzącej krowy. Noc płata wtedy figle. Tutaj, na tak zabudowanym obszarze, było jeszcze trudniej.

Po chwili doszłam do wniosku, że płacz najprawdopodobniej wydobywa się z długiego ciemnego budynku, w którym kiedyś

musiała być stajnia. Znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, z lewej strony. Ostrożnie zaczęłam iść w tym kierunku.

219

Zaledwie dwadzieścia metrów od stajni poczułam, jak coś łapie mnie za nogę. Przynajmniej takie miałam wrażenie. Zastygłam tylko na chwilę. Sekundę później tuż przede mną coś runęło. Jakby osunęła się ziemia.

Odskoczyłam do tyłu. Rozległ się potworny trzask. Stukot zmieszany z odgłosami miażdżenia, które niosły się echem po uliczce przez następne pół godziny. Po całych cholernych przedmieściach. Słyszałam to doskonale. Słyszałam to, kiedy uciekałam, by ocalić życie. Myślałam, że ten trzask mnie goni, ale nawet bez niego pędziłabym na złamanie karku. Ciągle myślałam o karabinach tamtych dzieciaków, o karabinach trzymanyh w drżących dłoniach, o szaleństwie w oczach. Nie chciałam, by te lufy jeszcze raz skierowały się w moją stronę.

Pięć przecznic dalej dałam nura na werandę małego bliźniaka i przykucnęłam za ceglany murkiem. Nie słyszałam odgłosów pościgu i choć czekałam prawie czterdzieści minut, niczego nie zobaczyłam. Siedząc tam, zrozumiałam jednak, co się stało. Te przebiegłe małe bachory zastawiły pułapkę. Pociągnęły drut, do którego przymocowały mnóstwo różnych rzeczy, więc kiedy moja noga natrafiła na drut, z góry zeszła lawina garnków, patelni i wszystkiego, co udało im się znaleźć. Sprytnie. Pułapka nie tylko ostrzegała o przybyciu intruza, lecz także dawała szansę ucieczki. Hałas tak bardzo zaskoczyłby żołnierzy, że nie od razu wbiegliby do domu. W zasadzie raczej by uciekli, tak jak ja.

Był to system wysokiego ryzyka, ale całkiem niegłupi.

Długo szłam z powrotem do domu babci, bo uciekając przed hałasem, pobiegłam w niewłaściwym kierunku. Musiałam być niesamowicie

ostrożna. W West Stratton nie widywaliśmy wielu żołnierzy, ale jeśli któryś z nich usłyszał ten raban, byli teraz bardzo czujni.

Porozumiewaliśmy się gwizdami. Jak ptaki. Wybraliśmy do tego pięciodźwiękowy gwizd z Bliskich spotkań trzeciego stopnia,

220

k v

który wydałam z siebie, podchodząc do domu babci. Na warcie stała już Fi, która zdziwiła się, widząc, jak wychodzę z ciemności.

Byłam zmęczona, ale przez chwilę rozmawialiśmy i powiedziałam jej, gdzie byłam. Prawdę mówiąc, byłam spragniona nowych ploteczek, porządnej rozmowy. Nadal miałam poczucie winy po tym, jak zasmuciłam Fi, kiedy powiedziała mi o Homerze. Nie miałam okazji się zrehabilitować. Ciągłe gnaliśmy, by wyprzedzić śmierć o krok. I choć wiedziałam, że rano będę tego żałowała, usadowiłam się obok Fi i gadałyśmy o Kevinie, o dawnych czasach, o lotnisku i o dzieciakach, które nas ograbiły. Ostatnio czułam się znacznie lepiej niż po naszej pierwszej nieudanej próbie zaatakowania bazy lotniczej. Nie dlatego, że tym razem nam się udało, ale dlatego, że stałam się trochę starsza, trochę bardziej pewna siebie, bardziej opanowana. Sytuacja wydawała się jaśniejsza. Nie było czasu na dobijające kłótnie o to, co zrobić, czy postępujemy słusznie, czy nie. Po prostu musieliśmy działać, a martwić się mieliśmy później.

Ale Fi myślała inaczej. Kiedy zaczęłyśmy rozmawiać, ku swojemu zaskoczeniu zdałam sobie sprawę, że ciężko to wszystko przeżywa - gorzej niż kiedykolwiek wcześniej. Mówiąc o lotnisku, zaczęła płakać.

- To było okropne - powiedziała. - Cała ta krew. Widziałam, jak jednemu człowiekowi odrywa nogi. Jego ciało trzęsło się i podrygiwało jak w jakimś potwornym tańcu, jego twarz się

rozmazala, upadł na ziemię i więcej go nie widziałam. A później zobaczyłam płomienie, które z sykiem pędziły po ziemi, jakby kogoś goniły, aż w końcu dopadły drugiego mężczyznę, zanim zdążył zrobić trzy kroki...

- Przestań, przestań - powiedziałam. Wskrzesała wszystkie wspomnienia, o których nie chciałam myśleć. - Przestań.

Nagle opuścił mnie dobry humor. Ale musiałam nią potrząsnąć, żeby się zamknęła. Chciała mówić o rozwalonych dżipach,

221

o tym, jak utknęła na pace ciężarówce z Kevinem, o oficerze, który na jej oczach wyciągnął pistolet i strzelił sobie w głowę na widok zbliżających się płomieni. Ja nie chciałam o tym wszystkim słuchać. Jakoś udało mi się przekonać siebie, że to było okej, że jesteśmy żołnierzami, którzy zrobili to dla rodziców, dla pułkownika Finleya, dla Iaina i Ursuli, a teraz Fi wciągała mnie z powrotem do rzeczywistości.

- Pogadajmy o czymś innym - błagałam. - Nie możemy o tym rozmawiać. Nie tutaj. Nie teraz. Zaczekaj, aż wrócimy do Nowej Zelandii, albo aż skończy się wojna. Pamiętasz, jak wieki temu w Piekło Homer powiedział, że musimy być odważni? No więc to nadal aktualne. Jeśli pozwolimy sobie zwariować, będzie po nas. Musimy wziąć się w garść.

Mówiłam tyle, bo chciałam przekonać nie tylko Fi, ale także siebie. Marzyłam o tym, by Andrea, moja terapeutka z Nowej Zelandii, nagle zmaterializowała się obok nas, żebym mogła się wyzalić przed kimś, kto rozumie.

Fi się uspokoiła, ale nic więcej nie powiedziała. Po prostu siedziała i wyglądała żałośnie.

- Nie chciałam, żebyś całkiem się zamknęła - powiedziałam. - Chcę pogadać. Ale nie o tych wszystkich strasznych rzeczach. Nie obchodzi mnie, o czym, byleby nie o tamtych sprawach.

- Aha - powiedziała. - Wiem, że podobne rzeczy działy się w innych krajach, kiedy dorastałyśmy: Timor Wschodni, Irian Jaya, Tybet. Przejmowałam się tym, naprawdę. Ale jest całkiem inaczej, kiedy sama w tym uczestniczysz, kiedy to widzisz. Albo kiedy ktoś krzywdzi i zabija twoją rodzinę i przyjaciół. Tamte dzieci. Homer ma rację, powinniśmy im jakoś pomóc. Tak jak powiedział, mogliby być naszymi braćmi i siostrami.

Ucieszyłam się, że dała mi okazję do zmiany tematu.

- One całkiem zdziczały - powiedziałam. - Myślisz, że możemy coś dla nich zrobić?

222

■

g

- A po co tam poszłaś, skoro nie widziałaś takiej szansy?

- Nie jestem pewna. Po prostu o nich myślałam i nie mogłam zasnąć. Może gdybyśmy wiedzieli coś więcej, moglibyśmy zdecydować, czy warto próbować.

- Poczułam się strasznie, kiedy tamten mały zapytał, czy mamy coś do jedzenia - powiedziała Fi. - Miałam ochotę go podnieść i przytulić.

- Fi, przecież te dzieci na nas napadły!

- Wiem. Ale wydawały się takie zrozpaczone. Myślisz, że naprawdę umierają z głodu?

- Rzeczywiście wyglądały na głodne. Kiedy jedliśmy jagnięcinę, pomyślałam, że moglibyśmy im trochę oddać. Może po takim prezencie by nam zaufały i uwierzyły, że chcemy im pomóc. W domu raz na jakiś czas dokarmałam oposy, ale i tak działało. Wiedziały, że ich nie skrzywdzę.

- Czy to nie dziwne, że Nowozelandczycy nie cierpią oposów? - zapytała Fi. W końcu trochę się uspokoiła.

- Tak, mnie też to zaskoczyło, a potem się dowiedziałam, że w Nowej Zelandii ich nie ma. Zaimportowali je. Tak jak my lisy i króliki.

- Więc dlaczego nie zaniósłaś tym dzieciom trochę jagnięciny? - zapytała Fi. - Ja chyba bym zaniósła.

- Bo są tak szalone, że gdybyśmy podeszli do ich kryjówek w ciągu dnia, najpierw by strzelały, a potem zadawały pytania. A po tym, jak dziś napędziłam im stracha, nie wiem, czy kiedykolwiek pozwolą nam się zbliżyć.

- Może nie wiedzą, że to ty.

- Może.

Naprawdę chciało mi się spać, ale posłałam Fi do łóżka i przejęłam wartę. Był środek lata, więc poranki stawały się dłuższe i bardziej powolne. Miło było patrzeć, jak szare światło stopniowo robi się pomarańczowe, potem różowe i czerwone. O świcie

223

temperatura bardzo spadała, aż w końcu zaczynałam dygotać z zimna, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Wiedziałam, że później, kiedy zrobi się naprawdę gorąco, wspomnę ten przenikliwy chłód i w ten sposób się orzeźwię. Gdy tylko weszło słońce, powietrze zaczęło wysychać i poczułam pierwsze lekkie łaskotki ciepła.

Zrozumiałam, że chyba musimy spróbować pomóc tym dzieciom, bo inaczej sami oszalejemy. Może gdyby udało nam się zrobić coś dobrego, coś pozytywnego, rozrzedzilibyśmy wspomnienia tamtych chwil, tamtych strasznych chwil, o których wspomniała Fi.

17

Czas się zatrzymał. Nie mogliśmy uzyskać łączności z pułkownikiem Finleyem i przypuszczaliśmy, że ktoś zagłusza fale radiowe. A ponieważ nie mieliśmy żadnych pilnych spraw, żadnych pilnych zadań, zapadliśmy w coś w rodzaju śpiączki. Andrea na pewno umiałaby wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Pewnie nie była to żadna wielka zagadka.

Doszłam do wniosku, że za tydzień moglibyśmy pomyśleć o powrocie do Piekła. Do tego czasu musieliśmy czekać.

Sytuacja miała swoje plusy i minusy. Stan Kevina zdecydowanie się poprawiał. Nasz przyjaciel częściej się odzywał, czasami się uśmiechał, rzucił kilka czerstwych dowcipów, z których śmialiśmy się jak z jakiegoś fantastycznego amerykańskiego sit-comu. Wyglądało na to, że za traktowanie Kevina z góry dostało się tylko mnie. Nadal lubił pracować w ogródku warzywnym, a do tego zajrzał do kilku sąsiednich ogrodów i znalazł kolekcję warzyw, którym udało się przetrwać.

Skorzystaliśmy z jego sugestii dotyczącej hodowli pstrąga. Pomysł okazał się wspaniały. Staw Bouchera był cholernie daleko, ale wyruszyliśmy tam w przyjemną ciepłą noc i gdy już udało nam się bezpiecznie wymknąć ze Stratton, odprężyliśmy się i cieszyliśmy świeżym powietrzem pól.

225

Okręg Stratton nie został tak mocno skolonizowany jak okręg Wirrawee. Homer przeżył w związku z tym ogromny zawód, bo nadal

marzył o tym, że idąc którąś z dróg, natknie się na swoich rodziców. Nie widzieliśmy jednak żadnych śladów grup roboczych. Problem polegał na tym, że okręg Stratton obejmuje setki kilometrów kwadratowych, więc tak naprawdę Homer był niewiele bliżej rodziców niż wtedy, kiedy siedzieliśmy w Piekło. Mógł liczyć co najwyżej na przypadkowe spotkanie. W zasadzie tylko na przypadkowe spotkanie.

Jestem przekonana, że brak osadników wiązał się z ogromnymi zniszczeniami, których doświadczyło Stratton podczas licznych nalotów. Nie licząc kilku ostatnich miesięcy, kiedy nowozelandzkie siły powietrzne zostały uziemione, Stratton dostawało tęgie lanie. Minęliśmy wiele zbombardowanych bloków na przedmieściach i nawet poza miastem były ogromne leje po bombach, które nie trafiły w cel.

W pewnej chwili w rogu kolejnego pastwiska zobaczyliśmy ciemną sylwetkę zestrzelonego samolotu. W słabym świetle księżyca nie umieliśmy rozpoznać, czy samolot był ich, czy nasz, ale i tak ominęliśmy go szerokim łukiem. Nie było sensu podchodzić. Prawdopodobnie nie stanowił zagrożenia, ale nie chcieliśmy znowu oglądać śmierci i potwornych rzeczy.

W budynkach otaczających farmę Bouchera też było ciemno, więc podeszliśmy do nich bardzo ostrożnie, poruszając się z prędkością centymetra na minutę. Tego rodzaju miejsce mogło zainteresować osadników. W zasadzie nawet nie sprawdziliśmy, czy przypadkiem ich nie ma, bo nie musieliśmy zaglądać do głównego budynku. Fi i Kevin od razu zaprowadzili nas do szopy, w której trzymano sprzęt wędkarski, i wybraliśmy wędkę. Większość tych dobrych zniknęła, ale zostało kilka starych kijów i żyłek. Kevin przyniósł ładną kolekcję

dżdżownic, białych larw i świerszczy z ogródka mojej babci. Mój tata kręciłby nosem - łowił na muchę i uważał, że inne sposoby to oszustwo - ale nie byliśmy w nastroju do wybrzydzenia.

Nie wiedziałam, czy w stawie zostały jakieś pstrągi ani czy będą brały w środku nocy, ale chyba czuły głód, bo pierwszy rzucił się na mój haczyk z taką siłą, że upuściłam wędkę. W ciągu dwudziestu pięciu minut wyciągnęliśmy dziesięć ryb i śmialiśmy się tak głośno, że gdyby w domu byli jacyś osadnicy, na pewno by nas usłyszeli.

- To chore - powiedział Homer, kiedy Kevin wyciągnął dziesiątą rybę.
- Nigdy ich wszystkich nie zjemy. I nie mamy lodówki. Powinniśmy dać sobie spokój i wrócić następnym razem, skoro już wiemy, że tu są.

Zgodziliśmy się, ale atmosfera i tak się zepsuła w wyniku kłótni o to, gdzie i jak przyrzadzić ryby. Ja uważałam, że najbezpieczniej będzie rozpaść ognisko na środku pola. Lee mnie poparł, ale pozostali chcieli to zrobić w domu mojej babci. Ja i Lee wygraliśmy, lecz klimat trochę siadł.

Pstrągi były piękne. Przyniosłam mnóstwo folii aluminiowej -jedynej rzeczy, której u babci było mnóstwo - oraz sól i przyprawy, więc najszybciej, jak się dało, zredukowaliśmy ogień do rozżarzonych węgielków i upiekliśmy ryby w folii. Mięso odchodziło od ości, a smak okazał się ostry i wyrazisty. Kiedy się napcha-liśmy, zostało jeszcze tyle, że mogliśmy zabrać do miasta przyzwoity zapas.

Mimo kłótni był to jeden z lepszych wieczorów. Na wojnie dobro ciągle ustępowało pod naporem zła, ale taka noc jak ta dodawała nam sił. W powietrzu dużo się działo: odrzutowce śmigały tam i z powrotem. Niektóre nasze, inne ich. Wyglądało na to, że walka jest zdecydowanie bardziej wyrównana niż

dotychczas. Ale pewnej nocy przeleciał nad nami cały dywizjon samolotów. Nie wiem, po czyjej były stronie, ale było ich mnóstwo. Duże samoloty leciały dość wolno, więc chyba były bombowcami. Miałam nadzieję, że należą do Nowej Zelandii. Przypomniały mi się tamte chwile w górach, kiedy biwakowaliśmy w Piekle i usłyszeliśmy pierwszą falę obcych samolotów, nie zdając sobie sprawy, że zaczyna się inwazja. Może to była pierwsza fala samolotów, które miały odbić naszą ziemię. Wiem, że Nowozelandczycy starali się o nowe samoloty od Stanów Zjednoczonych.

Stratton nie zostało ponownie zbombardowane, pewnie dlatego, że nie było już czego niszczyć. Miasto wydawało się prawie doszczętnie zrujnowane, a idąc wzdłuż Melaleuca Drive, gdzie rozciągały się najważniejsze tereny przemysłowe, trzeba by mieć dużo szczęścia, żeby znaleźć chociaż jedną całą cegłę.

Nasza „martwica”, jak nazwała ją Fi - bo chodziliśmy jak ogłuszeni, nie robiąc nic poza spaniem, rozmawianiem, poszukiwaniem jedzenia i chodzeniem na zwiady - trwała tydzień, a potem jeszcze trochę. Nie widzieliśmy żadnych żołnierzy i dbaliśmy o to, by nie dawać dzieciakom okazji do ponownego schwytania nas w pułapkę. Od czasu do czasu mignęło nam któreś z nich, ale kiedy mówię „mignęło”, mam na myśli głównie nocne wrażenie, że nie jesteśmy sami, że ktoś nas śledzi albo obserwuje. Tylko dwa razy udało mi się im przyjrzeć.

Za pierwszym razem po południu zobaczyłam chłopca wychodzącego przez okno eleganckiego białego domu w połowie wzgórza w Winchester Heights. On też mnie zobaczył, ale nie mógł się już cofnąć, bo prawie cały był na zewnątrz. Zawahał się chwilę, a potem skoczył. Następnie z ogrodu wyszło troje innych dzieci i wszystkie uciekły. Chyba na niego czekały. Ale biegły, jakby się

mnie bały, jakby myślały, że je zastrzelę, bo rozproszyły się i pędziły zygzakiem, tak jak czasami my.

Żadne z nich się nie obejrzało.

Pomyślałam, że włamywanie się do domów w Winchester Heights to szaleństwo, bo wokół zawsze kręcili się jacyś ludzie.

Za drugim razem było odwrotnie - nie wychodziły z budynku, lecz do niego wchodziły. Był to stary bar mleczny przy Railway Road, który już dawno ograbiono ze wszystkiego. Ale o zmierzchu zobaczyłam coś, co wyglądało jak wysoki chudzielec włączający do środka. Kiedy się przyjrzałam, zobaczyłam, że to chłopak trzymający na ramionach małe dziecko. Tym razem mnie nie widzieli.

Czekałam chwilę, ale nie wyszli, więc podkrađłam się trochę bliżej, uważając na pułapki. Coś w sposobie, w jakim weszli do środka, kojarzyło się z powrotem do domu: chyba odprężony krok tamtego chłopaka, nawet mimo ciężaru niesionego na plecach. Od czasu do czasu słyszałam głosy, w pewnej chwili śmiech, a znacznie później najbardziej nieznośny dźwięk: niekończący się płacz małego dziecka, które mimo braku konkretnego powodu i tak nie zamierza ucichnąć. Nie wiem, czy to było to samo dziecko, które słyszałam wcześniej niedaleko starych stajni, ale byłam pewna, że znalazłam ich nową kryjówkę.

W ramach eksperymentu spróbowałam im podrzucić trochę jedzenia, tak jak wcześniej mówiłam Fi. Nie zostawiłam go zbyt blisko baru, bojąc się, że spanikują, jeśli pokażę, że wiem, gdzie się ukrywają. Położyłam jedzenie przy następnej przecznicy, na środku chodnika, gdzie trudno było go nie zauważyć. Musiałam je ochronić przed oposami, więc przykryłam to żółtym pojemnikiem Tupperware z babcinej kuchni i dodałam karteczkę z napisem: „JEDZENIE - CZĘSTUJCIE SIĘ”.

Nie było to nic wielkiego, tylko ziemniaki, pieczona jagnięcina i trochę fasolki, którą ugotowałam noc wcześniej na półtwar-do. Gdy wróciłam tam rano, ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu okazało się, że jedzenie jest nietknięte. Za drugim razem było tak samo. Poddałam się i wszystko zabrałam. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego dzieci nie chcą jeść.

18

Minął tydzień i większość następnego - łącznie dwanaście dni, które spędziliśmy w stanie zawieszenia. Stratton wydawało się dość spokojne. W końcu pewnego dnia po południu Nowozelandczycy zaczęli bombardowanie, ale po drugiej stronie miasta. Nie wiedzieliśmy, co było ich celem.

W West Stratton nadal było ciemno nocą i cicho w ciągu dnia, inaczej niż na przedmieściach bliższych miastu. Czasami ulicą przemknął jakiś pojazd, ale prawie w ogóle nie widywaliśmy pieszych patroli. Ta cisza powinna była mi się podobać. Nie wiedzieć czemu zaczęłam jej jednak nienawidzić. Nienawidzić jej i bać się. Na ulicach panował wielki spokój, a w nocy wielka ciemność. To było miasto duchów. Normalnie słyszy się w tle dźwięki, z których nawet nie zdajemy sobie sprawy: szum ulicy, warkot kosiarek, chichot dzieci, pogawędki sąsiadów, tupot przechodniów. Ludzie nawołują się nawzajem. Telewizory mruczą, sprzęt muzyczny brzęczy, piszczą telefony. Nawet taka wieśniaczka jak ja zna odgłosy przedmieść.

Ale teraz panowała tam cisza. W każdym razie przez większość czasu. Oczywiście robiliśmy trochę hałasu - i to było w porządku. Ale poza tym całe przedmieścia wydawały się odcięte od świata, zamknięte w szczelnej kapsule.

231

Czasami, w pewnych okolicznościach, nawet lubię samotność. Samotność i ciszę. Ale tam było inaczej. Ta cisza wydawała się całkiem pusta. Jakby nastąpił koniec świata. Oczywiście nie było końca świata. Skończył się tylko nasz świat. Czasami myślałam, że to będzie trwało w nieskończoność. Czasami stawałam na schodach z tyłu domu i nasłuchiwałam, prawie błagając

0 hałas, o znak życia.

Nie wiem, jak tamte dzieciaki mogły znosić to tak długo i nie oszaleć. Może oszalały. A może były w West Stratton od niedawna.

Nie widzieliśmy śladu innych dzikich lokatorów, więc w końcu doszłam do wniosku, że to dzieci obozowały w domu mojej babci i któreś z nich rzuciło pogrzebaczem. Zdecydowanie były do tego zdolne. Czasami się wkurzałam, że musimy się bać takich małych gnojzków. Czułam się urażona, obawiając się ataku ze strony dzieci. Ale kiedy złość przechodziła, robiło mi się rozpaczliwie żal tych dzieciaków i bardzo się o nie martwiłam. Jestem pewna, że gdyby byli z nimi jacyś dorośli, nie pozwoliliby im tak zdziczeć. Bałam się, myśląc o tym, na jakich ludzi wyrosną. Czy kiedykolwiek przywykną do normalnego życia? Jak zdołają się nauczyć pokoju, chodzenia do szkoły, okazywania przyjaźni. Szczerze mówiąc, większości tego, co wiedziałam o życiu, nauczyłam się od rodziców. Nie, nie sadzali mnie przed sobą

1 nie dawali wykładów. Może w niektórych rodzinach tak jest, może mają rodzinne narady albo coś w tym rodzaju, ale to nie było w naszym stylu. Uczyłam się, patrząc i słuchając. Chłonie się to z mlekiem matki, z pierwszej butelki soku pomarańczowego, z pierwszym syropem cytrynowym domowej roboty rozcieńczonym wodą ze zbiornika, z pierwszymi łyżkami piwa, którym w żartach częstuje cię tata, z pierwszymi łyżkami wina, którego pozwala spróbować mama, z kubkami herbaty wypijanymi przy kuchennym

stole, gdzie możesz się wyluzować i opowiedzieć, co cię dziś spotkało, usłyszeć, że nazajutrz musisz przegonić małe

232

stado z One Tree, zastanowić się, dlaczego pana Rodda zostawiła żona, dowiedzieć się, że tata zdobył prawo jazdy w wieku siedemnastu lat, po tym jak zaprosił sierżanta Braithwaitea do pubu na browara po pracy, oraz sprzeczać się o to, czy randap niszczy chwasty lepiej niż sprayseed.

Tego typu rzeczy. Po prostu się ich uczysz.

Ale jak miały się ich nauczyć te dzieci? Przecież nie biegając jak dzikusy po ulicach Stratton, cuchnąc miesiącami życia bez opieki, z zasmarkanymi nosami i brudnymi buziami. Przecież nie atakując ludzi, którzy mogli być ich przyjaciółmi, którzy mogli im pomóc. Przecież nie kradnąc. Przecież nie czując, że śmierć może czyhać za następnymi drzwiami albo po drugiej stronie ulicy.

Zaczęłam myśleć, że szkody wyrządzone naszemu krajowi, nam samym, sięgnęły zbyt głęboko i nigdy nie uda się ich w pełni naprawić. Zrozumiałam, że najgorsze straty to nie zbombardowane budynki, spalone samochody, wybite szyby w oknach. Nawet nie zaniedbane gospodarstwa, dziury w ogrodzeniach i niezebra-ne plony. Najgorsze było zniszczenie w głębi nas samych. Takie słowa jak duch i dusza nabrały dla mnie większego znaczenia. Czułam, że jestem bliższa Robyn niż kiedykolwiek wcześniej -o ile to w ogóle możliwe. Ona wiedziała, że istnieją rzeczy gorsze niż rany i śmierć. Jeśli twój duch i twoja dusza ulegną nieodwracalnemu zniszczeniu, co ci przyjdzie z tego, że nadal możesz reagować na bodźce, oddychać, wydalać i spełniać wszystkie inne funkcje istot żywych opisane w czwartym rozdziale podręcznika do biologii dla dziewiątej klasy?

Musieliśmy zacząć leczyć niektóre rany. Może nie byliśmy w stanie pomóc dzieciom, ale musiałam spróbować uniknąć zbyt wielkich

szkód, które mogły mnie zniszczyć po tym, co się stało. Po tym, co zrobiłam z Adamem w Nowej Zelandii - albo po tym, co on zrobił mnie. Takie sprawy mogłam kontrolować i powinnam była kontrolować. W przyszłości musiałam się trochę

233

bardziej postarać. Żałowałam, że nie wiem więcej o religii i Kościele. Tak wiele znaczyły dla Robyn, dawały jej tyle siły. Zazdrościłam jej tego.

Rozmyślając o tym wszystkim, doszłam do wniosku, że pora zacząć okazywać Lee więcej troski. Nigdy nie patrzyłam na niego w ten sposób. A może powinnam. Słowo „troska” brzmi zabawnie w odniesieniu do Lee, ale chyba pod pewnymi względami właśnie tym się teraz zajmowaliśmy. Troszczyliśmy się o siebie nawzajem. Chociaż nie zawsze troszczyliśmy się o siebie samych. Lee zdecydowanie o sobie nie dbał i muszę przyznać, że ja też czasami się trochę zaniedbywałam.

Dlatego zaczęłam się starać o poprawę atmosfery. Włożyłam do wazonów kilka kwiatów i porozstawiałam je w różnych punktach domu. Zrobiłam nalot na kilka drzew owocowych rosnących w sąsiedztwie i przygotowałam sałatkę owocową. Tego typu rzeczy. W pewnym sensie czułam się bardzo dziwnie, robiąc coś takiego w środku strefy działań wojennych. Ale na tej wojnie nie obowiązywały żadne zasady. Ustanawialiśmy je na bieżąco. To wszystko wydawało się surrealistyczne, ale trzeba było jak najszybciej się z tym pogodzić, bo inaczej wpadało się w tarapaty.

Poza tym zaczęłam więcej mówić, co pewnie brzmi dziwnie, ale pod ciężarem problemów Kevina oraz po strachu i gwałtownych emocjach związanych z atakiem w bazie lotniczej, w zasadzie prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Teraz, w stosunkowo bezpiecznym domu babci, robiliśmy to częściej, ale i tak zbyt rzadko. Wcześniej bez przerwy

rozmawiałam z Fi. Ostatnio czasami odświeżałyśmy ten zwyczaj, a Homerowi zdarzało się pogadać z Lee. Zaczęli się bardzo szanować Z Kevinem w zasadzie nikt nie rozmawiał.

Dlatego próbowałam być bardziej otwarta. Pamiętam, że kiedyś Robyn powiedziała: „Mówienie o sobie może być przejawem egoizmu albo szlachetności”. Gdy zapytałam, co to znaczy,

234

wyjaśniła: „Jeśli nigdy nie mówisz o sobie, o swoich problemach i tak dalej, jesteś egoistką, bo nie dajesz przyjaciołom szansy, by ci pomogli. A jeśli gadasz o sobie bez przerwy, jesteś samolubna i nudna”.

Nadal miałam jednak w pamięci napaść Lee, który mi zarzucił, że traktuję Kevina z góry. Powiedział, że mówię jak pani z podstawówki czy coś w tym rodzaju. Aua. Robyn była dobra, ale nie robiła z tego wielkiego halo. To znaczy nie była dobra zawsze i wszędzie - o nie - ale kiedy była dla kogoś miła, przychodziło jej to naturalnie. Mnie nie zawsze się to udawało. Może dlatego, że nie byłam miła z natury. Miałam nadzieję, że jednak nie dlatego.

Próbuję powiedzieć, że nie zmieniałam się w Pollyannę ani w uchodźcę z serialu Brady Bunch. Nie łąziłam w kółko, pytając wszystkich: „Cześć, jak się dzisiaj czujecie, prawda, że życie jest piękne?”. Aż taka głupia nie jestem. Po prostu próbowałam nie myśleć wyłącznie o sobie. I tyle.

19

>

Pewnego dnia nagle zjawili się żołnierze na motorach. Przerazili mnie. Krążyli w czteroosobowych grupach, zagrażając nam w sposób, w jaki nie mogły nam wcześniej zagrozić żadne patrole samochodowe i piesze. Po pierwsze, byli bardzo szybcy: nagle wyskakiwali na końcu

ulicy. Po drugie, bardzo sprawnie się przemieszczali, mogli wjechać na podjazd, przeciąć trawnik albo ogródek. Po trzecie, byli zawodowcami.

Przejeżdżali przez West Stratton co dwa, trzy dni i nauczyliśmy się ich bać. Na szczęście płot otaczający ogródek za domem był wysoki i solidny, więc od strony ulicy albo z podjazdu nikt nie mógł zobaczyć, że wysprzątaliśmy działkę. Porządek okazałby się naszym wyrokiem śmierci, gdyby kiedykolwiek zsiadli z motorów i weszli głębiej. Efekty pracy Kevina wyglądały bardzo podejrzanie. Od razu zaczęliśmy je zakrywać, przyrzucając glebę liśćmi, jakby od miesięcy wiał wiatr, wsadzaliśmy zgniłe warzywa z powrotem do ziemi, by ukryć młode rośliny, wyciągaliśmy tyczki i pozwalaliśmy pnączom opaść z powrotem na ziemię. Poza tym stworzyliśmy domowej roboty system bezpieczeństwa: sznurek ciągnący się od drzewa do okna w kuchni, dzięki któremu osoba stojąca na warcie mogła zaalarmować resztę. Gdy zjawiał się patrol, mieliśmy tylko pół minuty, żeby się ukryć - tacy byli szybcy.

236

Czułam, że wojna znowu nas dosięga. Postanowiliśmy, że nie będziemy więcej dzwonić do pułkownika Finleya. Próbowaliśmy uzyskać połączenie przez cztery noce z rzędu, potem dwie opuściliśmy i próbowaliśmy przez dwie kolejne, aż w końcu daliśmy sobie spokój. Decyzja o zaprzestaniu tych prób nas przeraziła, ale jeszcze bardziej przeraziłyby nas dalsze próby. Słyszeliśmy jedynie trzaski, dziwne trzaski, zupełnie nieprzypominające tych normalnych. Jak dla mnie brzmiały zbyt elektronicznie. Ogarniała mnie jeszcze większa paranoja niż zazwyczaj.

Myślę, że moje starania o większe zaangażowanie i otwartość przyniosły jakieś skutki. Homer stwierdził, że łatwiej się ze mną

dogadać. Może wszyscy się starali. Mimo nowych problemów częściej żartowaliśmy i rozmawialiśmy o sprawach nie-związanych z wojną. Słyszając słowa Homera, poczułam ogromną ulgę.

Ale jedno się nie zmieniło. Lee nadal wymykał się nocą. Wcale mi się to nie podobało. Nie podobały mi się moje obawy o to, co może się dziać, co Lee może robić. Intuicja podpowiadała, że Lee pakuje się w kłopoty, że za bardzo zbliża się do krawędzi, ryzykuje własnym życiem, a może jeszcze czymś.

Nie znikał co noc, tylko co drugą albo trzecią. Czasami wracał wyczerpany, czasami markotny i spięty, czasami zadowolony z siebie. Ale zawsze wyczuwałam tę czujność, jakby ukrywał coś ważnego. Bez względu na to, w jakim nastroju wracał, chodziłam niespokojna. Przyśniło mi się, że jest panterą, która wyskakuje spomiędzy drzew i porywa małe dzieci, zarzucając je sobie na grzbiet, a potem ucieka. Kiedy się obudziłam i leżałam, wspominając ten sen, nie mogłam się zdecydować, czy je ratował, czy może chciał pożreć.

Tak naprawdę bałam się oczywiście tego, że przypuszcza samotne ataki na żołnierzy wroga. Gdzieś w mrocznym zakamarku duszy wyobrażałam sobie, że jest cichym zabójcą, który

237

kraży po ulicach i brutalnie atakuje ludzi od tyłu: niebezpieczna pantera.

Dlatego zaczęłam go śledzić. Nie jak detektyw. Chyba nie minę się z prawdą, jeśli powiem, że wcale nie próbowałam wściubiać nosa w jego sprawy. Chodziło raczej o to, o czym wspomniałam: Lee nie miał już rodziców i dlatego starałam się - nie chcę tego powiedzieć, ale muszę - starałam się go chronić.

Poszłam za nim trzy razy. Dwie pierwsze próby zakończyły się kląpą. Zgubiłam go: raz, kiedy pozwoliłam, żeby za bardzo się oddalił, a

drugi raz, kiedy mały konwój ciężarówek odciął mi drogę i musiałam zaczekać, aż przejedzie. Zanim zniknął, Lee już nie było.

Za trzecim razem stało się inaczej. Noc była chłodna i bezchmurna, odświeżająca po długim gorącym dniu. Nic nie zapowiadało burzy, w którą się pakowałam. Lekki wietrzyk muskał mi twarz, szeptał, tylko że nie rozumiałam o czym. Lee był cieniem w oddali, ruchem między budynkami, jakimś cudem przestał być człowiekiem, a już na pewno nie był tą osobą, którą tak dobrze poznałam w ciągu tego długiego roku. Nie miałam pojęcia, dokąd idzie. Niczego nie podejrzewałam. Poprzedniej nocy, gdy na ulicę dotarł pierwszy warkot konwoju, wydawał się obojętny. Nawet się nie rozejrzył. Po prostu przyspieszył kroku i zniknął w ciemnym podwórku na końcu ulicy. Nie wiem, dokąd poszedł później, ale gdyby toczył prywatną wojnę partyzancką, na pewno przyjrzałby się ciężarówkom jadącym w konwoju.

Ale nie. Nie przyjrzał się.

Tej nocy nie przejeżdżał żaden konwój. Szliśmy inną drogą niż poprzednio, ale sześć przecznic dalej zrozumiałam, że zmierzamy w tym samym kierunku. Na Halliday Road, będącej jedną z głównych dróg wyjazdowych z miasta, skręcił w prawo i ruszył ku polom. Pokonaliśmy już parę kilometrów i zaczęłam się

238

zastanawiać, ile potrwa ta wycieczka. Tak czy siak, od razu było widać, że Lee zmierza do konkretnego celu. Nie chodziło mu tylko o to, żeby się przespacerować.

Pokonaliśmy jeszcze dwa kilometry. Zaczynałam się obawiać, że na płaskim terenie usłyszy mnie albo nawet zobaczy, jeśli się obejrzy. Z drugiej strony, teraz mogłam sobie pozwolić na zwiększenie odległości, dzięki czemu było łatwiej. Wystarczyło, że widzę tylko niewyraźny zarys jego sylwetki, małą smugę człowieka odbijającą się w moich źrenicach. Co jakiś czas rozlegał się dźwięk, szurnięcie

nogi na mokrej pochyłości albo chrzęst luźnego żwiru. Miałam nadzieję, że nie wywołuję żadnych odgłosów, które mógłby usłyszeć, i że nikt inny nie słyszy odgłosów wywoływanych przez Lee.

Kiedy w końcu skręcił, uszy dały mi odpowiedź. Usłyszałam miękki odgłos jego butów na asfalcie. Zatrzymałam się i szybko spojrzałam w górę. Byłam bliżej Lee, niż przypuszczałam, i musiałam znowu się schować, żeby mnie nie zauważył. Szybko przeszedł na drugą stronę drogi, a potem otworzył bramę i wszedł na pastwisko.

Zamknął bramę za sobą. Wyglądało na to, że dobrze zna ten teren. Od razu było widać, że już tutaj bywał. Po co? Gdyby grasował poza miastem, atakując i zabijając, nie przychodziłby przecież w to samo miejsce. I znacznie bardziej by na siebie uważał, częściej by się rozglądał, co jakiś czas przystawałby i czekał. Wydawał się niebezpiecznie pewny siebie.

Prześlizgnęłam się przez bramę. Widniał na niej napis „Ka-ren Downs”, więc najwidoczniej była to czyjaś posiadłość. Zdziwiłam się, bo w szkole mieliśmy koleżankę o takim nazwisku. Zawsze dawała mi baty w komputerowej wersji Scrabblea. Ta zbieżność nazwisk na chwilę odwróciła moją uwagę, a kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam, że Lee znowu zniknął mi z pola widzenia. To było strasznie dobitające. Kilka sekund wcześniej

239

szedł w stronę prześwitu w długim rzędzie sosen - naturalnego wiatrochronu - a teraz zniknął w ciemności. Nie wiedziałam, czy stoi między drzewami, czy może skręcił w prawo albo w lewo. Mógł też pójść prosto między drzewami i być już na sąsiednim pastwisku.

Przystanąłam na chwilę, patrząc i czekając. Nie zauważyłam żadnego ruchu, więc podeszłam bliżej, wolno i ostrożnie, trzymając się jak najbliżej ziemi, żeby nie rzucać się w oczy. Co kilka metrów

przystawałam, nadstawiając uszu. Niczego nie słyszałam - tylko ciągły szum liści i mruczenie sowicy dobiegające od strony drogi.

Przykucnęłam jeszcze niżej. Prawie zapomniałam, że śledzę Lee. Coraz bardziej przypominało to operację przeciwko wrogowi. Denerwowałam się tak, jakbym szpiegowała żołnierzy. Ostatnie dziesięć metrów dzielących mnie od drzew pokonałam praktycznie na brzuchu, czołgając się w trawie jak wąż tygrysi. Miałam tylko nadzieję, że nie natrafię gołymi rękoma na wielki mokry krowi placek. Żdźbła były już wilgotne od rosy.

Wśród drzew znowu się zatrzymałam i zaczęłam nasłuchiwać. Droga przejechał samochód, bardzo szybko. W takiej ciszy było go słyszeć z odległości wielu mil. Miał włączone światła, ale byłam zbyt daleko od drogi, aby mógł mi zagrozić.

Kiedy warkot ucichł, w końcu wstałam i znowu nadstawiłam uszu. Niczego nie było słyszeć. Gdyby gwiazdy umiały hałasować, ich śpiew na pewno by mnie ogłuszył, bo całe niebo było nimi rozświetlone. W niektórych miejscach nie dałoby się chyba wcisnąć następnej. Ale o ile wiatr nie był głosem gwiazd, musiałam założyć, że gwiazdy milczą, bo nie słyszałam niczego oprócz zawodzenia wiatru.

Zaczęłam się denerwować. Czyżbym przeszła taki szmat drogi na darmo? Po co tu w ogóle przylazłam? Co wyrabiał ten cholerny Lee? Toczył swoją prywatną wojnę? Nie miał prawa. Czy

240

robiłam coś podstępnego i paskudnego, zmieniając się w szpiega? A może coś ważnego i zrozumiałego? Wiedziałam, że Fi i Cor-rie nigdy by się do tego nie posunęły. Co dosyć dziwne, miałam wrażenie, że Robyn byłaby do tego zdolna, że przynajmniej ona zrozumiałaby moje powody.

No tak, jak zwykle byłam zdana na własną ocenę sytuacji.

Wstałam, bardzo ostrożnie, i rozejrzałam się. Wtedy kątem oka zauważyłam leciutki ruch i pomyślałam, że to ciemny zarys sylwetki Lee znikającej za wzniesieniem na sąsiednim pastwisku. Po chwili już go nie było. Zapomniałam o zasadach bezpieczeństwa, przeskoczyłam przez płot i pognałam jak szalona. Dość szybko zdałam sobie sprawę, że Lee idzie podjazdem, porządną pylistą drogą prowadzącą do jakiegoś domu, wcale nie zarośniętą. Dobry stan nawierzchni podpowiadał, że droga jest w ciągłym użyciu, co oczywiście jeszcze bardziej mnie zaintrygowało i zaniepokoiło.

Ale biegłam dalej, aż w końcu dotarłam na szczyt pagórka. Potem pochyliłam się i pędziłam dalej. Moje serce przyspieszało z każdym krokiem, oczy lustrowały ciemność, wspierane jedynie blaskiem gwiazd.

Sąsiednie pastwisko było tuż obok domu: bydło wchodziło na nie przez bramę, a samochody wjeżdżały nad krytym kratownicą rowem tuż obok. Dalej stały zabudowania. Jeśli widziało się jedno gospodarstwo, to tak jakby widziało się je wszystkie, a mimo to każde było inne. W tym stał nowoczesny dom obłożony cegłą, który bardziej pasowałby do przedmieść. W błękitnej wodzie basenu po lewej stronie odbijały się gwiazdy. Było tam trochę zarośli, ale nie zauważyłam ogrodu.

Dalej, po lewej stronie, stały budynki gospodarcze, silosy, budy dla psów i kurniki. Właśnie tam poszedł Lee, teraz widziałam go wyraźniej. Szedł szybkim, pewnym krokiem, wzdłuż południowej ściany dużego warsztatu. Był dobrze widoczny na tle srebrnej

241

blachy. Szłam równoległe z nim, ale w dużej odległości, trzymając się linii drzew na skraju pastwiska. Minąwszy warsztat, Lee ruszył w

stronę dużego drewnianego budynku, ciemnego, starego i dość mocno zapuszczonego.

Gdy był już w połowie drogi, stało się coś, co sprawiło, że wszystkie włoski na mojej skórze stanęły dęba. Poczułam się tak, jakby ktoś poraził moją głowę prądem o napięciu 240 woltów. Usta otworzyły mi się tak szeroko, że nie potrafiłam ich zamknąć. Najzwyczajniej nie wierzyłam własnym oczom.

Ze starej stodoły wyszła jakaś postać i ruszyła w stronę Lee. Spotkali się w połowie drogi między stodołą a warsztatem. Dziewczyna była wysoka, miała długie czarne włosy opadające na plecy i poruszała się jak wąż, jakby miała same mięśnie i żadnej kości. Spotkali się. Objęli. Pocałowali.

Kilka minut później odsunęli się od siebie i poszli w stronę stodoły. Nie trzymali się za ręce, ale pozostali blisko siebie. Krew w moim ciele znów zaczęła krążyć. Śledziłam każdy ich ruch. Gdy wtopili się w mrok budynku, dziewczyna przystanęła i rozejrzała się niespokojnie. Przez chwilę się wahała, a potem Lee, który był już w środku, chyba zawołał ją do siebie, bo nagle się odwróciła, jakby komuś odpowiadała, i weszła do ciemnego budynku.

Byłam w szoku. Czułam się tak, jakby ktoś zaszedł mnie od tyłu i rąbnął w głowę kijem bejsbolowym. Poza tym byłam wściekła. Wściekła na wszystko, nawet na to, że Lee nie zadał sobie trudu, by się rozejrzeć, by sprawdzić teren. Stał się zupełnie niedbały. Nawet ta dziewczyna była ostrożniejsza niż on.

Krew znowu płynęła mi w żyłach, ale nie miałam pojęcia, co robić. Czy w ogóle powinnam coś robić. Nie byłam w stanie się ruszyć. Nadal miałam otwarte usta, ale chyba nie wpadało przez nie powietrze. Stałam zahipnotyzowana jak kura.

I właśnie to uratowało mi życie. Mój bezruch sprawił, że nie zostałam zauważona przez mężczyzn zbliżających się do stodoły.

Nie wiem, co zobaczyłam najpierw. Jakiś ruch kątem oka. Pamiętam, że zmarszczyłam brwi i powoli odwróciłam głowę - nagle czując, że zobaczę coś więcej niż spadającą gałązkę albo głodną sowę. I miałam rację. W ciągu trzech następnych sekund zobaczyłam czterech mężczyzn. Bardzo powoli i ostrożnie przesuwali się w stronę stodoły. Spojrzałam w drugą stronę, ale na szczęście nikogo nie zauważyłam. To wyglądało na frontalny atak. Może stodoła nie miała tylnych drzwi.

Znowu spojrzałam na tych mężczyzn. Byli coraz bliżej. Raczej nie żołnierze - bardziej przypominali rolników. Mieli farmerską broń: strzelby, a nie karabiny. Ale wiedzieli, co robią. Wyglądali na zawodników z wyższej ligi niż Lee. Z wyższej ligi niż ja.

Przynajmniej nadal mnie nie widzieli. To dlatego, że jeszcze się nie poruszyłam. Ale nie mogłam tak po prostu stać i patrzeć, jak łapią Lee. Zabiją go na miejscu czy może zabiorą do więzienia w Stratton? Tylko na to pytanie miałam czas i tylko ono przyszło mi na razie do głowy. W następnej sekundzie podniosłam lewą nogę i zrobiłam krok w prawo. Cały czas obserwowałam mężczyzn, bojąc się, że któryś z nich odwróci głowę. Drżała mi noga i ledwie odważyłam się ją postawić, przerażona tym, że pod podeszwą mógłby trzasnąć kawałek kory albo gałązka.

Ale ostatecznie ją postawiłam, a potem podniosłam drugą. Nadal się bałam, lecz pierwszy ruch wyrwał mnie z odrętwienia i pchnął do działania. Zrobiłam jeszcze osiem kroków, denerwując się tak samo jak przy pierwszym. Było bardzo trudno, bo wiedziałam, że nie mogę iść zbyt wolno - mimo że ci mężczyźni też poruszali się powoli.

Miałam do pokonania trzykrotnie większą odległość niż oni. Staralam się patrzeć, gdzie stawiam kolejny

3

krok, dbając, by nie nadepnąć na korę, ale trudno było cokolwiek zobaczyć wśród drzew, gdzie nie docierało światło gwiazd.

Nadal nie miałam pojęcia, co robić. Wiedziałam, że jeśli podejść od tyłu i nie znajdę tam żadnych drzwi ani okien, będę zgubiona. Mogłabym załomotać do drzwi, ale w odpowiedzi Lee wybiegłby pewnie na zewnątrz, prosto w ręce wroga. Nie dałabym rady czterem uzbrojonym mężczyznom. Potrafiłam myśleć tylko o tym, że jeśli udałoby mi się ich zająć od tyłu, być może odwróciłabym ich uwagę, a może nawet znalazłabym jakąś broń. Dlatego cały czas szłam w prawo. Gdy wystarczająco zagłębiłam się w ciemności, szybko pobiegłam między drzewami, z nadzieją, że wezmą mnie za lisa albo oposa - o ile w ogóle mnie usłyszą.

Zanim znowu wyszłam spomiędzy drzew, zdążyłam ułożyć plan. Opracowałam tylko pierwszy etap, ale i tak zrobiłam ogromny postęp w porównaniu z tym, co wiedziałam wcześniej. Biegając, pogrzebałam w kieszeni i upewniłam się, że mam zapalniczkę. Taką jednorazówkę. Nawet nie pamiętałam, gdzie ją znalazłam. Pewnie w domu babci.

Wcześniej widziałam trzy duże stogi siana: jeden pod zadaszeniem, ale dwa pozostałe pod gołym niebem. Najszybciej, jak umiałam, pobiegłam do tego pierwszego. Był oddalony od stodoły o sto metrów. Jak bardzo ci ludzie chcieli zabić Lee? Tak bardzo, że zignorują płonące stogi swojego siana? Drżącymi rękami wyjęłam zapalniczkę i potarłam małą rolkę. Przysunęłam płomień do siana. Nie byłam mistrzynią, gdy chodziło o rozpalanie ognisk, ale ze stogiem siana poszło mi doskonale. Zajął się tak szybko, że omal nie straciłam brwi. Niesamowite. Teraz musiałam się ścigać z płomieniami, żeby

podpalić dwa pozostałe stogi, zanim tamci mężczyźni zauważą, co się dzieje za ich plecami.

244

Podbiegłam do drugiego. Podpalając go, zerknęłam na pierwszy stóg. Zauważyłam tylko jeden płomień, ale miał już dwa metry. Podpaliłam stóg i pobiegłam do trzeciego, tego pod zadaszeniem. Po drodze wpadłam jednak na lepszy pomysł. Nieco z lewej strony stała ciężarówka załadowana sianem. Zaparkowano ją przodem do stodoły i ktoś zostawił opuszczoną szybę po stronie kierowcy. Odbiłam w bok i popędziłam w tamtą stronę. Najciszej, jak umiałam, otworzyłam drzwi. Wyprężyłam się i do-sięgnęłam drążka skrzyni biegów, który przesunęłam na luz, nie wciskając sprzęgła. Potem zwolniłam hamulec ręczny

Nie zadałam sobie trudu, żeby zamknąć drzwi. Od razu pobiegłam do tyłu. Nie było już czasu patrzeć na mężczyzn, ale za plecami usłyszałam cichy trzask, który oznaczał, że ogień szybko się rozprzestrzenia.

Pagórek za stodołą był dość stromy. Zdałam sobie sprawę, że ciężarówka jest ustawiona niemal idealnie. Mocno ją popchnęłam. Czułam się jak jedna z tych matek znajdujących się, by podnosić samochody, pod którymi utknęły ich dzieci. Lee nie był moim dzieckiem, ale może moja siła wzięła się z chęci uratowania własnego życia. W każdym razie ciężarówka potoczyła się w dół. Zdziwiłam się, jak szybko przyspieszała. Pobiegłam za nią, żeby podpalić siano na pace. Przy wsparciu ruchu powietrza płomień buchnęły z jeszcze większą łatwością. Zanim zdążyłam pokonać pięćdziesiąt metrów, ogień rozszalał się na dobre.

Nadal nie widziałam mężczyzn, bo zasłaniała ich ciężarówka, ale było już mnóstwo dowodów na to, że zauważyli, co się dzieje. Rozległy się krzyki i kilka strzałów. Chyba mierzyli w kabinę ciężarówki,

zakładając, że ktoś ją prowadzi. Jedna z kul śmignęła mi nad głową ze znajomym już świstem przywodzącym na myśl piskliwą cykadę. To, że nie mogli trafić w ciężarówkę, kiepsko

245

J?

świadczyło o celności ich strzałów. Zastanawiałam się, czy zdołaliby trafić w stodołę.

Biegłam za ciężarówką, która coraz bardziej się rozpędzała. Im szybciej jechała, tym bardziej szalał ogień. Musiałam się odsunąć, bo płomienie grzały mnie w twarz. Jedną ręką zasłoniłam oczy i mogłam patrzeć tylko na ziemię. Ale mniej więcej siedemdziesiąt pięć metrów od miejsca, w którym wprawiłam ciężarówkę w ruch, rozpętało się piekło. Płomienie sięgnęły kół. Najbardziej niesamowity widok na świecie, choć pewnie nikt nie miał czasu go podziwiać. Rozpędzone ognisko.

Normalnie jeśli pojazd toczy się sam, nie jedzie prosto. Wiedziałam o tym dzięki swoim wygłupom w land-roverze. Puszczalam kierownicę, żeby karmić zwierzęta z ręki. Ta ciężarówka pojechała prosto, bo żleb prowadzący do stodoły utworzył naturalny tor prowadzący prosto do drzwi. Dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, kiedy poczułam cień dachu, podniosłam głowę i zobaczyłam, że dobiegłam za toczącym się ogniskiem aż do stodoły. Rozpędzona ciężarówka wpadła wielkimi otwartymi wrotami i z przeraźliwym hukiem uderzyła w ścianę naprzeciwko. Tyle że prawie tego nie słyszałam, bo wszystko zostało zagłuszone przez wycie i trzaski płomieni. W suchym powietrzu wewnątrz stodoły rozpoczęły nowe życie.

Zdałam sobie sprawę, że moja sylwetka wyraźnie maluje się na tle ognia, więc rzuciłam się w lewo i turlałam się w stronę długiego rzędu bali z sianem, dopóki nie uznałam, że już mnie nie widać. Spojrzałam na ciężarówkę. Płomienie dotykały dachu budynku. Wydawały się

dwukrotnie wyższe, niż były na zewnątrz. W stodole było pełno siana i paszy dla koni - tuż obok mnie piętrzyły się jej worki i ciągnął się rząd kołków na uzdy i tego typu rzeczy. Poprzez płomienie usłyszałam, że po drugiej stronie stodoły są konie: dowodziły tego gorączkowe fanfary prychnania i rżenia. W powietrzu unosiło się mnóstwo płonących kawałków słomy - niektóre

246

- >

z nich czerniały i obumierały, zanim spadły na ziemię, a inne do końca czerwieniały ogniem. Małe spiralki dymu widoczne w różnych punktach podłogi uzmysłowiły mi, że za chwilę cały budynek stanie w płomieniach.

Nie mogłam znieść rżenia koni. Świadomość, że sama do tego doprowadziłam, że umrą potworną śmiercią w płomieniach wznieconych moją ręką, była ponad moje siły. Rozejrzałam się, rozpaczliwie pragnąc się do nich dostać. Ogień z ciężarówki dotarł już do wrót stodoły. Nikt z zewnątrz nie mógł wejść do środka. Spojrzałam w górę i zauważyłam coś w rodzaju galerii biegnącej wzdłuż całego budynku. Po lewej miałam drabinę. Podbiegłam do niej i wdrapałam się na górę tak szybko, że moje dłonie ledwie dotknęły boków drabiny. Na galerii odwróciłam się w prawo i pędem pobiegłam po drewnianej podłodze. Na górze było przeraźliwie gorąco i zanim zdążyłam pokonać dziesięć metrów, prawie zabrakło mi tchu. Na fizyce zawsze nam powtarzali, że ciepłe powietrze idzie do góry, i oto miałam dowód. Gdy przebiegałam nad ciężarówką, uderzyła mnie fala gorącego powietrza, które przypiekło mi dzinsy, włosy i twarz. Jakby ktoś trzymał ogromną suszarkę do włosów parę centymetrów ode mnie i włączył ją na najwyższe obroty.

Na drugim końcu galerii z przerażeniem zobaczyłam, że nie ma drabiny. Poniżej trzy konie dziko wierzgały w boksach. Trochę dalej

stały jeszcze dwa, a kilka było poza boksami - zwierzęta zbiły się w oszalałą ze strachu i nerwowo rżącą gromadkę. Cofnęłam się kilka metrów, aż stanęłam nad małą stertą siana. Powiedziałam: „Boże, pomóż mi”, co było najkrótszą modlitwą, jaką zdołałam wymyślić, a potem skoczyłam.

Suerta siana okazała się tak mała, na jaką wyglądała, więc dość mocno uderzyłam w podłogę. Poczułam szarpiący ból w kolanie. To kolano zawsze mnie zawodziło, kiedy go potrzebowałam. Nie było jednak czasu na oględziny lekarskie.

247

z nich czerniały i obumierały, zanim spadły na ziemię, a inne do końca czerwieniały ogniem. Małe spiralki dymu widoczne w różnych punktach podłogi uzmysłowiły mi, że za chwilę cały budynek stanie w płomieniach.

Nie mogłam znieść rżenia koni. Świadomość, że sama do tego doprowadziłam, że umrą potworną śmiercią w płomieniach wznieconych moją ręką, była ponad moje siły. Rozejrzałam się, rozpaczliwie pragnąc się do nich dostać. Ogień z ciężarówki dotarł już do wrót stodoły. Nikt z zewnątrz nie mógł wejść do środka.

Spojrzałam w górę i zauważyłam coś w rodzaju galerii biegnącej wzdłuż całego budynku. Po lewej miałam drabinę. Podbiegłam do niej i wdrapałam się na górę tak szybko, że moje dłonie ledwie dotknęły boków drabiny. Na galerii odwróciłam się w prawo i pędem pobiegłam po drewnianej podłodze. Na górze było przeraźliwie gorąco i zanim zdążyłam pokonać dziesięć metrów, prawie zabrakło mi tchu. Na fizyce zawsze nam powtarzali, że ciepłe powietrze idzie do góry, i oto miałam dowód. Gdy przebiegałam nad ciężarówką, uderzyła mnie fala gorącego powietrza, które przypiekło mi dzinsy, włosy i twarz. Jakby ktoś trzymał ogromną suszarkę do włosów parę centymetrów ode mnie i włączył ją na najwyższe obroty.

Na drugim końcu galerii z przerażeniem zobaczyłam, że nie ma drabiny. Poniżej trzy konie dziko wierzgały w boksach. Trochę dalej stały jeszcze dwa, a kilka było poza boksami - zwierzęta zbiły się w oszalałą ze strachu i nerwowo rżącą gromadkę. Cofnęłam się kilka metrów, aż stanęłam nad małą stertą siana. Powiedziałam: „Boże, pomóż mi”, co było najkrótszą modlitwą, jaką zdołałam wymyślić, a potem skoczyłam.

Suerta siana okazała się tak mała, na jaką wyglądała, więc dość mocno uderzyłam w podłogę. Poczułam szarpiący ból w kolanie. To kolano zawsze mnie zawodziło, kiedy go potrzebowałam. Nie było jednak czasu na oględziny lekarskie.

247

Pokuśtykałam do najbliższego boksu. Duża kasztanka miotała się w wąskiej przestrzeni, rzucając się w przód i w tył, jakby chciała stratować drzwi, ale nie miała wystarczająco dużo odwagi. Potrząsała łbem: w białkach jej przerażonych oczu odbijały się czerwone płomienie. Pociągnęłam bolec trzymający drzwi i szybko odskoczyłam na bok. Ta klacz postradała rozum i jedno jej kopnięcie mogłoby mnie zabić. Wyciągnawszy bolec przy następnym boksie, spojrzałam w prawo i ku swojemu zdumieniu zobaczyłam Lee. Prawie zapomniałam, że znalazłam się tam z jego powodu. Robił to samo co ja: uwalniał uwięzione konie. Zrozumiałam, w jaki sposób pozostałe zwierzęta wydostały się z boksów.

Spojrzał na mnie w tej samej chwili, w której ja spojrzałam na niego. Nasze oczy na chwilę się spotkały. Nie zareagował. Musiał mnie zauważyć już wcześniej. Pewnie przeżył wtedy największy szok w swoim życiu.

Uwolniłam ostatniego konia, czarnego źrebaka, a potem zadałam sobie wielkie pytanie - największe ze wszystkich: w jaki sposób się stąd wydostaniemy? Wrota stodoły zostały całkowicie odcięte przez

ogień, a innego wyjścia nie widziałam. Budynek był wielki, lecz nie pozostało nam dużo czasu. Druga strona, ta, gdzie weszłam po drabinie, stała już w płomieniach. Nie upiekliśmy się jeszcze żywcem tylko dlatego, że z jakiegoś powodu ogień wolał tamten kierunek. Może był tam przeciąg. Ale czułam, że w bardzo gorącym powietrzu szybko zaczyna brakować tlenu. Bolały mnie płuca i bez względu na to, ile powietrza wciągałam, ciągle było go za mało.

Spanikowana, spojrzałam na ścianę. Musieliśmy jakoś się stamtąd wydostać, najlepiej zabierając ze sobą konie. Boczna ściana - ta, na którą patrzyłam - wyglądała dość solidnie. Z tyłu, gdzie zamiast bali były deski, mieliśmy większe szanse. Między mną a tą ścianą stał traktor, szary fergie z łyką z przodu.

248

Żałowałam, że nie jest większy, ale mieliśmy tylko jego. Wdrapałam się na duże tylne koło i usiadłam na siedzeniu. Wcisnęłam zapłon i silnik się zakręcił. Ale nie odpalił. Szturchnęłam przycisk jeszcze raz, pocąc się i głośno klnąc ze zniecierpliwienia. I tak nikt nie mógł mnie usłyszeć: wokół panował już straszny hałas. Traktor nadal nie chciał zapalić.

- O Boże, proszę! - zawołałam i spróbowałam po raz trzeci.

Silnik warknął, kaszlnął, prychnął, znieruchomiał na długą chwilę - a wraz z nim znieruchomiało moje serce - i w końcu odpalił. Nigdy nie słyszałam równie słodkiego dźwięku jak tamten warkot. Drażek skrzyni biegów był między moimi nogami. Wrzuciłam wolną dwójkę, maksymalnie zwiększyłam obroty i ruszyłam prosto na ścianę. Ten złom nie miał klatki zabezpieczającej i wiedziałam, że podejmuję wielkie ryzyko, ale jaki miałam wybór? Lepsza belka na głowie niż spłonienie żywcem w tym piekle. Smażyły mi się płuca i miałam wrażenie, że w ogóle nie dostają już tlenu. Łyka traktora uderzyła w ścianę i wstrząs przeszedł przez cały pojazd, a potem przez moje ciało.

Przez chwilę myślałam, że się przebiliśmy. Ściana wyglądała tak, jakby się przemieściła, i zobaczyłam, że galeria się kołysze, jakby za chwilę miała runąć. Z góry posypała się słoma. Przygarbiłam się, czekając, aż ciężkie belki runą mi na głowę. Ale nic się nie stało. Zaczęłam myśleć, że traktor jednak nie da rady. Łycha i trzymające ją wysięgniki były mocno zniekształcone - i nic dziwnego - ale wycofałam i przesunęłam dźwignię, by unieść trochę łychę. Miałam nadzieję, że to coś da.

Wycofałam najdalej, jak mogłam, i gwałtownie wcisnęłam hamulec. Wtedy do tyłu wskoczył Lee i poklepał mnie po ramieniu. O dziwo, trochę mi to pomogło. Znowu się rozpędziłam, jadąc jeszcze szybciej niż za pierwszym razem. Wcześniej, gdy zbliżyłam się do ściany, musiałam chyba odruchowo zwolnić. Powodował mną podświadomy strach przed zderzeniem z rozpędu

249

z czymś twardym. Tym razem się nie zawahałam. Uderzyliśmy tak mocno, że Lee spadł z traktora. Usłyszałam coś w rodzaju krzyku i przez jedną niewybaczalną, straszną chwilę myślałam, że to Lee. Ale to tylko blaszany dach odrywał się od muru. Ściana odłączyła się od budynku u góry, z dala od nas. To już było coś, ale wciąż za mało. Zrozpaczona obejrzałam się za siebie. Nie chciałam przejechać Lee, choć pewnie na to zasłużył. Ale on już czołgał się w bok. Wiedział, że muszę uderzyć po raz trzeci. Duże tylne koła obróciły się w miejscu, kiedy znowu wcisnęłam gaz do dechy. Traktor szarpnął do tyłu.

Tamto krótkie spojrzenie za siebie ukazało mi prawdziwą scenę z piekła. Konie już zamilkły i wcisnęły się w najdalsze kąty, jakie mogły znaleźć, omal nie dusząc się nawzajem. Odsuwały się od płomieni, a ich rozpaczliwe przerażenie malowało się w każdym drżącym mięśniu, w każdej kropli potu na lśniącej sierści, w każdym łapczywym, chrapliwym oddechu. Mnie też brakowało tchu. Kaszlałam jak szalona, a kaszel prowadził do okropnego bólu.

Cofając, zasłoniłam usta lewą ręką, żeby odfiltrować dym. Odjechałam najdalej, jak się dało - najdalej, jak się odważyłam. Potem pochyliłam głowę, próbując uciec od gorąca i dymu, próbując ochronić się przed budynkiem, który za chwilę miał na mnie runąć, i znowu ruszyłam naprzód.

Wiedziałam, że to ostatnia szansa. Gdybym musiała spróbować po raz czwarty, nie starczyłoby mi czasu. Zginęłabym w tym piecu. Już teraz szansa na ocalenie koni była bliska zera. Za bardzo się bały.

Wiedziałam, że trudno je będzie wygonić. Na szczęście myślałam o nich, a nie o ścianie, z którą właśnie się zderzałam. Inaczej nie wiem, czy miałabym odwagę uderzyć tak mocno, jak uderzyłam. Ściana jakby zastygła, czekała, może miała nadzieję, że stanie się coś, co w ostatniej chwili ją uratuje. Koła traktora obracały się jak szalone. Ściana zaczęła się wychylać na zewnątrz,

250

poczynając od góry. Poprzeczne belki odskoczyły i wyglądało na to, że za chwilę zaczną spadać na ziemię. Podniosłam głowę. Belki już się zapadały i gdy runęła pierwsza z nich, wydałam zduszony okrzyk. Potem wrzasnęłam, mimo że wylądowała dwa metry ode mnie, czemu towarzyszył potężny głuchy huk. Ściana naprzeciwko mnie w końcu ustąpiła, wypadając na zewnątrz. Nie słyszałam huku, ale poczułam uderzenie powietrza, które wstrząsnęło traktorem, ciskając mi w twarz burzę pyłu. Na szczęście razem z powietrzem do środka wpadł tlen, więc wciągnęłam go trochę w płuca. Z tyłu usłyszałam jednak buchnięcie ognia, jego radość z powodu nowej dostawy amunicji.

Przednie koła traktora miały się już czego trzymać. Wpiły się w ziemię i traktor szarpnął do przodu. Dźwignia gazu nadal była przesunięta na maksa, więc ruszyłam z kopyta. Runęła następna belka, ale ta nie leciała na płask jak poprzednia. Spadając, kołysała się na boki. Chyba jeden koniec odłączył się wcześniej niż drugi. Dolna połowa zbliżała się do mojej twarzy. Pół tony lecącego drewna.

Rzuciłam się na bok, przerażona, że dostanę się pod koła. Belka runęła na tył traktora, a ja rozpląszczyłam się na ziemi. Jakimś cudem wylądowałam na czworakach. Podźwignęłam się na nogi.

Tył traktora został przygwożdżony i pojazd stał dęba. Silnik pędził, a przednie koła obracały się jak wściekłe. Dach nade mną lekko się zapadł, ale nie runął. Usłyszałam dzikie rzenie i gwałtownie się odwróciłam. Konie, kłębowisko łbów, nóg i ogonów, pędziły prosto na mnie. Znowu padłam na ziemię i skuliłam się najbardziej, jak umiałam. Chyba jeden z koni mnie przeskoczył. Krawędź kopyta uderzyła mnie w bok, połowa ciężaru konia znalazła się na mnie, a druga połowa na ziemi. Bolesny cios, ale trwał tylko sekundę. Czułam się tak, jakby ktoś zdzielił mnie w żebra żelaznym prętem. Potem Lee mnie złapał i postawił na nogi.

251

Pobiegliśmy. Trzymałam się za bok, za miejsce, gdzie kopnął mnie koń, i kuśtykałam na obolałym kolanie. Spojrzenie w tył ukazało mi potworny widok: konia przygwożdżonego belką, który wił się i wierzgał. Potem z hukiem i rykiem wiatru spadło na niego pół dachu. Wszystko natychmiast zmieniło się w ścianę ognia i niczego więcej nie zobaczyłam.

20

Jeśli tamci mężczyźni gasili ogień, musieli to robić od frontu. Miałoby to sens, bo przecież nie wiedzieli, że chcemy się wydostać tyłem. Pewnie myśleli, że zginęliśmy w płomieniach. Dopiero na widok spalonego traktora, który przebił ścianę, mogliby się domyślić, co się stało.

Tak więc ślaniając się na nogach, uciekliśmy w noc, przez nikogo nie ścigani. Obydwoje drżeliśmy i dygotaliśmy, jakby temperatura spadła do pięciu stopni poniżej zera. Przeszliśmy przez płot -tylko wtedy Lee na chwilę mnie puścił - ale podrapaliśmy się przy tym do krwi.

Okropnym elementem tej wojny było to, że gdy niebezpieczeństwo mijało, nie było nikogo dorosłego, -kto mógłby owinąć nas w koc i podać kubek gorącej herbaty. Czekala na nas tylko dalsza ciemność, dalsze zagrożenia, jeszcze więcej strachu.

Potem Lee wziął mnie pod rękę i szliśmy przez zaorane pole. Na sąsiednim pastwisku pasły się owce i ich widok bardzo mnie ucieszył, bo wiedziałam, że gdzieś w pobliżu musi być woda. Zeszłam po naturalnej pochyłości terenu i w końcu dotarliśmy do małego zbiornika ze stojącą zieloną wodą. Nie pozwoliłam Lee się napić, ale opryskaliśmy się nią i to też pomogło.

Spojrzałam w stronę farmy i zobaczyłam cztery wyraźne słupy ognia przypominające cztery ogniste rakiety stojące w bazie

253

i gotowe do startu. Widywałam już w życiu pożary, ale takiego jeszcze nigdy. Tamci faceci musieli mieć teraz pełne ręce roboty. Zastanawiałam się, skąd się wzięły cztery słupy ognia. Byłam odpowiedzialna tylko za trzy.

Gdy zbliżaliśmy się do drogi, przechodząc przez kolejne zaorane pole, przemknęły nią dwa wozy strażackie ze Stratton. Niejechały na sygnale i kierowcy nie włączyli kogutów, ale i tak pędziły bardzo szybko.

Powrót do Stratton zajął nam całą wieczność. Nie mogłam uwierzyć, że w końcu się do niego zbliżamy. Z dziesięć razy myślałam, że to już, że nasza droga dobiega końca, ale potem podnosiłam głowę i okazywało się, że nadal jesteśmy na wsi. Może stawialiśmy mniejsze kroki niż zwykle, może po prostu poruszaliśmy się wolniej, może straciliśmy rachubę czasu albo orientację w terenie - sama nie wiem. Wiem, że przez ostatnie parę kilometrów byłam kompletnie zamroczone: nogi i ręce mi zdrętwiały -nie licząc kolana, które przeszywał dobijający ból - a bok palił żywym ogniem. Po twarzy

pływały mi łzy. Po jakimś czasie dałam za wygraną i przestałam je ocierać. Lee spisał się na medal -tyle muszę mu przyznać. Ciągłe mówił, powtarzał, że już niedaleko i żebym się nie poddawała.

Ale kiedy oddaliliśmy się od farmy, nie pozwoliłam mu się więcej dotknąć.

Gdy dotarliśmy do domu mojej babci, na warcie stał Kevin. Zaczął mówić: „Gdzie się podziewaliście, do cholery?”, ale jedno spojrzenie na mnie wystarczyło, by słowa uwieźły mu w gardle. Zeskoczył z drzewa i pobiegł do domu. Zatrzymałam się i oparłam się o ścianę, pomyślałam: „Już dobrze, niczego więcej nie muszę robić. Za chwilę będzie tu Fi”. Po chwili przybiegła Fi, wprowadziła mnie do środka i w pewnym sensie wszystko było w porządku: leżałam na kanapie i pozwalałam się obmywać, a oni poili mnie kroplami wody i opatulali moje stopy kocami. Homer

254

też tam był, ale jego nie chciałam: chciałam tylko Fi. I spisała się fantastycznie. Szybko wyczuła, czego mi trzeba, i odesłała Homera, a potem w głębi babcinych szafek znalazła krem na oparzenia i coś na moje posiniaczone zębra. Podparła mi głowę poduszkami i siedziała przy mnie, trzymając mnie za rękę, dopóki nie usnęłam.

Ale to oczywiście nie wystarczyło. Nazajutrz obudziłam się z obolałymi zębami, rwącym bólem w kolanie oraz bokiem twarzy, który palił mnie tak mocno, jakbym leżała za blisko kaloryfera. Wiedziałam jednak, że jakoś z tego wszystkiego wyjdę.

Prawdziwy ból zagnieździł się gdzieś w moim żołądku. Ludzie mówią o bólu serca, złamanym sercu i tak dalej, ale moje serce nie jest chyba aż tak uwrażliwione. Bardziej żołądek. Sam środek. Boże, tamtego ranka naprawdę dał mi się we znaki. Wydawało mi się, że Lee zdradził nas wszystkich na wszelkie możliwe sposoby. Nie znałam żadnych szczegółów, ale nie wydawały mi się warte poznania.

Związek z dziewczyną, która była naszym wrogiem, związek, który zagrażał naszemu życiu, związek, który był wielkim paskudnym uderzeniem w twarz wszystkich jego przyjaciół.

Przez ten cały czas to właśnie miłość i lojalność trzymały nas razem. Trzymały nas pomimo doświadczeń, które rozbiłyby większość grup. Podejrzywałam, że niewiele grup dorosłych -no, może jedna - przetrwałoby tak jak my. Wyglądało na to, że dorośli za bardzo skupiają się na własnym ego. Oczywiście my też mieliśmy swoje ego, ale gdy zaczynały się kłopoty, słuchaliśmy się nawzajem i traktowaliśmy się poważnie. Rzadko na siebie krzyczyliśmy albo mówiliśmy, żeby ktoś się zamknął. A Lee pokazał, że odrobina seksu z jakąś zdirą jest dla niego ważniejsza niż prawie rok najważniejszych doświadczeń w naszym życiu.

Zwłaszcza ja czułam się tak, jakby Lee splunął mi w twarz. Najpierw splunął, a potem uderzył. Prawie czułam szczypanie w miejscu, gdzie jego otwarta dłoń zostawiła ślad. Chyba nigdy

255

w życiu nie czułam się równie odrzucona. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będę jeszcze w stanie komuś zaufać.

Bałam się czegoś jeszcze. Staram się nie bać, ale chyba naprawdę bardziej przerażają mnie zagrożenia emocjonalne niż fizyczne. Leżąc na tamtej kanapie, z obolałą twarzą, ręką i nogą, bałam się tego, że Lee obwini mnie za to, co się stało. Że powie: „Widzisz, nie pozwalałaś mi się dotknąć, więc dlatego poszedłem z tamtą”.

Czy tak by powiedział? Czy upadłby aż tak nisko? Niczego już nie wiedziałam. Czasami, kiedy próbował się do mnie dobierać, a ja nie byłam w nastroju, nie byłam jeszcze gotowa, czułam się jakby winna. Nie za każdym razem, ale Lee zawsze się wkurzał. Wiem, w szkole nas uczą, że dziewczyna nie powinna ulegać presji ze strony

chłopaków, a oni nie umrą, jeśli nie dostaną tego, czego chcą, ale w prawdziwym życiu wcale nie jest tak łatwo.

Zabawne jest to, że w dawnych czasach wcale nie byłam taka powściągliwa. Steve raczej by nie narzekał. Nie wiem, co się zmieniło ani dlaczego. No jasne, wojna, to ona była naszą dyżurną wymówką. Ale może chodziło o zwyczajną próżność. Gdybym mogła wziąć długi gorący prysznic i zdobyć trochę nowych ciuchów, gdybym mogła wmasować w skórę trochę tego balsamu z Body Shop, na pewno miałabym lepsze zdanie o sobie.

Tylko że chodziło jeszcze o coś w środku. Nie czułam się zbyt atrakcyjna na zewnątrz i nie czułam się zbyt atrakcyjna wewnątrz. Tamta okropna impreza w Nowej Zelandii: im bardziej się od niej oddalałam, tym gorsza mi się wydawała. A przecież powinno być odwrotnie.

Bałam się jeszcze jednej rzeczy i właśnie odwołując się do niej, mogłabym wytłumaczyć Lee, dlaczego go śledziłam. Nie wiem, dlaczego zawsze się obwiniam - chociaż w zasadzie wcale nie zrobiłam niczego złego - ale myślałam, że moje zachowanie musiało wyglądać okropnie. Nie przyszło mi do głowy, że spotyka się

256

z dziewczyną. Nie wtrącałam się w jego życie uczuciowe. Próbowałam się upewnić, że nie naraża nas na niebezpieczeństwo, atakując wroga na własną rękę.

Może to byłoby lepsze.

Zobaczyłam go dopiero po kilku godzinach. Wszedł do pokoju tak cicho, że nawet go nie zauważyłam. Na chwilę zamknęłam oczy, a kiedy je otworzyłam, stał tuż obok mnie. Dość długo się sobie przyglądaliśmy. W zasadzie jestem pewna, że żadne z nas nie mrugnęło.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Nie odpowiedziałam.

Usiadł na końcu kanapy. Podkurczyłam nogi, zupełnie odruchowo, żeby zrobić mu więcej miejsca, ale zauważył to i zgadłam, co myśli: że robiłam to specjalnie. Wstał. Miał spuszczone głowę.

Najwyraźniej nie wiedział, od czego zacząć, a ja nie zamierzałam mu pomagać. W pokoju było tak ciemno, że niezbyt dobrze widziałam jego twarz. W końcu odchrząknął i powiedział:

- Nie chciałem, żeby to się stało.

- Jak ją poznałeś?

Słyszałam, że w moim głosie nie ma żadnych emocji. Nie robiłam tego celowo, ale wiedziałam, że moje słowa brzmią martwo.

Po chwili wzruszył ramionami.

- Przez przypadek. Uratowałem jej życie.

Uśmiechnął się, ale na bardzo krótko, jakby od razu zrozumiał, że nie powinien się uśmiechać.

- Słucham?

- Uratowałem jej życie. Byłem na pastwisku i zbierałem grzyby. Pamiętasz, że dawniej co noc przynosiłem grzyby?

Nie odpowiedziałam.

- To była bardzo ciepła noc. Trochę szukałem grzybów, a trochę siedziałem i rozmyślałem. Wtedy usłyszałem krzyk. Taki na serio, który od razu ci mówi, że ktoś jest w poważnych tarapatach.

Nawet nie myślałem o wojnie. Po prostu tam pobiegłem. Dotarłem na szczyt wzgórza i zobaczyłem zbiornik z wodą, w której ktoś gwałtownie się miotał. No więc podbiegłem jeszcze bliżej.

Miałam wrażenie, że z chęcią zakończyłby swoją opowieść w tym momencie, ale ja chciałam usłyszeć więcej.

Po chwili, kiedy nadal milczał, powiedziałam:

-No i?

Westchnął.

- Wymknęła się z domu i poszła popływać. W zbiorniku była głęboka, szersza część, gdzie woda miała o wiele niższą temperaturę, niż się spodziewała. Złapał ją skurcz.

- Nie wiedziałam, że jesteś takim mistrzem pływania.

- No, umiem pływać. Po prostu nie aż tak dobrze jak ty i Homer. Na krótkich dystansach radzę sobie nieźle.

- Więc padła ci w ramiona i usłyszałeś dźwięk skrzypiec?

Znowu wzruszył ramionami.

- Wspomniałem o tym, że była naga?

- Nie, nie wspomniałeś.

- Aha. No więc była.

Tak bardzo się denerwował, że w innych okolicznościach wydałby mi się zabawny. Ale czułam wściekłą, pełną goryczy zazdrość. Nie chciałam dłużej słuchać o spotkaniu przy zbiorniku. Przeszłam dalej.

- A potem znowu się z nią spotkałeś?

-Tak.

- A potem znowu i znowu?

- Naprawdę mi się spodobała, Ellie. Wiedziałem, że postępuję źle, wiedziałem, że to niebezpieczne, wiedziałem, że cię zdradzam, nawet jeśli ostatnio nie byliśmy zbyt... No wiesz. Ale nie umiałem się powstrzymać. Nie umiałem się powstrzymać od widywania jej.

- A co się stało dzisiaj? To znaczy ubiegłej nocy.

258

- Pewnie wiesz więcej niż ja.

- Sprzedała cię?

- Nie wiem. Co się tam działo? Skąd się tam wzięłaś? Zrozumiałem, że dzieje się coś złego, dopiero kiedy usłyszałem jakiś trzask. Zapytałem: „Co to było?”, a ona po prostu wybiegła ze stodoły. Wyszedłem za nią i zobaczyłem cholerną płonąca ciężarówkę, która pędziła prosto na mnie. Potem rozległy się strzały, więc znowu schowałem się w środku. Ciężarówka pędziła, a ja myślałem, że gdzieś popełniłem błąd. Ale zrozumiałem, że za chwilę to miejsce eksploduje jak wulkan. Pomyślałem, że przynajmniej uwolnię konie.

- Kiedy mnie zobaczyłeś?

- Gdy biegłaś po tej drewnianej galerii. Szczerze mówiąc, na początku przez chwilę myślałem, że to Robyn. Totalnie spanikowałem. Potem zauważyłem, że to ty. Spanikowałem jeszcze bardziej. Ale musiałem wypuścić konie, więc skupiłem się na nich.

Wiedziałam, co było potem. Wróciłam do poprzedniego pytania.

- Więc myślisz, że cię sprzedała?

Od razu się przygarbił i wcisnął dłonie pod pachy. Zrozumiałam, że nie chce odpowiadać. Ale jego milczenie też było odpowiedzią. Po chwili się odezwał.

- Mam nadzieję, że nie. Ale rzeczywiście szybko stamtąd prysnęła.

Spojrzał na mnie i zdałam sobie sprawę, jak bardzo go to boli. Chyba właśnie wtedy poczułam największą zazdrość o tę dziewczynę i ogarnęła mnie największa złość. Lee zrobił coś niewiarygodnie głupiego, ale ona nie miała prawa tak go traktować, nie po tym wszystkim, przez co przeszedł. Gdyby w tamtej chwili weszła do pokoju, rozerwałabym ją na kawałki.

- Jak ma na imię? - zapytałam.

- Reni.

259

- Nie poszłam za tobą po to, żeby cię szpiegować - powiedziałam.

Wyglądał tak, jakby mu ulżyło, jakby sam chciał o to zapytać, ale nie miał odwagi.

- Myślałam, że prowadzisz swoją prywatną wojnę - dodałam. - Bałam się, że atakujesz ich na własną rękę.

Milczał. Chyba chciał usłyszeć coś więcej, ale to było wszystko, co miałam mu do przekazania.

- Nadal nie rozumiem - powiedział. - Przed stodołą byli żołnierze?

- Czterech facetów z bronią.

Pokiwał głową.

- Rzeczywiście wydawała się zdenerwowana - przyznał. - A kiedy potem tak uciekła... - Po chwili mruknął pod nosem: - Pewnego dnia ją znajdę. Dowiem się, co się stało.

Teraz to jego mogłabym rozszarpać. Czy on nigdy się niczego nie nauczy? Jakimś cudem zdołałam się ugryźć w język. Nawet nie wiem dlaczego. Prędzej czy później ktoś będzie musiał mu powiedzieć, żeby przestał być takim głupkiem, takim egoistą z samobójczymi zapędami. Po prostu nie chciałam być tym kimś.

- Jak dużo jej o nas powiedziałaś?

- Nic nie mówiłem. Założyła, że należę do tych dzieciaków z ulicy. Nigdy nie wyprowadziłem jej z błędu. Nie chciałem, żeby mnie skojarzyła z ucieczką z więzienia. Albo z lotniskiem w Wir-rawee. Pomyślałem, że nadszarpnęłyby to naszą przyjaźń.

Starał się mówić beztroskim tonem, ale jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był aż tak nieszczęśliwy, nawet kiedy powiedział mi o swoich rodzicach.

- Najgorsza jest ta niepewność.

Nic nie powiedziałam i nie dotknęłam go. Chyba chciał, żebym to zrobiła, ale nie potrafiłam. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek go jeszcze dotknę.

260

i

Epilog

Jest nas tylko pięcioro, więc jak to możliwe, że nasze relacje tak bardzo się skomplikowały? Homer i Fi, Lee i ja oraz Kevin solo, odkąd odeszła Corrie. Tak powinno być. W pewnym okresie tak było. Ale wygląda na to, że życie nigdy nie toczy się według planu.

Leżałam na kanapie i w końcu zaczęłam bardziej współczuć Lee niż sobie samej. Potem zmieniłam zdanie i doszłam do wniosku, że nie zasługuje na współczucie. Ten spór toczył się we mnie bez końca. „Z jednej strony - myślałam - w zasadzie w tym momencie naszego życia nie byliśmy razem”.

To był dziwny związek: przez długie okresy trwał w zawieszeniu, ale dla mnie zawsze był obecny gdzieś w tle.

Z drugiej strony Lee zdradził coś więcej niż tylko nasz związek, jakkolwiek by on był. Zdradził nas wszystkich pod każdym

możliwym względem. Zdradził nas na więcej sposobów, niż umiałam zliczyć. W każdej minucie każdego dnia kładliśmy na szali swoje życie, byleby tylko wypędzić tych ludzi z kraju. I co zrobił Lee? Skumał się z jedną z nich. Kiedyś myślałam, że Lee ma więcej oleju w głowie niż większość facetów, ale wyglądało na to, że gdy przychodziło co do czego, jego mózg tkwił w tym samym miejscu co u reszty chłopaków.

262

Nasz związek przeszedł w fazę krępującego milczenia, unikania się i zażenowania odczuwanego w swoim towarzystwie. To chyba najgorszy rodzaj związku na świecie. Jedyna rzecz, której nigdy nie byłam w stanie znieść. Lubię jasne sytuacje.

Mimo trwającego między nami napięcia nigdy nie powiedzieliśmy pozostałym, co się wydarzyło. W końcu przestali pytać. Nie powiedziałam nawet Fi. W zasadzie najbardziej uparty był Homer. Nie udało mu się wycisnąć słowa z Lee, więc skupił się na mnie.

Pewnego dnia, chcąc odwrócić jego uwagę, zapytałam, co myśli o Fi. I rzeczywiście odwróciłam jego uwagę. Urwał w pół zdania i wlepił we mnie wzrok.

- Czemu... Czemu pytasz? - wybąkał. - Powiedziała ci coś? - Nagle wydał się podejrzliwy. - Czy Lee coś ci powiedział? Powiedział ci coś o mnie?

Słyszając te słowa, w głębi serca poczułam ogromną radość. Mogły oznaczać tylko jedno. Że rozmawiał z Lee o Fi. I musiał wspomnieć, że Fi mu się podoba, bo w przeciwnym razie nie zareagowałby w ten sposób. Jakimś cudem udało mi się powstrzymać uśmiech, ale nie było łatwo.

- Nadal ci się podoba, prawda? - droczyłam się z nim.

Teraz to on przestał odpowiadać na pytania. Nie mogłam

z niego wydusić niczego więcej, ale byłam przekonana, że Fi nie powinna się jeszcze poddawać. Nadal darzył ją silnym uczuciem. Tyle że nie potrafiłam rozgryźć, jakim dokładnie.

W końcu mój stan fizyczny się poprawił. Przeniosłam się do pokoju na piętrze i tam wracałam do zdrowia. Moje żebra miały kolor pizzy capricciosa i długo mnie bolały. Kolano jak zwykle sprawiało problem, ale nauczyłam się z tym żyć. Oparzony policzek szczypał, swędział i pokryło go kilka pęcherzy, ale wkrótce się zagoił. Myślałam, że skończę z taką blizną jak Fi, ale miałam szczęście.

263

Nienawidziłam leżeć beczynn timer. Normalnie zawsze szukam czegoś, czym można by się zająć. Nie jestem zbyt cierpliwa. Podobały mi się tylko te chwile, kiedy przychodził Homer, kładł się na drugim łóżku i rozmawialiśmy o tym, co moglibyśmy zrobić, co moglibyśmy zaatakować, jakie cele moglibyśmy znaleźć.

Być może właśnie przez te rozmowy Homer odpowiedział pułkownikowi Finleyowi tak a nie inaczej. Pewnej nocy wyszliśmy na pola oddalone od Stratton o jakieś trzy kilometry. Byliśmy tam wszyscy pięcioro, trochę dlatego, że chcieliśmy zdobyć następne jagnię, trochę po to, żeby się przespacerować i oderwać od martwego ciężaru miasta. Stratton bywało przytłaczające: okropna cisza, strach, świadomość, że żyjemy na terenie wroga. Spiecia między nami.

Naprawdę nie powinniśmy byli siedzieć w Stratton tak długo. Jasne, moje obrażenia trochę opóźniły naszą wyprowadzkę, ale najwyraźniej nikt nie miał siły ani motywacji, żeby rozpocząć długi marsz do Piekła. To było głupie, bo w Stratton nigdy nie moglibyśmy się poczuć równie bezpieczni jak w Piekle. Zagrażali nam nawet nasi rodacy - zdziczałe dzieci były tak samo niebezpieczne jak wróg. Nikt z nas nie wykonał następnego ruchu, żeby im pomóc.

Tamtej nocy Homer, nie mówiąc nikomu, zabrał radio.

Opracowaliśmy nowy system zdobywania jagniąt. Kiedy Homer i ja zajmowaliśmy się ubojem, obdzieraliśmy jagnię, patroszyliśmy je i ćwiartowaliśmy, Lee, Kevin i Fi kopali dół i rozpalali ognisko. Gdy drewno się zwęgliło, zawijaliśmy kawałki mięsa w mokry papier. To samo robiliśmy z przyniesionymi warzywami. Jeśli nie mogliśmy znaleźć innego papieru, używaliśmy starej gazety, chociaż nadawała jedzeniu trochę dziwny smak.

Potem zasypywaliśmy dół i wracaliśmy do Stratton. Następnej nocy przychodziliśmy z powrotem i odkopywaliśmy go. Ten system był wspaniały. Nie potrzebowaliśmy żadnych specjalnych

264

v

narzędzi, jedzenie nigdy nie było spalone i ta metoda okazała się bezpieczniejsza niż inne, których próbowaliśmy. Ogień w dole był niewidoczny z oddali, bo płonął pod poziomem gruntu, a gdy zasypaliśmy dół, po ognisku nie zostawał nawet ślad. I muchy nie mogły się dostać do mięsa.

Jedyny problem pojawił się pewnego razu, kiedy nie mogliśmy odnaleźć dołu. Musieliśmy chodzić w kółko i dźgać ziemię patykami. Każde z nas było pewne, że wie, gdzie jest dół, każde mówiło pozostałym, że szukają w złym miejscu. W końcu dół znalazł Kevin.

W tę konkretną noc zakopaliśmy jedzenie i leżeliśmy na ziemi, próbując znaleźć siłę na powrót do miasta. I wtedy Homer wyjął radio.

- Pomyślałem, że powinniśmy spróbować jeszcze raz - wyjaśnił. - Mieliśmy sporą przerwę. Pora znowu się postarać.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy byliśmy chyba zbyt zaskoczeni. Patrzyliśmy, jak wysuwa antenę. Potem Homer rozpoczął rytuał nawiązywania połączenia.

Od początku było jasne, że sytuacja się zmieniła. Nie było słycać gwizdów, brzęczenia ani dziwnych odgłosów, które odpowiadały nam wcześniej. Rozlegał się tylko normalny szum. Usiedliśmy, coraz bardziej zaciekawieni.

I po kilku minutach usłyszeliśmy odpowiedź. Kobięcy głos z niezaprzeczalnie nowozelandzkim akcentem odpowiedział odzewem „Lomu”. Kobięta wiedziała, kim jesteśmy, a to zawsze podnosiło nas na duchu: nie zostaliśmy jeszcze całkiem zapomniani.

- Pułkownik Finley rozkazał, żeby m go obudziła bez względu na porę, jeśli uda mi się z wami połączyć - powiedziała. - Moglibyście się rozłączyć na piętnaście minut, a potem spróbować jeszcze raz? Odbiór.

Siedzieliśmy i uśmiechaliśmy się do siebie. Było mi bardzo ciepło - i to nie przez oparzoną twarz. Poczuliśmy się ważni: pół-kownik Finley kazał się obudzić, żeby z nami porozmawiać.

265

Kiedy Homer połączył się po raz drugi, odezwał się pułkownik. Miło było znowu go usłyszeć. Był absolutnie zachwycony tym, co się stało w bazie lotniczej w Wirrawee. Nie wymienił jej z nazwy - bezpieczniej było tego unikać - ale powiedział, że to jeden z najważniejszych momentów tej wojny, że wybraliśmy doskonały moment, że po powrocie do Nowej Zelandii zostaniemy „odpowiednio nagrodzeni”. Nawet kiedy się zachwycał, mówił oficjalnym wojskowym tonem. Ale cudownie było to słyszeć. Pomyśleliśmy, że dobrze się spisaliśmy, choć nie byliśmy pewni, co to wszystko oznacza.

Potem zniecacka padła oferta, której nikt z nas się nie spodziewał. Pułkownik Finley jak zwykle mówił chłodnym tonem, którego nie zmieniał nawet wtedy, kiedy się z czegoś cieszył. Ale nagle zrozumiałam, do czego zmierza.

- ... i dzięki temu mamy trochę większe pole manewru w niektórych kluczowych dziedzinach, na przykład w transporcie. Nawet w transporcie cywilnym, a przecież ściśle rzecz biorąc, nadal podpadacie pod tę kategorię. Odbiór.

Złapałam Homera za ramię i pochyliłam się, żeby zadać pułkownikowi pytanie:

- Chce pan powiedzieć to, co myślę, że chce pan powiedzieć?
Odbiór.

Gapiałam się na pozostałych. Byłam w szoku. Oni też się na mnie gapili. Na mnie i na Homera. Miałam wrażenie, że nasze milczenie trwa z pół godziny. Jedyńm dźwiękiem był szum radia. Pomyślałam o rodzicach i zrozumiałam, jak powinna brzmieć moja odpowiedź. Potem odezwał się Lee, bardzo cicho:

- Nadal jest mnóstwo do zrobienia.

Homer pokiwał głową, jakby takiej odpowiedzi oczekiwał. Kevin poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, a potem znowu znieruchomiał i siedział pochyłony, patrząc na Homera jak

266

zalekńione dziecko. Fi zbliżyła rękę do twarzy. Też spojrzała na Homera, a potem odwróciła wzrok ku ciemnym polom.

Homer odchrząknął i przemówił. Kiedy to zrobił, jego słowa zawisły w powietrzu, jakby ktoś je tam wrył. Jakby ktoś wyciął je w skale.

- My już jesteśmy w domu.

Nie ma już żadnych zasad

JOHN MARSDEN

JUTRO

JOHH MAISDEN

Mam na imię Ellie. Kilka dni temu wybraliśmy się w siedem osób na wyprawę do samego Piekła. Tak nazywa się niedostępne miejsce w górach. Wycieczka była próbą naszej przyjaźni. Niektórych z nas połączyło nawet coś więcej.

Szczęśliwi wróciliśmy do domu. Ale to był powrót do piekła. Znaleźliśmy martwe zwierzęta, a nasi rodzice i wszyscy mieszkańcy miasta zniknęli.

Okazało się, że naszego świata już nie ma. Że nie ma już żadnych zasad. A jutro musimy stworzyć własne.

Na podstawie książki powstał film Tomorrow, When The War Began.

Jutro\o fenomen: nie tylko największy młodzieżowy bestseller w historii Australii, ale i książka przekraczająca granice wiekowe. Seria otrzymała kilkadziesiąt nagród w Australii, Stanach Zjednoczonych, Szwecji i Niemczech. W USA znalazła się na liście najlepszych książek dla młodzieży, a w Szwecji na pierwszym - miejscu na liście książek polecanych przez nastolatków.

na)»'

WttW.SIIMJtJriOK

JOHN MARSDEN

JUTRO 2

W PUŁAPCE NOCY

JOHN MARSDEN

JUTRO 2

W pułapce nocy

Mam na imię Ellie. Coś wam opowiem.

To były nasze najlepsze wakacje. Ale po powrocie zastaliśmy coś, co na zawsze zmieniło nasze życie. Jeszcze nigdy nie mieliśmy takich kłopotów.

Na początku było nas ośmioro, teraz została szóstka. Nie wiem, co się dzieje z dwójką naszych najlepszych przyjaciół. Umieramy ze strachu i bardzo za oimi tęsknimy. I dlatego, chociaż to niebezpieczne, a nasz plan nie jest idealny, spróbujemy ich odbić, nawet jeśli nie mamy pojęcia, co przyniesie jutro.

A ja? Chyba się zakochałam. Nie wiem, czy to najlepszy czas na takie rzeczy.

Jutro zadaje kłam przesądom, jakoby bestseller miał być opartą na schematach banalną historią. [...] To trochę thriller, trochę sensacja - czyta się doskonale bez względu na wiek. Nic dziwnego, że powieść Jutro s\ a\ a się bestsellerem".

Agnieszka Wolny-Hamkało, „Gazeta Wyborcza"

JOHN MARSDEN

JUTRO 3

W objęciach chłodu

Mam na imię Ellie. Nie jestem już tą samą dziewczyną, która mieszkała z rodzicami w Wirrowee. Nikt z nas nie jest już taki sam.

Boimy się, ale jesteśmy silni i nie tak łatwo nas złamać. Nie chcemy być martwymi bohaterami. Wydaje mi się, że w obliczu niebezpieczeństwa będziemy musieli robić rzeczy naprawdę straszne. Ale nie wiem, jak daleko możemy się posunąć, żeby ocalić najbliższych. I czy będę w stanie kochać kogoś, kto nie zawahał się zabić?

Choć nadciąga chłód, jutro może być naprawdę gorąco.

JOHN MARSDEN

JUTRO 4

Przyjaciele mroku

Na myśl o powrocie robi mi się niedobrze. Mam ochotę krzyknąć „Posłuchajcie mnie, do diabła! Mam gdzieś wasze wielkie plany!”. Chcę, żeby ktoś, ktokolwiek, przyznał, że to, czego ode mnie oczekują, jest wielkie, olbrzymie, gigantyczne.! nie chodzi wcale o to, że tu jest nam tak wspaniale. Nie jest.

Mam wrażenie, że wszyscy przestaliśmy być sobą. Homer chce nami rządzić bardziej niż kiedykolwiek. Fi i Kevin wszystkiego się boją, a Lee... nie poznają go.

No i zrobiłam coś, czego dawna Ellie nigdy by sobie nie wybaczyło. Jedyne, co pomaga mi przetrwać, to nadzieja, że tam, na miejscu, znów staniemy się sobą.